



Stanisław Bełza.



W kraju

Głuska Jezior

(Z podróży i przechadzek po Finlandyi).



WYDANIE DRUGIE.



WARSZAWA.

KRAKÓW.

GEBETHNER I WOLFF. G. GEBETHNER I SPÓŁKA.

PETERSBURG. — K. GRENDSZYŃSKI.

1897.

UNIV. BIBLIOTH.
* 1898 *
HELSINGFORS

W KRAJU TYSIĄCA JEZIOR.



Inne dzieła tegoż autora.

a) Dzieła podróżopisarskie:

- 1) **Jeden miesiąc w Norwegii.** Warszawa 1880. (wyczerpane)
- 2) **W Danii i z Danii.** Warszawa 1882. (wyczerpane)
- 3) **Odgłosy Szkocyi.** Kraków 1889.
- 4) **Wizyta u Strossmayera.** Kraków 1884. (wyczerpane)
- 5) **Holandya.** (wydanie 2) Kraków 1890.
- 6) **Za Apeninami.** (Wydanie 3) Kraków 1890.
- 7) **Na Lagunach.** Warszawa 1896.
- 8) **Obrazy Korsyki.** Warszawa 1897.
- 9) **Na Szląsku polskim.** (Wydanie 2) Kraków 1890.
- 10) **Karol Miarka.** Kartka z dziejów Szląska pruskiego. Warszawa 1880. (wyczerpane)
- 11) **Dziesięć lat pracy na kresach.** (Kartka z dziejów Szląska austriackiego) Warszawa 1882. (wyczerpane)
- 12) **W Górach olbrzymich.** Warszawa 1892.

b) Dzieła i rozprawy naukowe:

- 1) **O przymusowym i bezpłatnym nauczaniu w szkołach początkowych.** Warszawa 1880. (wyczerpane)
 - 2) **Wynagrodzenie za prowadzenie spraw.** Warszawa 1886. (wyczerpane)
 - 3) **Nowe prawo upadłościowe włoskie.** Warszawa 1887.
 - 4) **Rys nowego prawa upadłościowego angielskiego.** Warszawa 1888.
 - 5) **O Reformie prawodawstwa upadłościowego.** Warszawa 1888.
 - 6) **Instytucya sędziego komisarza w massie upadłości.** Warszawa 1896.
 - 7) **O upadłościach i bankructwach.** Tom 1. Kraków 1890. Tom 2. Kraków 1897.
-

STANISŁAW BEŁZA.



W KRAJU

TYSIĄCA JEZIOR

(Z podróży i przechadzek po Finlandyi).



WARSZAWA.

KRAKÓW.

GEBETHNER I WOLFF. G. GEBETHNER I SPÓŁKA.

PETERSBURG.

K. GRENDSZYŃSKI.

1897

Дозволено Цензурою.
Варшава 21 Марта 1897 г.

Mojemu Synowi

Witoldowi

na pamiątkę

wspólnego pobytu w Finlandyi

wspomnienia te poświęcam.

ROZDZIAŁ I.

Na dworcu kolei Finlandzkiej. — Po drodze do Wyborga.
W Wyborgu. — Przed posągiem Wajnamojnena.

✠ Tak nazwana „Strona wyborska“, należy do młodszych i uboższych dzielnic Petersburga.

Kiedy Piotr Wielki, upodobawszy sobie ujścia Newy do morza, tam gdzie wspaniała ta rzeka, skrećwszy się gwałtownie na północ, tworzy większe i mniejsze wyspy, zamyslił wybudować stolicę, „Strona“ ta, była bagnistą puszczą leśną, tu i owdzie tylko zasianą drewnianemi chatami, śladem życia i czucia w tych miejscach. Pierwotne miasto zabudowywało się na wyspie porzuconej nieco na zachód, i tam dokoła domku reformatora układało w mniej lub więcej prawidłowe dla oka linie, a choć z czasem przekroczyło rękawy Newy, zagarniając przeważnie na południu coraz więcej pod siebie terenu, do tej północnej „Strony“ czuhońskiej niechętnie zaglądało, jakby przewidując, że przyszłość jego i potęga nie mają z nią wiele wspólnego.

Ale przewidywaniom i rachubom ludzkim, twarda konieczność nierzadko w drogę wchodzi, więc stało się, że pęczniejący z rokiem każdym gród, zmuszony został zapoznać się z tą „Stroną“ bliżej, i nadmiarem swojego życia, użyźnić zapuszczone jej łany. Padły więc pod toporem lasy, osuszono bagna i błota, i dziś, tam gdzie wczoraj jeszcze nawoływały się na schadzki leśne zwierzęta, pędzi „izwoszczyk“ z zarumienionemi od nieproszonych pocałunków mroźnego wiatru, pięknościami północy, a tam, gdzie stała uboga fińska chatka, pod cieniem zawałającego się od starości dachu kryjąca mniej wesela uśmiechów, niż gorzkiej niedoli łez, dźwiga się olbrzymia fabryka, zuchwale ku szarym obłokom przemawiająca językiem gęstego dymu.

Tylko, że gdy wszystko, co bogatszego miał Petersburg, znalazło już dla siebie plac gdzieindziej, a pałace miejscowych magnatów, nie przysiadły się tam do kominów fabrycznych, przeto stało się, że „Strona“ ta wyssała ze stolicy, nie jej śmietankę, lecz fusy, i będąc w niej dzielnicą najmłodszą, jest jednocześnie też i najuboższą. Robotnicy, spożywający czarny swój chleb w zamian za siły zużywające się w tych fabrykach, zaludniają ją też w znacznej ilości, drobnych sklepików właściciele i ludzie rzemiosła, pomnażają ich szeregi, nadając odrębny charakter tej całej „Stronie“, mało licujący

z luxem starszych, szczęśliwszych i bogatszych „Stron“. Przedmieście? Nie, nie jest to przedmieście Petersburga, jest to niewielkie prowincjonalne miasto, samo w sobie, i samo dla siebie. Odcina je od niego Newa, odcina cała suma warunków socyalnych, w jakich żyje, odmienność atmosfery, jaka się nad niem unosi. W nurtach wody, oddzielającej „Stronę wyborską“ od pozostałych dzielnic stolicy, utonęły: i zamożność i wspaniałość tych dzielnic. Z jednej i z drugiej, nie przedostało się tu nic.

Ten charakter, oddalonej tej od środka Petersburga „Strony“, sprawia, że rzadki tylko stały mieszkaniec tego miasta zagląda do niej i do tego czasami, obcy zaś, kiedy się nad Newą znajdzie, w tym tylko razie wkracza na to jej wybrzeże, gdy go interes lub ciekawość ciągną dalej na północ. Dworzec też „Strony Wyborskiej“, jeden z najokazalszych jej budynków, jest jednocześnie i najbardziej w niej interesującym gmachem, dokoła niego koncentruje się wielkomiejskie życie, w pełnem oryginalności jego wnętrzu, widzi się to, co życia tego wyraźnym jest śladem. Dalej brudno, ubogo, martwo, — choć koła fabryczne zgrzytają ci nad uchem, a zapracowane postacie snują ci się przed oczyma.

Przekraczasz progi tego „Dworca“ i spostrzegasz, że nietylko jesteś w zasobniejszym,

ale i w nieco odmiennym świecie. Twarze inne wchodzą ci ciągle w drogę, języki inne bezustannie wpadają ci do ucha.

Po wielkiej sali, zawieszanej reklamami „Ima-try“, zastawionej stołami, na których zaimprovizowani wekslarze zmieniają ruble i kopiejki rosyjskie na finlandzkie marki i penni, biegają chłopcy z szafkami gazet w rękach. Gazety szwedzkie i fińskie. Więc „Nya Pressen“ i Hufvudstadsbladet“, więc „Uusi Suometar i „Pai-valehti“.

Przez ciekawość kupujesz gazety, oglądasz je na wszystkie strony, widzisz, że rozmiarami swemi zbliżają się one do wielko-europejskich dzienników, że zadrukowane są łacińskimi i go-tyckimi czcionkami. Widzisz i więcej, że usta-wione na nich w regularne szpalty, jak szeregi wojska, litery, nie przemawiają do ciebie żadnym głosem, że to, co masz przed oczyma, jest dla ciebie pustym dźwiękiem. Jeszcze „Nya Pressen“ szwedzka, przywodzi ci na myśl „Nową Prasę“, ale nic zgoła nie znaczą wszystkie lin-gwistyczne twoje nocze, gdy starasz się odga-dnąć, jakie pojęcie zamyka się w fińskim tytule: „Paiva lehti“. Nic dziwnego, wyraz ten znaczy: „Dziennik Codzienny“, i prócz węgierskiego, z żadnym europejskim językiem nie wspólnego nie ma.

Aby się o tem lepiej przekonać, bierzesz

do ręki od narzucającego ci się chłopca, małą książeczkę z napisem u góry „Kylakirjaston Kuvaletti“ (Biblioteka obrazkowa wiejska) i przesyłabizowawszy całą stronę, chowasz ją do swej torby podróżnej, bo skorzystać z niej, jako żywo nie możesz nic.

Od *Walkeusaari*, piątej stacyi za Petersburgiem zaczyna się Finlandya, wychodzisz więc na korytarz swego wagonu, aby się przyjrzeć obrazom jej nieco bliżej.

Spostrzegasz, że jesteś w gęstym lesie.

Na prawo i na lewo iglaste, rozmaitych wysokości drzewa, tu i owdzie porozrzucane bezładnie głązy, przed tobą biała, długa, o jednej linii szyn, droga, a nad tobą szare niebo. Wody ni śladu, ludzkich chat bardzo mało, gęste tylko drewniane stacyjne dworki, przed którymi snują się dziewczęta z jagodami, urozmaicają krajobraz. Urozmaicają niewiele, i doznajesz wrażeń spokoju co prawda z jednej strony, ale melancholii i ciężkości na duszy, z drugiej.

Świat nowy, smutny, biedny, wyciska na tobie swój ślad i jest ci też tęskno i smutno, gdy mkniesz po nim szybko na skrzydłach pary, ciągnącej cię na tę tajemniczą północ, niewiadomo doprawdy po co.

Kraj, którym jadę, jest szerokiem między-morzem. Weźcie mapę, to się przekonacie o tem. Po jednej stronie graniczy on z zatoką fińską,

po drugiej z jeziorem Ładoga, wielkiem jak morze, i jak morze burzliwem. U wrót Wyborga międzymorze się kończy, zaczyna się rozległy półwysep, ostro wsunięty w wody Bałtyku. To właściwa Finlandya, ojczyzna Wajnamojnena i Kalevali, poetyczny kraj tysiąca jezior i tysiąca wysp.

Uczucie zaciekawienia, jakie ten nieznany kraj w tobie budzi, reaguje przeciwko uczuciu melancholii, a reaguje tak silnie, że gdy opuszczasz wagon kolei, z którym nie rozłączałeś się na dłużej przez kilka godzin, jesteś cały że się tak wyrażę uchem i okiem.

Patrzysz i słuchasz, ale rozumiesz dobrze to tylko, co drogą wzroku dostaje się do twego mózgu; świat żyjący, wchodzi o tyle tylko w styczność z tobą, o ile wyodrębniwszy się z językowej wyłączności swojej, odezwie się do ciebie zrozumiałym przez znajdujących główniejsze europejskie mowy, głosem.

Przybyliśmy zatem już do Wyborga, miasta jednego z najstarszych i najciekawszych w całej Finlandyi. Jeśli zajrzemy do jego metryki, to się przekonamy, że w całym tym szerokim i długim kraju, starszem od niego jest jedno tylko Abo.

Kiedy nawróceni na wiarę Chrystusa Szwedzi, z gorliwością neofitów chcieli skaptować sobie względy Rzymu, zwrócili wtedy oczy swe

na Finlandyę, bóstwom pogańskim składającą hołdy. Mając na półdrodze do tego kraju wyspy Alandzkie, najpierw na nich położyli zbrojne ręce, a później, gdy już byli ich pewni, korytem Aury przedostali się na wschodni ląd. Wtedy to u ujść do morza tej rzeki, wybudowali pierwszy zamek, nadali mu nazwę Abo, i ztąd już, niby z oszańcowanego obozu, zbrojne swe hufce na mord i krew posyłali na północ i wschód. Działo się to około 1157 roku, i rok też ten jest początkiem miasta Abo, najstarszego ze wszystkich miast w tym kraju, jedyne, któremu pod względem wieku ustępuje Wyborg. Ale ustępuje zaledwie o lat 140, i inne wszystkie jakie spotykamy tu miasta, są już młodsze od niego i to o kilka nawet setek lat.

Nieco młodszy od Abo, jest Wyborg jednak wypadkową takich samych, jak Abo zamiarów.

Takich samych. Jak chęć rozprzestrzenienia na wschodnich wybrzeżach Bałtyku nauki chrześcijańskiej, a w ślad za tem i politycznej supremacyi Szwecyi, przerzuciła w XII wieku zbrojne jej hufce nad brzegi Aury, i kazała im w tem miejscu ufortyfikować się pod obronnym zamkiem, któremu nazwę Abo nadali, tak ta sama chęć, popchnęła je później dalej na wschód, tam, gdzie zatoka fińska wrzyna się głębokim klinem w ląd.

Powtórzyła się i tu stara dziejowa historia, apetyt przyszedł z jedzeniem, mając już w garści cały finlandzki zachód przymykający do morza, zapragnięto jej skropionego niezliczonymi jeziorami wnętrza, a że, żeby to wnętrze osiąść, trzeba było usadowić się bliżej niego, więc usadowiono się w Wyborgu. I z Wybarga już jak z Abo, robiono zbrojne wycieczki dokoła, póki jak szeroki i długi cały ten kraj, nie wyrzekł się swojej niezależności i swoich bogów.

Tam więc i tu, zamiary były takie same, ale i takie samo ich wykonanie. I w Wyborgu i w Abo każdy krok naprzód Szwedów w głąb kraju, znaczył się pożogą i krwią. Słowa miłości i przebaczenia Chrystusa, do tępych mózgów i zakamieniałych pogańskich serc, przedostawały się, ku większej zapewne radości Nieba, na ostrzach zboczonych mieczów i dzid...

Stare zamczysko szwedzkie u Aboskiego mostu, od wieków było sercem całego Wybarga.

Było i jest, dzięki położeniu swemu, na niewielkiej wyspie, w środku cieśniny łączącej zatokę fińską z tak nazwaną „Salakka Lachti“, prostokątnym basenem, przeprowadzającym dziś wody tej zatoki, drogą kanału sajmańskiego, do całego wnętrza Finlandyi.

Kiedy w roku 1293 Torkel Knutson przyplynał tu z silną flotą, na wyspie tej wznosił

w górę obronne mury. Wtedy dokoła nich zawrzało życie, pobudowały się domy, i ztąd, niby z ogniska, poczęły rozpryskiwać się długimi promieniami, odżywiający i oświecający okoliczny kraj prądy. Ciągnęła wtedy ku sobie wszystkich ta mała wyspa, kto tylko pożyłapił opieki, — pod cieniem jej zameczyska wschodziły nasiona nieznaney w tym świecie wiary i zachodniej cywilizacyi.

Ze zmianą czasów, rolę tę zamku przejęły instytucye inne, grupujące się dokoła niego miasto, rozszerzyło się i poszło dalej na południe i wschód, ale jak przed wiekami, tak i dziś, ta wyspa i ten zamek, niby magnes potężny ciągną ku sobie wszystkich. Dlaczego wczoraj? — powiedzieliśmy to wyżej, czemu dziś, powie to sobie każdy, komu nietajna przyciągająca siła martwych, a przecież wiecznie żywych, pomników historycznych zdarzeń, i bohaterskich legend.

Ale nietylko zdarzeń i legend — i estetyka ma w tem zasługę swoją. Dzięki temu, że wyspa, na której się ten zamek wznosi, leży w środku wązkiej cieśniny, że na lewo od niej masz wody zatoki fińskiej, a na prawo kanału sajsmańskiego, że ulokowawszy się na najwyższym jej punkcie, jakim jest właśnie szczyt zamkowej wieży, widzi się dokoła krajobraz niezwykły, na poły wodny, na poły lądowy, uro-

zmaicony, o ile o pierwszy chodzi statkami parowemi i łodziami ożywiającemi go malowniczo, o ile zaś o drugi, kępami rozłożystych drzew na północy, świątyn i domów na południu — dzięki temu powtarzam właśnie, mała ta wyspa ciągnie ku sobie i tych, dla których przeszłość, legendy i wspomnienia niegodne są zastanowienia chwili, i jak dla Bismarcka przyrzeczenia królów pruskich, niewarte są feniga.

I ci nawet, kiedy tu na szczycie tej wieży się znajdują i powiodą okiem dokoła, nie mogą oprzeć się wstrząsającym wrażeniom, jakich na widok piękna przyrody doznaje każda czująca istota, i ci nawet przyznać muszą, że wyspa ta dziś tak jak i dawniej jest sercem miasta, do którego spływa jego krew.

Kto rozpoczął zwiedzanie Finlandyi od Abo lub od Helsingforsu, i zanim tu nogę postawił, widział już i skaliste archipelagi morskie tego kraju i poszarpane od nadmiaru wód jego wnętrze, ten, gdy z lotu ptaka przyjrzy się Wyborga figurze, przyzna wprawdzie, że jest ona dziwaczną i niezwykłą, ale doda jednocześnie w duchu, że w tym kraju dziwaczniejsze jeszcze oglądał. Po wybrzeżach sajmańskiego jeziora, potarganych w niepodobny do uwierzenia sposób, po Punka-Harju, figlu przyrody spletanym ku ludzkiemu zdumieniu połączonemi siłami: wody, ładu i ognia, cóż jest w stanie

wprawić kogo w tym osobliwym kraju w podziw? ale po krajobrazach Europy, gdzie nie ma jak w Finlandyi pomieszania żywiołów, gdzie ląd stały jest lądem a woda wodą, gdzie jeden drugiej nigdzie w drogę nie wchodzi, to, co się w tem mieście z wysokości ogląda, uderzyć musi oryginalnością swoją i dziwacznością.

W miejscu, gdzie od sześciu wieków wznosi się Wyborg, zatoka fińska, wcisnąwszy się dwunastowiorstowym klinem w ląd, pokrajała go, niby papieru szmat, zabrawszy mu wszystko, co się tylko zabrać dało.

Przedewszystkiem, rozdzieliła go na dwie części i wązkim pasem wodnym posunęła się na wschód, ale nie poprzestawszy na tem, jakby dla igraszki, temu czego pochłonąć nie zdołała, nadała kształty fantazyjne i powiem śmieszne. Mamy więc na południo-wschodzie regularny półwysep, na którym usadowiło się właściwe miasto, ale już w równoległej od niego linii wrzyna się w wodę, wązki i długi język, zamykający basen wodny, brzegiem którego biegnie linia kolei do Helsingforsu.

Na tym półwyspie i dokoła tego języka, grupami ustawiły się domy, krótkie i proste ulice wyciągnęły się we wszystkich kierunkach, strzeły ku obłokom wysokie wieże gotyckich protestanckich świątyń, lub rozpostarły się różnokolorowe kopuły wschodnich cerkwi. Naturalnie,

ta część terenu, zabudowana i zaludniona, z prawidłowością jeszcze w jakim takim jest związku, ale za to część jej przeciwległa, odcięta od niej wąską cieśniną i sztucznie tylko dwoma mostami połączona, kreśli figurę nad wyraz oryginalną. Patrząc na nią od strony zachodu, mamy obraz olbrzymiego ptaka z długą szyją i rozpostartym szeroko ogonem, ale część wschodnia, to twarz egipskiego Sfinksa, nieruchomo zwrócona w stronę kanału.

Kiedy się więc z wieży szwedzkiego zamku spogląda na dół, uderza oczy przede wszystkim różnaitość krajobrazu, zwłaszcza też, że figura północna tak bardzo do twarzy i kształtów ptaka podobna, porośła jest kępami gęstych drzew, usiana wdzięcznymi villami, i jakby dla ciągłego przypominania blizkiego swego związku z wodą, gęsto nakropiona stawami, oraz jeziorami, zarośłemi sitowiem i układającemi się znowu w fantazyjne figury.

Ten pełen urozmaïcenia krajobraz, jest jednocześnie i krajobrazem dziwnie pięknym, zwłaszcza też, gdy mu się przygląda, już po zachodzie gwiazdy dziennej. Przyćmione, bo niezagasłe światło, mające coś w sobie z żaru słońca i cmentarnego blasku księżyca, rozlewa dokoła jakiś dziwnie smętny czar, wychodzi wszystko dla oka wyraźnie, ale bez tych chropowatości, jakie wyprowadza światło dzienne, wciskające

się wszędzie i nie pozwalające niczemu pozostać w cieniu, Wilgotna mgła, jaka oświeceniu temu towarzyszy, zamiast ujmować dodaje obrazowi uroku. Linie zacierają się nieco, ale barwy wyskakują na plan pierwszy, działają na zmysły i odurzają. I w zawieszeniu patrzy się na to całemi godzinami, a gdy się patrzeć przestanie, to się powiada sobie w duchu, że się widziało coś takiego, czego się na codziennej drodze nie widzi. Woda i ląd, ląd i woda, tu obrazy ruchu i życia, tam cicha romantyczna leśna głusza, a dalej za nią, świat nieznany, cywilizowany i dziki, rozpościerający się na tle skał, błot, moczarów, jezior i borów, — i wabiący cię ku sobie, jak czarodziejka nad Mickiewiczowskiego Świtezii wodami.

Wyborg nie jest dużem miastem, w Finlandyi przecież, gdzie miast dużych wogóle nie ma, gdzie wszystkie razem wzięte liczą mało co więcej mieszkańców, niż Łódź, do większych zaliczonym być musi. Nie ilość jednak obywateli jego, nadaje mu dominujące w kraju znaczenie, położenie geograficzne sprawia, że jest on rzeczywistym kluczem całej północy.

Że tak jest, rozumiano to nie od wczoraj i te porozrzucane po lasach okolicznych kopce ze szczątkami ludzkiemi, te potoki przelanej tu w ciągu wieków długich krwi, świadczą wymownie o tem, że strategiczne znaczenie punktu tego

nietajnem było zamartwym pokoleniom. Staczały się też tu zacięte walki i to już od końca XV wieku, póki nareszcie wiek XVIII, nie zdecydował o losie tego miasta.

Pokojem Nysztadzkim, Szwecya zrzekła się go na wieki na rzecz swojej północnej rywalki i tem samem przesądziła o przyszłości całej Finlandyi. I wiek już czasu nie upłynął od tej chwili, a półwysep skropiony wodami zatok botnickiej i fińskiej rozerwał polityczny związek z zamorską metropolią. Wypuszczony przez jednych z omdlewających rąk klucz, otworzył drugim, silniejszym, wrota aż do lodowatego morza.

Ze zmianą politycznych warunków w północnej Europie, z osłabieniem Szwecyi, wreszcie z powstaniem w innych miejscach groźnych, pierwszorzędných twierdz, strategiczne znaczenie Wyborga upaść z konieczności musiało, nie zmniejszyło się jednak ani o włos jego znaczenie w kraju, owszem powiększyło się w trójnasób.

Dzięki temu, że leży on na skraju zatoki odznaczającej się niezwykłą na tych wodach głębokością, największe handlowe statki podpływać z towarami mogą ku kamiennym domostw jego progom, z powodu zaś że przez przekopanie pasa ziemi, oddzielającego Wyborg od wielkiego jeziora Sajma, sztucznym sposobem wody

słone połączyły się ze słodkimi, statki te bez przeładowywania mogą przedostawać się aż do Nysslotu, Kuopio i Iisalmi.

Jest on więc wielkiem tranzytowem miejscem między zachodem a północą Europy, przez jego wrota przesuwają się produkta fabryk i surowe twory przyrody, na jego wodach dokonywa się bezustanna wymiana owoców myśli, zabiegliwości i pracy człowieczej.

Tak od morza, nie inaczej przecież i od strony lądu.

Do ostatnich nieledwie czasów, Finlandya, kraj o wiele większy od Wielkiej Brytanii z Irlandyą razem wziętymi, pozbawiana była komunikacyi kolejowej. Podczas gdy już cała Europa wzdłuż i wszerz przerzniętą była szynami, leśne drożynki, trakty pocztowe i jeziora łączyły tu jedynie ludzi z ludźmi, a gdy zima, ta straszna zima północy, co to wszystko przez trzy ćwierci roku trzyma w kościstych swoich uściskach, nadeszła, gdy trakty pocztowe i ścieżki leśne zawalone zostały górami śniegu, a wody zarówno słodkie w jeziorach, jak słone na całym wybrzeżu morskiem pokryły się szklaną powłoką, odciętą była od reszty świata i skazaną na wystarczanie samej sobie. Miało to swoją dobrą stronę, miało i złą, wpajało w ógół przekonanie, że należy liczyć tylko na siebie, nie oglądać się na nikogo i tem samem wyrabiało przedsiębiorczość,

i energię, dwie cnoty, które obdarzone niemi ludy, wynoszą na wysoki szczybel, ale jednocześnie puls narodowego postępu znakomicie osłabiało, ręką podnoszonym siłą woli do góry, kazało nieraz opadać na dół.

Rok 1862 jest rokiem zwrotnym pod względem komunikacji lądowych w Finlandyi, w roku tym bowiem w dniu 17 marca, puszczone pierwszą lokomotywę po drodze z Helsingforsu do Tavastehusu. Lokomotywa ta nie przeszła wprawdzie przez Wybörg, przebiegała zresztą po niewielkiej przestrzeni (107 kilometrów), ale była balonem próbnym, z doświadczeń którego miasto to wkrótce miało skorzystać.

Jakoż w ślad za koleją tą, poszedł projekt długiej linii już przez Wybörg z Helsingforsu do Petersburga, i w dniu 30 sierpnia 1870 roku, kiedy we Francyi wojna dwóch kolosów zachodnich siała spustoszenia i śmierć, nad brzegami zatoki fińskiej cywilizacja święciła swój tryumf. A gdy dobrodziejstwa tej kolejowej linii wyczekiwać długo na siebie nie kazały, rzucono się z pośpiechem ku prowadzeniu coraz nowych, że zaś wszystkie one bliżej lub dalej o Wybörg zaczepiały, przeto z każdej z nich wyciągał on korzyści znaczne.

Dziś miasto to łączy się wygodnie z całym wybrzeżem morskim, z Kotka, Helsingforsem, Hango, Abo, Wazą i Uleaborgiem, a jednocześnie

sięga do Kuopio i Joensu serca kraju, oraz do Serdobolu nad jeziorem Ładoga, jego najdalszej wschodniej kończyny.

Pomyślcie teraz: sztuczny kanał sajsmański dozwala statkom parowym i żaglowcom przedostawać się aż pod 64 stopień szerokości geograficznej, a koleje żelazne na najdalszą północ, zachód i wschód. Cóż więc dziwnego, że w takich warunkach, Wyborg wyrosć musiał na miasto handlowe pierwszorzędnego w tych stronach znaczenia, że niby Manchester Finlandyi, cały niemal jej handel pochwycił w swoje ręce.

Stracił jako punkt strategiczny, jako teren śmiertelnych zapasów o panowanie, jako arena ścierania się wielkich ambicyi, zyskał jako ekonomiczny rynek, jako plac, gdzie schodzą się ze stron wszystkich ludzie, nie po to, by sobie czaszki rąbać i zęby wyłamywać, ale by się we wspólnej pracy wspierać, do cywilizacyjnej walki z potęgami przyrody zagrzewać.

Czy więc w ostateczności zyskał, czy stracił?

To znaczenie handlowe Wyborga, ta jego wymienna w tem miejscu rola, sprawiają, że wszystko niemal nosi w nim na sobie wyraźne ślady zajęć, jakim się przeważnie mieszkańcy jego oddają. Wszystkie prawie domy są tam w niższych swoich częściach składami przeróżnych towarów, na wszystkich ulicach widzisz gorączkowy ruch, jaki cechuje tylko rynki han-

dłowe, a w miejscu gdzie miasto półokrągłym półwyspem głęboko wrzyna się w morze, ruch ten niekiedy przybiera nawet kolosalne rozmiary.

Sprawia to, że Wyborg, miasto ośmnastotysięczne, patrzy czasami na handlową stolicę, zwłaszcza też, gdy głęboki port jego zaludni się statkami z całego świata, a od strony kanału sajsmańskiego, setki żaglowców nadpłyną z surowem drzewem. Widzi się tu wtedy najprzeróżniejsze twarze, od żywego dziecka południa do flegmatycznego przedstawiciela północy, słyszy rozmaite języki, i myśli się na seryo, że się jest nie w ostatecznie drobnej mieścinie, ale w jakimś wielko-handlowem centrum, gdzie się schodzą ludy krajów wszystkich, by się dzielić produktami wszystkich ziem.

Tak to Merkury, wszystko, na czem pieczęć swoją wycisnie, podnosi i rozszerza, a wnosząc z sobą ruch i życie, wszystkiemu czego się dotknie tytaniczne czasem nadaje kształty.

Cóż o Wyborgu więcej? Że ma 6 świątyn pańskich, niczem osobliwszem nie odznaczających się, dwa licea: szwedzkie i fińskie, szkołę morską, dwa towarzystwa: rolnicze i literackie, i ludność, konglomerat czterech narodowości; że się palił aż siedm razy, skutkiem czego gmachów starych w nim prawie niema, że ma ulice poczynające się u brzegów morza i zmierzające do morza, dużo placów i stosunkowo niewiele

drzew. Że... ale to już wystarczyć musi, zwłaszcza też, iż spieszo nam wyjść z jego gwarych i dusznych ulic, przedostać się na przeciwległy brzeg cieśniny, i po drugiej stronie mostu Abońskiego odetchnąć pełną piersią balsamem gajów i łąk. Kto dzień cały wśród stosów drzewa, worków żyta i pak towarów krążył nad brudnymi wodami, temu się chwila wypoczynku na łonie natury należy.

Dzielnica, na którą się po przejściu mostu przedostajemy, jest czemś w rodzaju olbrzymiego dzikiego parku Wyborga, i wynagradza to miasto hojnie, za brak w nim ogrodów i drzew.

Domów tu wogóle niewiele, gdzieniegdzie tylko wznoszą się skromne wille, ale za to morze zieloności otacza tam nas dokoła, ciągnie ku sobie i darzy weselem i spokojem. To też zamożni mieszczanie, w dzielnicy tej przepędzają krótkie finlandzkie lato, a urok jej jest tak wielki, że wielu nawet mieszkańców Petersburga, rok rocznie do niej zjeżdża na kilka miesięcy. I nie żałują stosunkowo odległej od stolicy drogi, i chętnie tu powracają, mają bo tu na jednym miejscu, to, co rzadko gdzie na niewielkiej przestrzeni widzieć się daje: słodki czar uroczej sielanki wiejskiej, i majestatyczną grozę morza rozpryskującego się z dzikim szumem o granitowe obramowania lądu.

Ale jeżeli cała ta dzielnica jest pełną żywego interesu, jeżeli po monotonnych obrazach kilkunastomilowej drogi z Petersburga do Wyborga, darzy nas na każdym nieledwie kroku pociągającą oczy i duszę różnaitością, przytykający do wód kanału sajmańskiego kąt jej wschodni, najwybredniejszego nawet zwolennika piękna przyrody, porwać i zachwycić jest w stanie.

Jest to słynny *park „Mon Repos“* miejsce upamiętnione pobytem męża stanu i poety, barona Ludwika Nicolay, będący dziś własnością jego wnuka.

Park ten jest ozdobą Wyborga, a dla przyjezdnych posiada tem żywszy interes, ile że zamykając w swoich granicach wszystkie właściwości terenu Finlandyi, całą Finlandyę ukazuje w miniaturze. I nie jest to bynajmniej przesada, i zgadzają się na to wszyscy, i kiedym po przebiegnięciu w tym kraju znacznych przestrzeni drogą szynową, karjola i statkiem, do domu powracając, ponownie ten park zwiedził, to zdawało mi się, że przed oczyma memi jakaś potężna czarnoksiężka ręka, rozsnuwa mi w zmniejszeniu rozkoszne a dopiero co oglądane obrazy: archipelagu morskiego, trzęsawisk i błot leśnych, poszarpanych wodami jezior skrawków ziemi, i bezładnie porozrzucanych w głębi dziewiczych borów, granitowych skał.

Bo to wszystko mamy tu na jednym miej-

scu, bo temu uroczemu zakątkowi, cała Finlandya nadesłała w darze wszystko, co jest jej właściwością, co ją wyróżnia od wszystkich krajów w Europie, co stanowi obcy stronom innym, jej czar. Podstawa ze skały porozpękana tu i owdzie, a na tej podstawie warstwa zalanej wodą ziemi, a na tej ziemi bujna nad wyraz i opis wegetacya. Zupełnie tak, jak nad sajsmańskim jeziornym systematem, w okolicach Kuopio lub Nisslotu, wśród lasów gęstych, dzikich i ciemnych, urozmaiconych tu i owdzie porośłemi sitowiem trzęsawiskami, lub głazami pokrytemi grubym mchem. Zupełnie tak... kontury pejzażu zmysłowe, upodobnione są tu do siebie, podobną do siebie jest i ich dusza, i gdy się krętymi drożynkami wspina tu, niby dzika kozica, po granitach wyskakujących z zielonych, nieruchomych wód, to się doświadcza uczuć takich samych, jak gdy się mknie w karioli na Punka-Harju, lub wdrapuje na szczyt Puijo. Dwoma drogami: zmysłów i uczuć przedostają się tu do naszego wnętrza jednakowe wrażenia, jednakowo też nas nastrajają, na skrzydłach marzeń przenoszą w świat jeden.

Park *Mon Repos* jest ozdobą Wyborga, jego letnim, że się tak po warszawsku wyrażę, salonem. Dawni i obecni właściciele uczynili wszystko, co smak i pieniądz zrobić może, by podnieść naturalną jego krasę; powznosili altany

i świątynie, pobudowali grobowce i kolumny, w skałach granitu powyżłabiali pieczary. Niby północni Pallavicini'owie, chcieli tu stworzyć to, co ta magnacka rodzina włoska w okolicach Genuy, i stworzyli coś, co ustępując tamtemu pod względem sztucznego piękna, tajemniczym urokiem rozlanym wszędzie i na wszystkim, o wiele je przewyższa. To też gdy chodząc po ogrodach Villi w Pegli, wpadamy w zachwyt na widok cacek porozrzucanych tam z artystycznym wdziękiem, tu mając przed oczyma na tle dzikiej i bezładnej, jak gdyby z okresu formacyi nie wyszłej jeszcze przyrody, dzieła rąk ludzkich, z wyszukaniem artyzmem niewiele — prawda — mające wspólnego, ale zastosowane przedziwnie do tego wyjątkowe tła, marzymy długo i słodko, jakby na łonie czegoś blizkiego, czegoś takiego, co nosimy w głębiach własnych naszych serc. I jest nam z temi marzeniami dobrze, i nie pożądamy wcale innych, bo obrazy, jakie wchłaniamy w siebie, darzą nas pełnem zadowoleniem i spokojem.

Była już późna godzina, kiedyśmy błąkając się tak po poszarpanych wodami kanału sajmańskiego brzegach parku, ujrżeli marmurową statwę.

Dokoła otoczona gęstym lasem, na zrębie wysokiej skały stojąca, o kilka zaledwie kroków od kanału oddalona, statua ta uzmysławia

ludziom wytyczną postać opiekuńczego bóstwa Finlandyi, Wajnamojnena.

Kto on jest i po co go tu ustawiono, w tej dzikiej północnej głuszy, co on mówi, co za znaczenie tu ma?

Kto on jest? Posłuchajmy starej fińskiej baśni, a znajdzie się na pytanie nasze odpowiedź:

Na początku nie było nic, były tylko niezmierzone przestworza, a wśród przestworzy tych Ilmatar.

Bujała od wieków w powietrzu, ponad wodnemi głębiami, więc jej się znudziło to w końcu, i opuściła się zwolna ku nim.

I o mało nie przypłaciła tego śmiercią.

Wiatr ją porwał, targał niby lekkim piórkiem, i byłby ją pogrzyzył w morskich toniach, gdyby opatrność nie zlitowała się była nad nią.

Tajemna siła uniosła ją na wierzch wody, i rozpoczęła nową wędrówkę po ich zwierciadle, która trwała okrągłe siedm wieków.

Ale wędrówka ta zbyt była długą, aby jej zmiennej, jak kobiecie, przypadała do gustu.

Więc zawołała: biada mi Ukko, wielka niebios królowo, żem się spuściła ze sfer powietrznych, na wód grzbiet niezmierny. Potężna Ukko, dopomóż mi w niedoli mojej!

Ledwo te słowa doszły do uszu Ukko, aliści stała się rzecz dziwna.

Ku wód płaszczyźnie, ze sfer niebieskich, spu-

ściła się wdzięczna kaczka, i okrążając ze wszech stron fale, zdała się szukać miejsca na odpoczynek.

Ilmatar wychyliła kolano z wody, kaczka uwiła na kolanie tem gniazdo, i zniósłszy w nie złote i żelazne jajka, siadła na nich, by wysiedzieć kaczęta.

Siedziała już trzy dni i trzy noce, siedziałyby jeszcze dłużej, ale nagle zagotowało się morze, i Ilmatar schowała nogę do wody.

Nagle gniazdko spadło z jej kolana, jajka kacze potłukły się na sztuki, ale gdyby stało się inaczej, nie byłoby wcale świata i nas na nim.

Moc niewiadoma, z łupin jajek złożyła widnokrąg cały, z białka ich utworzyła blady księżyc, a ogniste słońce z żółtka.

Wtedy Ilmatar wydobyła się na ląd suchy, ubrała świat w pagórki, lasy i jeziora, i połączywszy się z wiatrem, dała początek Wajnamojnenowi...

Kalevala, ta wspaniała epopeja fińska, którą Max Müller zalicza do największych epopei całego świata, dalsze losy Wajnamojnena rozacza przed naszymi oczyma. Wtajemnicza nas w jego żywot, zapoznaje z miłosnemi przygodami, ukazuje czarodziejską nadludzką moc.

Mamy więc przed sobą postać nie z tego świata, bo urodzoną nie w sposób, w jaki się wszystko na świecie rodzi, mamy istotę czującą

i kochającą jak człowiek, ale nieograniczoną miejscem i czasem jak Bóg. I przyglądamy się z zajęciem tej postaci, widzimy, że dzięki jej ziemia pokrywa się roślinnością, że czarodziej-skiej sile jej pieśni nikt ze śmiertelnych oprzeć się nie jest w stanie. Widzimy i coś więcej nadto, że jest ta postać jakby aniołem opiekuńczym Finlandyi, że dzięki jej drzewa się zielenią, słońce i księżyc świecą, w sercach ludzkich nie przesiaduje wieczne zwątpienie i gorycz.

Czary Wajnamojnena zawsze i wszędzie pokonywują siły nieczyste, jego „kantela“ wszędzie i zawsze rozlewa radość dokoła. A kiedy koleją nieubłaganych rzeczy ludzkich, syt lat i chwały porzuca on swoją ojczyznę, idzie w tę odległą drogę, z której się już nie powraca, pozostawia Finlandyi w darze to, co jest osłoda w utrapieniu, pociechą w zgryzotach, busołą na morzu przeciwności: swój rozum i swoją pieśń.

Wtedy to. — tak się kończy *Kalevala*, — stary Wajnamojnen zanucił swój ostatni śpiew, i zrobiwszy czółno ze spiżu i barkę z podstawą z żelaza, popłynął w dalekie strony, w niedoścignione przestrzenie nieba.

Tam zatrzymał swoją barkę, tam znalazł podróży swojej kres. Ale dla wiecznej radości Finlandyi, pozostawił na ziemi swoją *kantelę* i swoje wielkie runy.

W parku *Mon-Repos*, Wajnamojnen, ten półbóg i półczłowiek, przedstawiony jest ze swoją

kantela. Lewą rękę wyciągnął do góry, oczy uniósł, jakby szukał natchnienia w niebie, a prawą opuściwszy na kolana, z czarodziejskiego swojego instrumentu wydobywa prześliczne tony.

I zdaje się, że cały świat zamilkł, by się wsłuchiwać w jego muzykę, że żadna żyjąca istota, gdyby tu się przypadkiem znalazła, nie ośmieliłaby się przerwać koncertu, jaki wygrywa tu w tej dzikiej samotni, nie mając za słuchaczy nikogo, okrom skał, wody i drzew. Zdaje się i coś więcej jeszcze: że tą muzyką czaruje on całą tu przyrodę, że spokojem i błogością jakąś dziwną, napęlnia tu wszystko, że w ten świat nieokiełznanych siłą wyższą żywiołów, wprowadza pierwiastki harmonii i porządku.

Posąg, dzieło fińskiego rzeźbiarza Jana Takanena, ponad poziom poprawnej mierności nie wyskakuje, ale nie o artystyczną wartość jego też chodzi.

W ustawieniu go tu w tym cichym kącie, tak bardzo przypominającym krajobrazy całej Finlandyi, tkwiła niezawodnie myśl inna, z wywoływaniem estetycznych wrażeń w widzu nie mająca wiele wspólnego. Mając w miniaturze pod ręką w tym parku jak gdyby kraj cały, chciano uzupełnić jego panoramę, więc by złudzeniu cechy rzeczywistości nadać, opiekuńcze bóstwo tego kraju, ze sfer obłocznych sprowadzono na ziemię.

I stoi też ono tu od lat szeregu, i patrzy kamiennem okiem na te masy podmywających stopy jego wód, i zdając się wydobywać ze swojego instrumentu tony tęskne a chwytające przecież za serce, śle niby błogosławieństwo wszystkiemu, co tu w tem romantycznem pustkowiu, tak żywo obrazy Finlandyi na myśl przywodzącem, pracuje, cierpi i kocha, bo żyje.

ROZDZIAŁ II.

Ze świata legend. — Nieco cyfr i uwag nad cyframi. —
Ekwiwalent warunków geograficznych. — Kanał sa-
mański.

.
Pan mórz i lądów, zasiadłszy raz na koralo-
wym tronie, pięciu swym córom umyślił zro-
bić dar z niezmiernych swych bogactw.

Dał zatem pierworodnej swej Azyi szerokie
przestrzenie ziemne, Afryce koronę ze słońca,
Ameryce urodzajną rolę, Australii głębie oceanu.
A kiedy na Europę kolej przyszła, najmłodsze
dziewczę pełne skromności i wdzięku, spostrzegł
ze smutkiem, ten ojciec sprawiedliwy, że wszyst-
ko, co miał, już innym porozdawał, że dla tej
nie pozostało mu już nic.

Więc zaczerpnął pełną garścią ze skarbów,
którymi obdzielił starsze córy, rozrzucił je pod
stopy Europie, i biedną tę zapomnianą dziew-
czynę, osadził na najbogatszym tronie.

I panowała ona niezliczone już lata nad zie-
mią, co zamknęła w sobie skarby ziem innych:

i przestrzenie łądów szerokich, i skiby płodne i blaski słońca i wód tonie, a gdy i ona przeczuła dni swych koniec, śladem rodzica przyzwalała z kolei córki, by je przed śmiercią wprowadzić w posiadanie dziedzictwa swego.

Wtedy Hiszpania przymówiła się o ognisty kseres, Francyi zachciało się pienistego szampana, Włochom chłodzących pomarańcz, laurów Grecyi, Danii bukowych lasów, Szwecyi żelaza, a Sarmacyi łąnów pszenicznych. I tylko najmłodsza Finlandya, stała milcząca i o nic nie prosiła, a kiedy ją o powód milczenia zagađnięto, temi słowy przemówiła, łkając głośno:

— Przecież już, o matko ukochana, rozdawałaś wszystko, co miałaś, a mnie chciałoby się czegoś takiego, czego już nie masz i dać nie jesteś w stanie.

Ogniste słońce ofiarowałaś siostróm, by im wschodziły złote dzierzaw ich plony, a ja bym chciała otrzymać właśnie słońce, by mi przyświecało w długą noc.

Zamyśliła się Europa, popatrzyła na tęskne dziecko, i przytuliwszy je do swego łona, pocieszała w ten sposób głosem pieszczonym:

— Ciepła słońca dać ci nie jestem w stanie, wzięły je siostry w krajach, w których laur i cytryny kwitną, ale ograbię słońce ze złotego światła, i światło jego ofiaruję ci, niby wiano do ślubu. Dostaniesz zatem Finlandyo ukochana,

długie miesiące, doszczętnie nocy pozbawione, promienie słońca ujrzysz odbite w lustrze swych jezior, któremi pokryję ci twój kraj, a żebyś nie czuła się pokrzywdzoną przez matkę twoją, która ci życie dała, osadzę go na posadach ze skały, i odgradzę od reszty świata wod słonych wstęgą.

I będziesz panowała nad krajem biednym, a mimo to bogatszym od innych, bo posiadać on w sobie będzie to, czego żaden kraj nie posiada, *tysiąc jezior, i na tych jeziorach tysiąc wysp.*

I była zadowoloną Finlandya ze swego losu, — kończy legenda stara, — i nie zazdrościła starszym swym siostróm, w dzierzawach których złościła się pszenica, laur kwitnął i pomarańcz wschodziła, i w ubóstwie swoim uważała się za najbogatszą, choć jej dola najwesełszą przecież nie była.

Trzeba zaiste bujnej fantazyi ludu, tej, jak powiada poeta, dziwnej czarodziejki, „co ma oczy, które w niebo zagląдают i nawskróś ziemi widzą“, aby na tle szarej rzeczywistości stanowiącej warunki bytu Finlandyi, osnuć przedzę o podobnej tęczy kolorach, trzeba sporej dozy filozofii życiowej nie zazdroszczącej nigdy niczego i marne okruchy szczęścia uważającej za szczęście samo, aby nie łamać rąk w niemieckiej rozpachy w położeniu, w którym niejednym ręce

opadłyby bezsilne, i poprzestając na tem, co się ma, jeszcze położenie własne uważać za fortunniejsze od doli innych.

A jednak tak z Finlandyą właśnie jest.

Jak w tej legendzie, bajeczna Europy córa, żądając mało, w tem, co dostała, zamknęła szczęście swoje, tak w rzeczywistości każdy w tym kraju nie tai zadowolenia z losu swego, mimo, że warunki geograficzne Finlandyi, raczej za ponizoną pasierbicę Europy, niż za drogie sercu jej dziecko, uważać ją pozwalają.

Kto chce dowodu, niech mu go naprzód dadzą cyfry.

Finlandya jest rozległym krajem, rozsiadłym na przestrzeni liczącej 373,600 kilometrów. Jak to już powiedzieliśmy wyżej, jest to przestrzeń większa od tej, jaką zajmuje Wielka Brytania z Irlandyą, a mało co mniejsza od przestrzeni tych dwóch krajów z Holandją i Belgią razem wziętymi. Zdawałoby się, że kraj tak wielki, zamknięty między 60 a 70 stopniem szerokości geograficznej, w znacznej przynajmniej uprawnny jest części, że kultura rolna, jeśli w nim nie dotarła na wysoką północ, bo temu sprzeciwiają się wieczne niemal mrozy, to przynajmniej słońcowała sobie zachodnie i południowe morskie wybrzeże, oraz skropione niezliczonemi jeziorami jego wnętrze.

Gdzie tam, statystyka przeczy temu. Oto za

nim jeszcze znaleźliśmy się w Finlandyi, dowiedzieliśmy się z niej, co następuje:

Że 60% jej powierzchni zajmują lasy i skały,
20% bagna i trzęsawiska,

12% jeziora,

że zatem tylko ósma część kraju, ściśle biorąc jest jego żywicielką.

Jeżeli teraz zważymy, że Finlandya liczy obecnie 2,300.000 dusz, i że cała jej ludność miejska nie przenosi 219.000, to zobaczymy, że po wsiach i w lasach żyje tam przeszło 90% mieszkańców, trzymających w swoich rękach 8% uprawnej ziemi. Położenie rzeczywiście nie wesołe, to też nic dziwnego, że jest ona peryodycznie nawiedzana klęskami głodu, i że bez importu zboża z zewnątrz obejść się nie byłaby w stanie.

Ale jeżeli grunt skalisty i klimat ostry zaliczają tu się do minusów, jeśli córka Europy mogła z wyrzutem powiedzieć swojej matce, że starszym siostrom rozdarowała wszystko, co miała, że dla niej nie pozostało już nic, to jest tu przecież potężny ekwiwalent, który braków przyrody jeśli nie usuwa, to przynajmniej je łagodzi, a jest nim charakter zamieszkującego Finlandyę ludu.

Roztwieramy dzieło Topeliusa, i oto zdanie, które wpada nam w oczy:

— Przyroda i tradycya, na fińskim typie od-

cisnęły ogólne znamię, które pomimo odmian we wnętrzu kraju, zwraca na siebie uwagę każdego. Takimi charakterystycznymi rysami narodu fińskiego są: cierpliwość, energia i wytrwałość z uporem niekiedy granicząca, poddanie się losowi, spokój w chwili niebezpieczeństwa, a ostrożność po jego przejściu, posłuszeństwo, poszanowanie prawa, gościnność i religijność.

I dalej:

— Finna łatwo odróżnić od innych ludów można, gdyż jest zamknięty w sobie, mało wylewający się na zewnątrz. Lodowa skóra nie prędko na nim taje. Potrzeba bardzo wiele czasu, aby zbliżył się on do kogo, ale gdy raz się zbliży, staje się wiernym przyjacielem.

I jeszcze dalej:

— Aby rozruszać Finna, — wyraził się raz admirał Stedink, — trzeba pod niego podłożyć petardę i zapalić ogień.

Otóż te cnoty, a zarazem i wady Finnów, są ekwiwalentem niedostatków przyrody Finlandyi, wynagradzają jej inne braki, i gdyby nawet rozczulona przy podziale bogactw swoich, pokornością najmłodszej swej córki, Europa, nie była jej, jak mówi legenda, ofiarowała „promieni słońca odbitych w lustrze tysiąca jezior, osadzonych na posadach ze skały i odgradzonych od reszty świata wód słonych wstęgą“ — jeszcze

nie powinnyby zazdrościć innym krajom, gdyż od Opatrzności dostała w udziale: lud pracowity i wytrwały, o którym tak jak o Holendrach powiedzieć można, że posiada serce gorące, głowę chłodną, a żelazne ramię.

Że tak jest, uczy nas historia, uczy i stan obecny tego kraju, jego podboje dzisiejsze w świecie przyrody, pomniki budownictwa na lądzie i na wodzie, stopień powszechnej oświaty.

Naprzód historia.

Kiedy Eryk Święty szwedzki, w roku 1157, zbrojne swe hufce przerzucił na drugą stronę morza Bałtyckiego, obszary ziemne zamknięte z jednej strony odnogami Botnicką i Fińską, z drugiej wiecznymi lodami, zamieszkiwał stary naród, pierwszy ze znanych narodów we wschodniej, północnej, a w znacznej części i zachodniej Europie.

Jeszcze w początkach naszej ery, naród ten nazywano „Finnami“, ale on sam nazywał siebie „Suomalajnen“, a kraj, który zamieszkiwał: „Suomi“.

Naród ten, był narodem wojennym, siła jego jednak spoczywała w obronie ognisk rodzinnych. Czczył słońce i ogień, i wierzył w to, że świat stworzyła siła słowa. Lubił muzykę, poezję, a posługiwał się językiem miękkim i melodyjnym. Reclus powiada, że jego mowa, z pomię-

dzy wszystkich na całym świecie wyróżnia się: słodyczą, dźwięcznością i bogactwem.

O naród ten otarły się: chrześcijaństwo i cywilizacja zachodnia, ale długiego potrzeba było czasu, aby zapuściły w nim korzenie. Dwieście lat pracy zaledwie wystarczyło na sokołowanie Szwecyi tego kraju, trzy pochody krzyżowe o mały włos nie skończyły się tu na niczem. Upór Finnów przy starem, odtrącał wszelkie z zewnątrz nowości.

By nie przedłużać do zbytku ustępu tego, powiemy, że w dziejach Finlandyi, od pierwszego zetknięcia się ze Szwedami, znać silną i wyraźną nić: wytrwałości, cierpliwości i odwagi.

A dziś?

Już zestawienie z sobą dwóch cyfr: z jednej strony 2.300,000 mieszkańców, a z drugiej 60% lasów i skał, 20% bagien i moczarów i 12% jezior i bieżących wód, a tylko 8% uprawnej ziemi, w strefie zamkniętej między 60 a 70 stopniem szerokości geograficznej, najdokumentniej świadczyć musi o tem, że człowiek tu nie na różach zaiste położony, tylko energią, pracą i wytrwałością mógł wywalczyć sobie warunki egzystencji; że gdy na jego życie sprzysięgła się sama natura, to umożliwić życie mógł on tu sobie, przeciwstawiając jedynie ślepym i sro-

gim jej siłom, niezłamaną przeciwnościami wole, i nie zamacony mglistemi marzeniami rozum.

Tak jest, i każdy drogą umysłowej dedukcyi, musiałby dojść, myśląc o tym kraju, do takich wniosków wtedy, gdyby nigdy w nim nogi nie postawił, nigdy nie odetchnął powietrzem jego borów i wód. Ale przyznając, że w warunkach tak ciężkich, życie dwóch milionów istot ludzkich możliwem w nim jest jedynie przy ich odporności fizycznej i harcie ducha, jednocześnie ze wszelkimi pozorami prawdy mógłby zarazem twierdzić, że jak wszędzie na tak odalonej północy, człowiek w Finlandyi dokonawszy wielkiego dzieła, że żyć może, na tem dziele poprzestać był zmuszony, i zatrzymany na kultury niskim stopniu, poza szranki zwierzęcego życia tam nie przekroczył.

A jednak...

W krótkości zdajmy sprawę z obecnego stanu tego kraju.

Warunki geograficzne, geologiczne i klimatyczne, znane, zobaczymy, co w tych warunkach tu działośo.

Finlandya nie jest zaludniona przez jeden naród. Podczas gdy całe jej wybrzeże morskie wzdłuż zatok Fińskiej i Botnickiej obsiadują Szwedzi, napływowy element z czasów gdy oni tu władali, całe jej wnętrze zamieszkują Finowie, lud ze Szwedami nie mający nic wspól-

nego, obcy im pochodzeniem, tradycją, mową. Szwedów jest niewielka liczba, wszystkiego 14¹/₁₀, ale siedzą oni nad morzem gęsto, i odrębną od reszty kraju pieczęć wycisnęli na całym jego wybrzeżu. Cały szereg miast pięknych, zabudowanych porządnie i prawidłowo, dobrze uprawiona pod zbożem i ogrodami ziemia, wreszcie porozrzucane nad dwiema zatokami fabryki, oto owoc ich długiej pracy. Niby opatrnościowi siewcy, przyszli tu oni z daleka przed wiekami, i pozostawili w spuściźnie to, co tam nad morzem dziś widzimy: kraj zagospodarowany i piękny, wykarczowany, uprawny, pokryty wygodami budowlami, mówiący do ciebie, gdy go nawiedzasz, głosem zadowolenia i dobrobytu.

Finnowie, druga narodowość, dominująca w Finlandyi liczebnie (85⁰/₁₀) już z tego względu, temi, co na zachodzie Szwedzi, poszczycić się nie mogą zdobyczami, że rozrzućeni zostali po daleko szerszych przestrzeniach, i że dostał im się w udziale kraj odcięty od brzegów morskich, porosły gęsto borami, zatopiony w całym swym wnętrzu mnogością moczarów i wód, pokryty na całej północy nie topniejącymi prawie nigdy lodami. Nie pobudowali więc miast tak wspaniałych, jak Helsingfors lub Abo, nie pozakładali ogrodów takich, jak Szwedzi na zachodzie, nie dźwignęli takich, jak oni tam fabryk, ale przez puszcze leśne poprowadzili wygodne drogi,

w środek borów dotarli z siekierą w rękę, posuszali bagna i błota, powznosili na ich miejscu ludzkie schroniska, i tam, gdzie niedawno jeszcze rosły niebotyczne drzewa, pozakładali sztucznie łąki, na których pasą się dziś całe stada koni i krów. Ich siedziba, to nie ten wesoły i uśmiechnięty kraj, co przysiadł się długą linią do morza, wdzięcznie wygięty ku jego użyźniającym wszystko falom, nie, to kraj smutny i smutkiem przejmujący, ale jednocześnie budzący w tobie, dla obsiadujących go mieszkańców nieklamany szacunek. Wiesz, czem on był przed wiekami, czujesz, gdy tu jesteś, czem on byłby, gdyby go zaludniali ludzie o nerwach słabych i kaprysach niewieścich. Czujesz to, i jest ci też tu, między tymi energicznymi ludźmi jak w domu, i z ożywiającej ich siły ducha przedostaje się coś nie coś i do ciebie.

Natura odmówiła krajowi temu płodnej ziemi, ludzie stworzyli w nim kulturę zwierząt domowych, wywóz których równoważy niezbędny do wyżywienia jego mieszkańców przywóz zboża; nieprzejrzany ogrom wód, nieprzebyty dziewiczy las pokrył całą jego powierzchnię, ludzie znowu połączywszy sztucznie z morzem jeziora, pobudowawszy nad ich brzegami całe setki tartaków, pierwszorzędne zagraniczne rynki zawałili finlandzkimi deskami. Z przyrodzenia żeglarze, postanowili oni drogą handlu powetować

straty, jakie kraj z niedostatku urodzajnej ziemi ponosi i w znacznej części je powetowali. Po zakładawszy sztuczne łąki, wywożą dziś oni za granicę rok rocznie za 13 milionów franków nabiału, i sześć do ośmiu tysięcy koni. A gdy do tych dwóch cyfr dorzucimy dochód: z wysyłanego do najdalszych portów świata przero-bionego na deski, drzewa, oraz z fabrykatów takich, jak: papier, przetwory żelaza i granit, wreszcie ze zwierzyny i z ryb, to się przekonamy, że uboga i upośledzona tak srodze od przyrody Finlandya, dzięki pracy i energii człowieka, rok rocznie dzieli się ze szczęśliwszemi i bogatszemi od siebie krajami, produktami wartości nie mniej nie więcej tylko 120 milionów franków. Stu dwudziestu! a jeszcze w r. 1857 wywoziła ona wszystkiego za granicę ze sze-snaście niecałe milionów.

Podbój przyrody, rozwój materyalny, szedł w tym kraju oddawna ręką w rękę z postępem umysłowym. Dla pośpiechu nie mówmy o tem, co było wczoraj, zatrzymajmy się chwilkę nad tem, co jest dziś.

Otóż godzi się z naciskiem przytoczyć, że kraj ten należy do najbardziej oświeconych w całej Europie krajów; że liczba nie umieją-cych czytać nie przechodzi w nim dziesięciu na sto. Co więcej: znajduje się w nim 957 szkół ludowych fińskich i szwedzkich, 56 szkół dla

dziewcząt, 25 szkół państwowych elementarnych, 28 liceów, i wreszcie Uniwersytet w Helsingforsie.

Powtórzmy:

W sferze materji: kraj zabudowany, przernięty wybornemi drogami, połączony sztucznemi kanałami z morzem i dzielący się nadmiarem dóbr swoich z obcemi.

W sferze ducha: rozlana do najodleglejszych kątów oświata ludowa, przeszło tysiąc niższych i wyższych szkół, kilkadziesiąt czasopism, kilkanaście towarzystw naukowych.

A teraz przypomniawszy sobie starą legendę, zapytajmy, czy braków przyrody nie równoważy w Finlandyi człowiek, i czy gruba, przytłaczająca wszystko materja, nie została tu podporządkowaną potęgóm (o ileż wyższym nad nią) rozumu i woli?

Kanał sajmański, na wody którego za chwilę wpłynąć mamy, jest właśnie jednym z pomników, jakie tu człowiek zbudował wytrwałości swojej i pracy.

Chodziło mu o sztuczne połączenie jeziora Sajma z morzem, i o zbliżenie tym sposobem serca całej Finlandyi, do jej zachodnich i południowych kończyn. Przedsięwzięcie takie, ze względu na niewielką szerokość ziemnego pasa, odcinającego od siebie powierzchnie dwóch wód, słodkich i słonych, przy środkach, jakimi roz-

porządza dziś inżyniera, w każdym innym kraju, nie byłoby nawet przedsięwzięciem zbyt śmiałym, tu przecież na miano zuchwałego zasługuje, aby je bowiem urzeczywistnić, należało ryć się nie w ziemi, jak gdzieindziej, ale w będącej podstawą Finlandyi skale. To też ogrom przedsięwzięcia tego długo zrażał i obezwładniał wszystkich, nie sparaliżował jednak niczyjej woli, i dziś jeżeli największe parowce drogą szluz sztucznych, niby po wschodach przedostają się z zatoki fińskiej, na wyżej od niej o 36 sążni położone wody Sajmy, stało się to dzięki jedynie temu, że w tym dzielnym kraju, jak tylko rozum postanowi osiągnąć pewien cel, w posługach jego będąca silna wola bezzwłocznie ku celowi temu się zwraca.

Kanał sajmański jest dziełem względnie młodem, datuje bowiem od roku 1856. Budowano go 13 lat, a kto przepłynie wodami jego od Wyborga do Lauritsala, ten nie powie, by go budowano zbyt długo. I gdy straciwszy z oczu poszarpane brzegi Parku Mon Repos, spostrzeże, że przestrzeń, którą przebywa, w znacznej części wykutą została w granicie, to raczej przyzna, że czas zużytkowany na budowę, tylko przy nieustającej ani na chwilę pracy, mógł nie zostać przedłużonym i to o wiele. Tu nie krokami posuwano się naprzód, ale cał po cału wyłamy-

wano ze skały, tu nie łopaty i taczki były w ruchu, ale ogień i żelazo szerzyły spustoszenie. Więc w tych warunkach nie pracowano zbyt długo.

Kilkunastogodzinna podróż po kanale sajsmańskim jest pełną żywego interesu. Z południo-wschodu biegnie on dość długą linią na północ, a że przecina kraj malowniczy, więc i obrazy, jakimi darzy po drodze, uderzają przyjemnie. Widzimy tu i uprawnych pól nieco, prawdziwą rzadkość w Finlandyi, i grupy skał dzikie, porośłe gęstym lasem, i rozległe moczary, nad którymi unoszą się wodne ptaki. A tu i owdzie wznosi się piękna villa petersburskiego lub wyborskiego magnata, strzela ku niebu wieża domu Bożego, lub rozpościera się fińska zagroda z charakterystycznymi domkami z drzewa, o ścianach koloru buraka, a białych futrynach w oknach i drzwiach.

Płynę „Konkordyą“ i mogę tym wszystkim osobliwościom napatrzeć się nieco, dzięki temu, że mój statek parowy nie odbywa drogi bez przerw. Ilekroć zatem, przedostawszy się w szluzę, siłą wlewającej się z wyższej płaszczyzny wody, podnoszony jest on niby bezwładne dziecko, do góry, korzystam z czasu, i przedostaję się na brzeg, by bezpośrednio wejść z brzegiem tym w styczność. A że tych szluz na kanale

sajmańskim jest 28, że proces podnoszenia „Konkordyi“ naszej trwa w każdej z nich kilkanaście minut, przeto dzięki temu, kraj, którym jadę, ukazuje mi się nie jak w panoramie, dokładniejszego o nim nabrać jestem w stanie pojęcia, niż gdybym mknął środkiem jego całą siłą pary.

Przy Lauritsala spotykamy się z ostatnią szluzą i z największemi tu skałami. Ujawszy w kleszcze wody kanału, sterczą ich ściany jak dwie potężne bramy i przejmują podziwem i grozą. Przez wieki całe były tu one oprawą dla niezmiernych wód Sajmy, zabezpieczeniem dla nizin ciągnących się daleko na południe. Dziś spełniają inne posłannictwo: są gwarancyą trwałości wielkiego cywilizacyjnego dzieła, którego przeznaczeniem jest, jak żyły krew po organizmie ludzkim, rozprowadzać po tym kraju karm dla ciała i ducha.

Za Lauritsala, za tą skalistą bramą, bieleje w dali wielka wodna płaszczyna, a nieco w bok widać osadę ludzką. Płaszczyna, to jezioro sajmańskie, osada, to Wilmanstrand, Lappenranta, jak go Finnowie nazywają. Rozsiadł się on amfiteatralnie nad jeziorem i otoczony gęstym, czarnym lasem, przegląda się w jego wodach.

To pierwszy dłuższy postój w tej drodze,

a zarazem pierwsze miasto o charakterze na wskrós fińskim.

Po kosmopolitycznym Wyborgu, po nadmorskich szwedzkich grodach, nie bez uczucia zaciekawienia przechodzi się też z pomostu statku na jego teren.

ROZDZIAŁ III.

Góry i rzeki. — Naturalne połączenie Sajmy z morzem. —
Rzeka Wuoska. — Wodospady: Imatra i Walinkoski.

Finlandya jest krajem olbrzymich puszczy leśnych, niezliczonych i niezmiernych jezior, głębokich trzęsawisk i błot, — ale niskich gór, oraz krótkich i płytkich rzek.

Pragniesz przyjrzeć się krajobrazom jej lepiej, więc w miejscowości, do której kolej nie dociera, najmujesz dwukonny wózek, i usadowiwszy się w nim od biedy, przerzynasz szerokie przestrzenie.

Co widzisz?

Że nieodstępnyymi twymi towarzyszami są jeziora i las; że koło twojego wehikułu co krok potraça o twardą skałę; że tu i owdzie przeświecają ci się przez drzew gałęzie mokradła, lub czernią posępnie błota. Ale gór, tych gór wspaniałych, które naprzykład w Norwegii witają cię na każdym kroku, ale rzek, tych majestatycznie szerokich wstęp wodnych, które w po-

dobnie jak Finlandya wyrwanej morzu Holandyi urozmaicają i ożywiają krajobraz, wijąc się wśród łąk bujnych, dyszących aromatem polnego kwiecia, tu nie dostrzegasz, a te, co widzisz, jakże są niepodobne do tych, do których w innych krajach przywykło twoje oko. Zamiast pierwszych, masz na każdym kroku archipelagi skaliste, ściany granitu baryerują ci drogę, gdy mkniesz posępną leśną głuszą, rozpościerają się falisto przed oczyma, lub strzelają ku górze ostrym szpicem. Rozrzucone wszędzie, nigdzie przecież nie tworzą one jednolitej olbrzymiej masy, nigdzie nie bodą obłoków swoim cielskiem. Czy się zapoznaje z Finlandyą od strony morza, czyli też płynie się statkiem po jej wewnętrznych wodach, lub błąka po jej borach dziewiczych, wszędzie się je ma, gdzie się wzrok zwróci. Na lądzie, w wodzie, wśród trzęsawiska, sterczy ci ustawicznie ich ząb z granitu, ostrzegając, byś się ku niemu nie przybliżał, byś go omijał, jeśli ci życie miłe. Gór skalistych brak zupełny gdyż i te co się znajdują na północy są karłami w porównaniu z górami Europy, ale za to odłamów ich niezliczone doprawdy mnóstwo. Rzekłbyś, że jakaś nadludzka siła potrząsała tu na sztuki pasmo górskie, i skalistemi jego ułamkami zasypała cały kraj. Część wpadła w morze i utworzyła słynny archipelag nadbrzeżny, część na jeziorach sformowała kamie-

niste wyspy, a reszta dostała się między zarośla leśne, i tam wśród błot i moczarów drzemie w wiekowej ciszy.

Toż samo rzeki.

Finlandya posiada rzek wiele, wszystkie one przecież zaledwie złożyłyby jedną wielką rzekę europejską. Charakterystyczne ich cechy: krótkość i płytkość, a gdy dodamy do tego, że większość ich zasiana jest kamienistemi porożami, to zrozumiemy, że jako komunikacyjne środki nie mają one dla kraju wielkiego znaczenia. Jeździ się łódką po zatokach morskich i jeziorach, karyolą lub wierzchem po drogach leśnych, ale rzeki omija się skrupulatnie, nie łączą one bowiem jak gdzieindziej tu ludzi z sobą, ale dzielą, i to nawet wtedy, gdy mróz ściśnie wszystkie wody i w jedną gładką taflę je zamieni. I wtedy nawet, kamienie zawalające łożyska rzeczne i wyskakujące z pod lodowej powłoki, wymownie ostrzegają każdego, ktoby zuchwale sądził, że uzbrojony łyżwami, zdoła sobie skrócić przestrzenie.

Ten dziwny rodzaj rzek finlandzkich, geologia objaśnia w ten sposób:

Był czas, kiedy Finlandya była dnem morskiem, kiedy morze Bałtyckie było zatoką oceanu polarnego, którego fale i lodowe góry pokrywały cały północo-wschód Europy. Wtedy z ponad płaszczyzny wodnej unosił się jedynie do

góry skalisty grzbiet Skandynawii, a zaludniały i ożywiały te puste, dzikie przestrzenie, foki i mewy. I byłaby Finlandya po dziś nie znała mieszkańców innych, gdyby nie olbrzymia siła, której w rzeczywistości zawdzięcza ona swój byt.

Siłą tą był ogień.

Wiekowy wulkaniczny proces we wnętrzu ziemi dokonywał ciągle przewroty, cał po calu, dźwigał do góry skalistą powierzchnię, aż nakoniec uniósł ją na tyle z fal morskich, że umożliwił na niej człowiekowi życie. Ale choć odparte na zachód, wody morskie nie opuściły przecież Finlandyi, przeciwnie, w środku jej uformowały drugie wewnętrzne morze, i szerokimi zatokami komunikowały się z morzem na zewnątrz.

Wieki biegły, podnoszenie się Finlandyi do góry nie ustawało przecież na chwilę. Stało się więc to, co się stać w warunkach takich musiało. Zatoki ścieśniły swoje koryta, przemieniły się z czasem w wązkie rzeki, a gdy tające na wiosnę lody zaczęły je zasypywać górskimi kamieniami, w rzekach tych już i tak niegłębokich poformowały się porohy, uniemożliwiające żeglugę i tworzące wodospady. Porohy te nie wszędzie jednakowych rozmiarów, znajdują się przecież wszędzie, a o mnogości ich najlepiej świadczy pograniczna na północy rzeczka Torneo. Na niewielkiej stosunkowo przestrzeni 481

kilometrów, liczy ona 192 porohów, w 192 miejscach wody jej stawiają człowiekowi zapory. To też lekkie czółenka tylko mknąć po niej mogą, w krótkich miesiącach, gdy roztają lody; ciężka szeroka barka, ten zwykły środek lokomocyi po naszych rzekach, jest tam zjawiskiem nieznanem.

Ta małoważność i małoznaczność rzek dla Finlandyi sprawia, że nawiedzający ten kraj, w bliższe, że się w ten sposób wyrażę, stosunki z niemi nie wchodzi. Większe miasta (z wyjątkiem Abo) znajdują się bądź nad morzem, bądź nad brzegami jezior, dziki krajobraz zamknięty jest w leśnej puszczy — rzeki płyną sobie na uboczu, poza sferą ogólnego interesu. Nie dając przyjezdnemu nic, nic wzamian od niego nie dostają, omija też on je starannie, ilekroć na drodze mu staną. I gdyby nie Aura i Wuoksa, mógłby on przewędrować Finlandyę wszerek i wzdłuż, i nie wyniósłby z niej obrazów rzecznych, godnych zatrzymania w pamięci. Z szybkością spienionych ich wód, utonęłyby one niechybnie w oceanie zapomnienia.

Wuoksa jest wytryskiem Sajmy, i naturalnem połączeniem jego wód z morzem. Połączenie to nie jest bezpośredniem, rzeka ta bowiem urodzona w jednym jeziorze, w drugim śmierz swą znajduje, ale przeprowadzając wody Sajmy

do Ładogi drogą Newy wypływającej z niego, przelewa je do zatoki Fińskiej.

Krótką jak w ogóle wszystkie rzeki w Finlandyi, jak wszystkie inne, dla żeglugi jest bez użytku, i jeżeli od wszystkich innych cieszy się większym rozgłosem, to zawdzięcza dwóm wodospadom, które jej imię rozniosły szeroko po Europie. Wodospady te: Imatra i Walinkoski.

Była godzina 2 po południu, kiedy wstępowałem na pokład statku parowego, mającego mnie podwieźć do Imatry. Mówię podwieźć, wodną drogą bowiem nie dojeżdża się do wodospadu, tylko do Rettijärwi, miejscowości leżącej nad jeziorem tego samego nazwiska, skąd już dyliżans odwozi podróżnych do miejsca przeznaczenia.

Dzień był lipcowy, słoneczny, ciepły. Na pokładzie statku roiło się od turystów, dokoła słychać było przeważnie szwedzką i fińską mowę, choć czasami dolatywały także do moich uszów twarde dźwięki niemieckie i angielskie. Posługujący się językami pierwszymi, należeli do mieszkańców Wyborga, drudzy, to przyjezdni z Europy. Właśnie wczoraj „Von Döbbeln“ wysadził w przystani sporą ilość gości z zagranicy, do późnej nocy wałęsali się oni po parku Mon Repos, ożywiając go głośnemi rozmowami i śpiewami, a dziś razem ze mną udają się do Ima-

try, by przyjrzeć się wodospadowi, o którym w Anglii i Niemczech nasłuchali się tyle.

Parowiec stoi jak zwykle u mostu Aboskiego. Mniejszy od tych, które wpływają na wody Sajmy, jest on przecież dość obszernym, aby dać miejsce kilkudziesięciu podróżnym. Przyjmuje zatem wszystkich, którzy się przez pomost ku niemu cisną, i ani myśli ruszyć naprzód, choć już na łądzie pusto dokoła niego. Nareszcie rusza. Jak zwykle ściągają deski na brzeg, jak zwykle rozwiązują liny, uderzają w dzwon, — płyniemy.

Płyniemy równo, spokojnie.

Most już za nami, za nami śpiczasty półwysp, na którym rozsiadł się Wyborg, podjeżdżamy pod wiadukt kolejowy, przerzucony przez wody kanału, i oto pierwsze jezioro przed oczyma. Gdzieniegdzie kamieniste wyspy, zabudowane niezdarnemi domkami, poszarpane brzegi dokoła, a na dalszym planie las. Las gęsty, czarny, tajemniczy, taki, jaki się ma w Finlandyi na każdym kroku, taki, jaki powitał nas, gdyśmy przekroczyli granicę tego kraju. Jak nas tam wziął w objęcia swoje, gdzie się granica kraju tego zaczyna, tak nie opuszcza nas aż dotąd, i nie opuści chyba prędko. Miasta i wody, to oazy tylko na jego powierzchni, to dywersya w jednostajności jego krajobrazu, to wyjątek od ogólnej reguły, ale regułą tu on; on tu panuje

na tej dalekiej północy, on dyktuje prawa wszystkiemu. I w tem tu miejscu masz go, gdzie oczy rzucisz, spuszcza się po pagórkach ku wodzie, przegląda i kąpie w niej, i jeżeli dzieli z czem władzę w tym kraju, to chyba ze skałami granitu, na którego przypruszonej ziemią warstwie rośnie, niby na wilgotnej poleskiej glebie.

Podróż wodna do Rettijärwi trwa zazwyczaj trzy do czterech godzin, ale gdyby trwała drugie tyle, nie znużyłaby podróżnego. Zaledwie bowiem straci się z oczów Wyborg, ukazują się nam jak w panoramie jedne od drugich piękniejsze obrazy i pochłaniają nas całkowicie. Stoimy więc w zwartym szeregu na pokładzie, przyglądamy się im z zajęciem, gdy przemykają przed oczyma naszymi szybko, i zazdrościmy mieszkańcom tym cichych wiosek, którzy tu odcięci od gwaru wielkiego świata, żyją między pracą i modlitwą. Zazdrościmy!.. jak gdyby był taki szczęśliwy zakątek na kuli ziemskiej, gdzieby dola ludzka, w ludziach zazdrość mogła naprawdę budzić...

W Rettijärwi legion podróżnych bierze rozbrat ze statkiem. Kto znajduje miejsce, sadowi się w dylizansie pocztowym, kto nie, najmuje dwukonną karyolę i w niej do Imatry wieźć się każe. Ja należę do tych ostatnich i nie żałuję wcale tego, na otwartym bowiem wózku sam jeden z mojami myślami mogę się lepiej przyj-

rzeć okolicy, niż okrętowi moi towarzysze, zamknięci w wielkich pudłach.

A jest doprawdy czemu się przyglądać, wieczór bowiem jest uroku pełen. Słońce chyli się ku zachodowi, po znojnym upalnym dniu chłód wieczorny rozpościera się dokoła. W takiej chwili oddycha się swobodniej, pogodniej spogląda na świat. Tak też spoglądam. I ukazuje się też mi ten świat w dziwnie sympatycznych kształtach, dziwnie błogo usposabia mnie, gdy mknę po nim. Znajduję w nim i więcej życia, niż tam nad brzegami kanału, i porządku bez porównania więcej. Osady ludzkie rozsiadły się tu gęściej, pracowitą rękę człowieka znać tu wyraźniej. Las i tu jest, — bo gdzież go w Finlandyi nie ma, — skały i tu sterczą ci po drodze, ale ślady kultury spotykasz wszędzie, gdzie się zwrócisz, ale zadowoloną twarz człowieka widzisz wszędzie. „Jest mi tu dobrze, — zdaje się on mówić do ciebie, — nie posiadam niczego, i nikomu nie zazdroszczę, i daję obraz pełnego zadowolenia w mierności poprzestawiania na tem, co mam“.

Ale cóż to za huk piekielny dolatuje do moich uszu? Wstrzymuję konia i nastawiam z uwagą ucho. Huk podobny jest do oddalonego grzmotu armat. Słucham. Idzie on z daleka ku mnie, rozlega się na olbrzymiej przestrzeni, z każdą chwilą zdaje się rosnać w nateżeniu.

To Imatra. Nie widzę jej, przestrzeń kilkowiorstowa dzieli mnie od niej jeszcze, ale czuję, że wkrótce już znajdę się nad jej brzegiem. Popędzam konia, pragnę tę przestrzeń przelecieć w jednej chwili i dobrze już po zachodzie słońca, wyprzedziwszy o jakie pół godziny dyliżanse pocztowe, jestem u celu mojej podróży.

Imatra, wielka, potężna Imatra, znajduje się u moich stóp.

.
Co się widzi?

Zrazu nie, wzroku zmysł, podporządkowany jest zmysłowi słuchu.

Słyszysz się szum, huk, ryk, uderzanie, niby miliardem siekier o twardą skałę, walenie, niby z posad, świata dłońmi Tytanów.

Ten piekielny hałas przewierca uszy, do wnętrza twojego się wciska, paraliżuje ci wolę, obездadnia twoje zmysły.

Czujesz się bezsilnym, w obec tej siły, niemym, w obec tej mowy, małym, w obec tej wielkości.

Uczucie to wcale się nie zmniejsza, gdy zmysł wzroku po pewnym czasie zaczyna rozróżniać przedmioty.

Widzisz, że z góry, o pochyłości niewielkiej, pędzi w szalonym pośpiechu woda; że wydostawszy się z szerokiego korytka, wepchniętą zostaje w wązkie kamieniste gardło; że co krok

napotykając w gardle tę skałę, uderza o nie, by odepchnąć je precz, i że nie mogąc tego dokonać, rozpryskuje się na pianę.

Te jej zamiary i to ciągle jej fiasco zmienia niemal samą jej naturę.

Z przezroczystej staje się naprzód mętną, z mętnej, jak mleko białą. Pieni się i gotuje jakby w kotle olbrzymim, wiruje jakby w kole zaczarowanym, wreszcie odbita o jedną ścianę skały, by za chwilę spotkać się z drugą, przeinacza się w lotny gaz, i parą unosi się do góry.

Kiedy więc patrzysz na piekielne te jej podskoki, masz przed oczyma obraz taki:

Środkiem łożyska wykutego w olbrzymiej skale, nie jeden potok, lecz spienionych potoków kilka, przewalających się z kamienia na kamień, by ze spotęgowaną siłą runąć na dół.

Po ich brzegach, olbrzymie głązy, jakby tu umyślnie porzucone, by gorączkowość wylewu tych wód wzmacniać, a w samym środku, sterzący do góry granit, wypolerowany od wiekowego naporu fal, o pierś swoją rozbijających ich wściekłość.

Obraz grozy i majestatu niezwykłego. Nie masz podobnego ani w Szafhuzie, ani w Riukanfoss w Norwegii.

Tam rzeki spadają z góry na dół i nikną jakby płynęły po płaszczyźnie, tu przez gar-

dziel kamienisty i długi, jedno morze wpycha się do drugiego: Morze Sajma do morza Ładogi, boć te jeziora na miano mórz zasługują, boć wczoraj jeszcze morzami one były, boć dziś nawet ściśle biorąc, morzami jeszcze są.

Otóż, gdy Sajma położona jest od Ładogi znacznie wyżej, a szyja, przez którą się przelewa, jest niezwykle wąską i nachyloną, niby równia pochyła, pojąć można, co się dzieć musi, gdy wody jej dostaną się w ten przesmyk, i jaki obraz dają one patrzącemu, gdy mu się kłębią przed oczyma na przestrzeni stu kilkudziesięciu sążni.

Lat temu kilka, ponad wodami Imatry unosił się na drucie wielki kosz, w którym żądni niecodziennych wrażeń, przeciągani byli z brzegu na brzeg. Ale zdarzyło się, że dnia pewnego w koszu tym ulokowała się jedna młoda para i w chwili, gdy znalazła się nad środkiem wodospadu, runęła z góry na dół. I byłaby w spienionych falach niechybnie śmierć znalazła, ale cudem, ponad samą wodą drut się wygiął i nie dopuścił do katastrofy. Wyciągnięto nieprzytomnych na brzeg, niefortunny kosz jednak skazano na zagładę. Dziś go nie ma, a obok miejsca niedoszłej katastrofy, wznosi się żelazny most, dający patrzącemu wszelkie bezpieczeństwa gwarancje.

Stoję na tym moście i w zawieszeniu między niebem a ziemią spoglądam na dół.

Godzina jedenasta w nocy, księżyc pełną twarz swoją oprowadza po widnokręgu.

Jest widno, jak zwykle latem w Finlandyi, najmniejsza chmurka nie brudzi lazuru nieba. W hotelu wszyscy układli się już do spoczynku, by jutro do dnia obserwować wodospad, wszystko więc śpi, z wyjątkiem mnie tu na górze i tej wody wściekłej, rozhukanej, niosącej śmierć i ruinę wszystkiemu, tam na dole.

Patrzę i myślę.

Imatra jest wspaniała, ale straszna, przejmuję podziwem, ale i lękiem. Czem jest człowiek w obec niej? — niczem, a jego siła? — lekceważenia godnym przedmiotem. Na górze pokrytej lodowcami, na oceanie spienionym i złowrogim, w ponurem, słońca pozbawionem podziemiu, może on żyć, działać i myśleć. Ale tu? Stać musi z założonemi rękami na piersiach, patrzeć w niemym zachwycie na grozę, jaką ma przed oczyma, a gdyby kiedy pokusił się olbrzymowi wodnemu wsiąść na kark, jużby z pewnością olbrzyma tego nie oglądał. I gdy staczając się z najwyższej góry, może on jeszcze zatrzymanym być w biegu; gdy tonąc w rozhukanym oceanie, może jeszcze spodziewać się ocalenia, tu, gdyby się dostał kiedy, niby w piekle Dantejskiem, ratunku jako żywo nie znaj-

dzie. Mogą tłumy stać na tym moście, łądzi szereg kołysać się na brzegu, nikt mu z pomocą pośpieszyć nie będzie w stanie, i jedno tylko, co ofiarować mu każdy w okropnej chwili może: korną modlitwę do Pana Zastępów, by mu w tym wirze rozhukanym, dał śmierć prędką i od cierpienia wolną.

Myślę dalej.

A jednak, jeśli to nie ulga zaprzeczeniu, jeśli rzeczywiście nigdy człowiek nie utrzyma się na falach kaskady, co przez godzinę 67 milionów stóp kubicznych wody przelewa z góry na dół, to za pewnik uważać można, że nie pozostawi tej olbrzymiej siły w spokoju, że ją zaprzęgnie do cywilizacyjnej pracy. Połączywszy sztucznie Sajmę z zatoką Fińską, przewierciwszy skalistą powłokę, odcinającą jezioro od morza, poprowadziwszy szyny żelazne na najwyższy północny punkt na kuli ziemskiej, wytworzywszy jednym słowem warunki kulturalnego życia w kraju, przeznaczonym od przyrody na wieczną śmierć, zabierze się on do Imatry, da uczuć wodom jej, potęgę rozumu swego.

Jak dotąd, czas na to jeszcze nie nadszedł, narzędzia do takiej walki nie są jeszcze pod ręką, brak środków materialnych paraliżuje wysiłki woli.

Ale maluczko, maluczko, a nadejdzie ten czas, a spełni się wielkie przedsięwzięcie. I Ima-

tra, która dziś oczom daje obraz nieokiełzanego żywiołu, urągającego zuchwale człowiekowi, jutro być może, stanie się narzędziem w jego ręku, służalczą siłą do osiągnięcia rozumnych jego celów.

W Finlandyi, gdzie na każdym nieledwie kroku spotykasz ślady zwycięstwa myśli i woli, nad brutalną przyrodą, horoskopu takiego zuchwałym i fantazyjnym, nikt chyba nazwać się nie poważy.

.

Majestatyczna groza Imatry i poezya tej grozy, nie od wczoraj ludziom natchnienia, służyła tu za temat do poematów dźwięków i barw.

Opiewali ją poeci, uwieczniali na płótnie malarze, a reprodukeye obrazów Lindholma zapoznały z nią tych nawet, którym podróż na daleką północ zdawała się niepodobieństwem.

Co w tem dziwnego, że i baśń ludowa, jak bluszcz dokoła ruin, rozsunęła tu nieć swą pajęczą, świat dzikiej rzeczywistości zaludniwszy istotami nie z tego świata?

Jak duch nieszczęśliwego kochanka Maryli co snując się nocną porą około fatalnego mostu w Mickiewiczowskiej Rucie, dotkliwe psoty wyrządzał podróżnym, mszcząc się na nich za to że nie usłyszał z ust ich słów, których nada-

remnie wyczekiwał od ubóstwianej, tak duchy potopionych w Imatrze, co noc wychodzić mają z wód głębin, i strachem błędzących nad jej brzegami przejmując, w okropny wir wciągać na śmierć niechybną.

To też rzadki tylko podróżny naraża się na to niebezpieczeństwo, rzadki tylko, tajemniczy świat duchów, wyzywać się ośmiela, kto jednak jest do tyła odważnym, i późną nocą w tych stronach się znajdzie, ten przyznać musi, że za zuchwalstwo swoje, po królewsku zostaje wynagrodzonym.

Nie widzi duchów, chyba duszy oczyma, nie słyszy ich pociągających w głąb dźwięków, chyba wyobraźni uchem, — ale ma za to przed sobą obraz wspaniałości nieopisanej, wielkość natury ukazuje mu się w kształtach niezwykłych, ale za to tajemniczą jakąś siłą wstrząśnięty zostaje do głębi.

Spokojna noc, łagodni mu wprowadzi dnia blaski, mdły księżyc słabiej wprowadzi oświeca mu widnokrąg, ale cisza i tajemniczość przyrody, potęgują piekło grozy, podnoszą ją do bajecznych rozmiarów.

I zdaje się, że to nie jezioro wlewa się do jeziora szyją kamienistą i wąską, by płynąć dalej słodko i cicho wśród murawy ukwieconej, ale, że zagniewane na świat niebo postanowiło jego zagładę, i straszny wyrok wykonywa pod osłoną nocnych cieni.

Zdaje się i coś więcej jeszcze... Że za chwilę świat ten runie zatopiony w wszechniszczenia oceanie; że po nocy kary nie wzejdzie mu już dzień przebaczenia, że bezlitośny żywioł pochłonie wkrótce wszystko, raz na zawsze zamknie księgę ludzkich szalów i uśmiechów, ale zarazem bólów ich i łez.

I przez wzgląd na ten ból i te łzy, żał się tych ludzi robi, i pragnie się odwrócić od nich karzącą rękę, wierząc w ich skruchę i poprawę, i patrzy się błagalnie na niebo, w niezawodzącem nigdy miłosierdziu jego, widząc kotwicę nadziei.

W takim stanie ducha, miejsce nocy zajmuje dzień.

Nadchodzi on nagle, bez przygotowania, bez walki światła z mrokiem.

Z poza pagórków na wschodzie, wychyla się tarcza słońca i ozłaca dokoła wszystko. A ozłacając, przynosi z sobą tę równowagę, jaką groza nocy zwichnęła. Oddycha się zatem już swobodniej, czuje się, że siła wyższa kataklizm odwróciła, że chwila jeszcze, a wszystko, co żyło, rozbudzi się z ciężkiego snu, że na twardej ziemi i w powietrznych okręgach horyzontu, rozlegnie się dziekczynna pieśń.

Schodzi się z tego mostu wiszącego nad złowrogą przepaścią, i wtóruje się tej pieśni w du-

chu, ale już za wszystko, co się tej nocy samemu przeżyło i prześniło...

A więc...

Za wchłonięte do wnętrza drogami zmysłów obrazy królewskiego majestatu...

Za elektryczne wstrząśnienie duszą, ukazujące jej moc Boga i znikomość ludzkich rzeczy... i,

Za ostanie się tego, co żyje, wśród rozkiełzanego żywiołu niosącego wszystkiemu zniszczenie i śmierć...

* * *

O trzy kwadranse drogi kołowej od Imatry, znajduje się wodospad Walinkoski.

Jest to tak nazwana mała Imatra.

Mała, gdyż bez porównania od dużej krótsza, już tem różni się od niej, że odznacza się szerokością znaczniejszą. Dodaje to jej wspaniałości, ale i ujmuje zarazem, jeśli bo widok szerszej spienionej płaszczyzny z natury rzeczy wspanialszym być musi, to natomiast groza wody przelewającej się z góry na dół dłuższą poprzeczną linią, o wiele słabsze niechybnie wrażenie sprawia.

Tak też jest, i dlatego Walinkowski przed Imatrą zachwyca każdego i porywa, po niej nie, i dlatego wodospad ten winien być wstę-

pem dłu nawiedzającego te strony turysty, nie epilogiem.

Imatra, wielka, majestatyczna Imatra, Wuoksy wody schwytawszy w obręcz skał swoich, niby bajeczny Tytan roztrzaskuje o ich krawędzie, gdy więc popłynąwszy dalej, przy Walinkoski napotykają one nowe zapory, już jakby obezwładnione, kamiennym ich środkiem torują sobie drogi. Burzą się i tu prawda i pienią, tłukąc o granit, wydają huk wielki, ale huk ten i piana są już igraszkami dzieci, w porównaniu z tem, co się słyszy i widzi kilka wiorst wyżej. Są to okruchy z wielkiego bankietu, jaki tam przyroda wydaje zdumionemu człowiekowi, i jak okruchy, zadowolić go nie są w stanie. Przed duszy jego okiem i uchem, stoi w majestacie swoim nawet w tem miejscu Imatra, ciągnąc ku sobie z magnesu siłą. Wspomnienie przygłusza rzeczywistość, choć przecież ta rzeczywistość w Walinkoski, tłumi wszystko, co wydaje z piersi głos.

Za kilkanaście penni, fińscy chłopcy darzą tu turystę obrazem zaiste niezwykłym.

Próżną zaszpontowaną beczkę rzucają w wir, każąc patrzeć na jej skoki po wodzie.

Wyprawia też tu ona szalone harce, raz się chowa, to znowu ukazuje na białej piauie, wreszcie, jak piłka przerzucana z kamienia na kamień, przebywa wodospad, by poturbowana

mocno, zostać schwyconą przez czyhających na nią rybaków.

Przez pośrednictwo mojego furmana, który rozumiał po angielsku, zapytałem chłopców, czyby nie zgodzili się puścić beczki w wir Imatry.

— Chybaby nam pan zwrócił całkowitą wartość beczki, — brzmiała odpowiedź, — rzucona tam bowiem, potrzaskałaby się niechybnie na kawałki.

A gdym, po tej odpowiedzi, wsiadłszy w karyolę, roztworzył opis Imatry przez Topeliusa, wyczytałem w nim te słowa:

— Siła Walinkoski z siłą Imatry w porównanie nawet iść nie może. Razu pewnego kilku śmiałków umyśliło przebyć Wuokse przed kataraktą. Już byli na środku rzeki, gdy w tem porwał ich wir straszliwy i uniósł z sobą w dół. Znalaziono strzępy ich odzieży, zmiażdżone kawałki ich łódki, — oni sami jednak zmieceni zostali z powierzchni ziemi...

.

Kiedy po dokładnem zwiedzeniu obu wodospadów, w hotelu położonym nad brzegami Imatry zajęty byłem przygotowaniami do powrotnej podróży, — w wielkiej jadalnej sali na dole usłyszałem głośny krzyk.

Zszedłszy ze schodów ujrzałem kilka młodych angielskich, które wpadłszy przez roztwarte jeszcze drzwi do pokoju, ciągnęły za ręce jakiegoś poważnego mężczyznę, nie mającego wcale ochoty przecież do wyjścia.

— Tęcza na ziemi, tęcza na ziemi, — dolaływało ciągle do moich uszów.

Spojrzałem w stronę okna i zrozumiałem o co chodzi.

Dzień był gorący i jasny, — słońce oprowadzało czystą swą tarczę po firmamencie. Promienie jego, padając na wodę, rozkładały się niezawodnie przez krople pary unoszącej się nad Imatrą i tworzyły tęczę na ziemi, podobną do tej, jaka po deszczu tak często daje się widzieć na niebie. Widziałem to zjawisko niejednokrotnie, w Tivoli pod Rzymem i Riukanfoss w Norwegii, młode Angielki przecież miały je pewno pierwszy raz przed oczyma, i stąd ich zachwyty i zdumienie.

Za wszystkiemi — wyszedłem nad brzeg Imatry, i nie pożałowałem tego. U stóp naszych nad samym wodospadem, leżał olbrzymich rozmiarów łuk, i jaskrawością kolorów swoich ciągnął ku sobie wzrok wszystkich. Dzięki temu, że wodospad jest długi, i że wzburzona piana kotłuje się na wielkiej przestrzeni, i łuk na ziemi był tu dłuższym i to o wiele od tych, jakie miałem być niegdyś przed sobą w innych

miejscach. Będąc dłuższym, był on jednocześnie i barwistszym, mienił się i błyszczał jak szkła w kalejdoskopie, i prznosił z miejsca na miejsce, wędrując po powierzchni wodnej, niby zaczarowana jakaś olbrzymia łądz.

Było to widowisko wspaniałe, a dla tych, którzy je obserwowali pierwszy raz w życiu, i niezwykle przejmujące.

Ten biblijny znak przymierza między Bogiem a ludźmi, z nieba sprowadzany na ziemię, ta gra bajecznie pięknych kolorów rozpościerających się na tle oparów wodnych i czarno zielonych dzikich skał, przy tym huku ogłuszającym, obezwładniającym wolę i myśl człowieka, — wszystko to poruszało nas do głębi, wszystko w świat inny, lepszy, czystszy i sprawiedliwszy przenosiło.

To też w milczeniu patrzyliśmy na tę tęczę na ziemi, to też spoglądając na nią doznawaliśmy uczuć jednakich, a kiedy chmury zwalivszy się na tarczę słońca, do swego źródła powróciły świetlane jego promienie, co nas darzyły tam na tej północy, tak wspaniałem widowiskiem, w milczeniu zeszliliśmy z naszych stanowisk, przyznając w duchu, żeśmy byli świadkami czegoś zaiste nawet tu, niecodziennego.

Niecodziennego, — tak jest, dwa razy później bowiem jeszcze stałem w dzień jasny nad brze-

gami Imatry, nademną przecież wisiało zawsze ołowiane i ponure sklepienie.

Mdłemu światłu zachmurzonego, smutnego nieba, nie do zabawy było ze spienionemi wodami ziemi.

ROZDZIAŁ IV.

Jezioro Sajma. — Z Willmanstrandu do Nisslotu. — Punka Harju. — Kuopio, — serce Finlandyi. — Na szczycie Puijo
Przed pomnikiem Snellmana.

Na mapie i w naturze, Sajma daje oku patrzącego dziwny, niespotykany nigdzie w Europie obraz.

Wszystkie jeziora, znane nam z geografii, kształtami swemi przypominają dwie figury, koło albo też elipsę, wszystkie jakie są, do tych dwóch figur ostatecznie sprowadzone być mogą. Od prawidłowych kształtów tych figur odstępują z nich niektóre co prawda, z geometryczną regularnością, niektóre z nich rozbrat biorą, wszystkie one przecież są, otwartemi basenami wodnemi, dłuższemi po największej części niż szerokiemi, ale zawsze przecież o ścianach rozstępujących się znacznie, dozwalających znajdującemu się na ich powierzchni, lub nad ich brzegami, ogarniać okiem szerokie wodne przestrzenie.

Inaczej się rzecz ma z Sajmą.

Na szczegółowej mapie wygląda to jezioro jak sieć olbrzymia, z poprzecinaniami w niezliczonych miejscach sznurkami, a w naturze, jeśli do czego przedstawia podobieństwo, to nigdy do jeziora, definicye geograficzne którego, znajdują się w naszej pamięci.

Już w Lauritsala, gdy się opuści kanału linie, uderza to każdego, uderza więcej, gdy po zwiedzeniu Willmanstrandu, niewielkiej fińskiej miejsciny, będącej pierwszym postojem dla bark i statków parowych, stanie się nad brzegami wody.

Widzi się wtedy nie jezioro otwarte i szerokie odbijające w sobie obraz nieba, ale smugi wodne, ciągnące się fantazyjnie w różne strony, tu szerokie, tam znowu jak górski ruczaj długie a wąskie, zasiane w całej swojej długości wyspami.

Miejscami, smugi te wcinają się głębiej w ziemię i jednocześnie ścieśniają, kiedy więc stoisz i przyglądasz się im uważnie, to ciekawość cię naturalna przejmuje, jak też tam z ich labiryntu wydostać się potrafi statek parowy, na szerszą wodę, i szersze, niż tu powietrze.

Willmanstrand nie leży na nizinie, przeciwnie, leśny pagórek służy mu za podstawę, gdy zatem podniesiesz się do góry i z wyższego nieco punktu wzrok w stronę jeziora zwrócisz, to ciekawość, jaka cię przejmowała na dole,

odnośnie do możliwości prawidłowej w takich warunkach nawigacyi, podniesie się do wysokiej potęgi. I zapragniesz już wtedy gorąco, aby odpoczywająca w porcie jeziora „Konkordya“ ruszyła jak najprędzej na północ, by nieprawdopodobne stało się dla ciebie prawdziwym, byś śladem innych, którzy tę tajemniczą drogę przed tobą odbywali, przemknął po świecie dziwnym, po którym nie mknąłeś jeszcze nigdy, po którym prócz jednej Finlandyi, nigdzie nikt nie mknie.

Ale „Konkordyi“ wcale się nie spieszy. Wypała żywy swój balast na brzeg, i snąc zmęczona mozolną podróżą po kanale, zdala od miasta odpoczywa. Z tych kilku godzin przeznaczonych jej na wypoczynek postanawiam skorzystać jak najlepiej, i usadowiwszy się w małej jednokonnej bryczce każę się obwozić po mieście.

Willmanstrand ma charakter osady na wskrós fińskiej. Widzi się to na każdym kroku.

Przedewszystkiem, nie jest to właściwie miasto, ale coś pośredniego pomiędzy miastem a wsią. Drewnianych jednopiętrowych dworców więcej tu daleko, niż domów wysokich i muryowanych, nie trzymają się one gromady, ale rozrzucone są bezładnie. Przy bardzo wielu, dostrzegam małe ogródki, prawie wszystkie, odgradzone są baryerami od siebie, — jednym słowem ogólny wygląd raczej sielski, niż miej-

ski. Ale ta wieś, jest wsią bardzo porządną, posiada ulice brukowane, wiele sklepów o szyldach z napisami przeważnie fińskimi, wreszcie parę skromnych hoteli.

Niewielki, lecz sympatyczny kościółek i pałac Wielkiego Księcia Finlandyi, będący właściwie bardzo prymitywnym dworkiem, dopełniają całości. Jest to całość miła, spokojna, jak raz stworzona na to, aby na wstępie do świata fińskiego, darzyła cię fińskimi wrażeniami.

Nie lepszy ani gorszy od miast innych, i Willmanstrand ma las dokoła. Widzisz to, gdy podpływasz ku niemu, czujesz, gdy się na jego ulicach znajdziesz. Dolatuje cię wtedy silny zapach sosnowego boru, i pokrzepiająco oddziaływa. Instynktownie też, po objechaniu miasta, każesz się wieźć do niego, zwłaszcza też, gdy się dowiadujesz, że w najbliższej jego części obozuje wojsko fińskie.

Powierzchowne zwiedzenie Willmanstrandu i przyległego obozowiska zajmuje parę godzin. Siedziałbyś co prawda w tym lesie dłużej, chociażby tylko dla lepszego przyjrzenia się mustrze żołnierzy, z jakimi nie spotyka się po za granicami Finlandyi, ale lękasz się, byś się na „Konkordyę“ nie spóźnił. Jest jeszcze 20 minut do jej odjazdu, jak raz czas niezbędny do spuszczenia się z góry na dół, na migi więc, gdyż twój woźnica jedynie po fińsku rozumie, każesz

się wieźć do przystani, i za chwilę jesteś na pokładzie.

Podróż po jeziorze sajmańskim przedstawia tę osobliwość, że miasta i wsie nadbrzeżne znikają płynącemu z przed oczów, z szybkością nie spotykaną gdzieindziej. Wynika to stąd, że jak się powiedziało już wyżej, jezioro to do żadnego na świecie niepodobne, ściśle biorąc, otwartem jeziorem nie jest, ale zbiorowiskiem mnóstwa jezior, wąziutkiemi przesmykami wodnemi połączonych z sobą. Na domiar dobrego czy złego, na każdym z tych lilipucich jeziorek znajduje się mnóstwo skalistych kęp, które także do rozjaśniania perspektywy bynajmniej się nie przyczyniają. Otóż zaledwie upłyniesz tu staj kilka, już to, co znajdowało się po za tobą, zakryte zostaje doszczętnie, i żadne szkła nie byłyby dość silne, aby ci przedmiot raz widziany, powtórnie przed oczy sprowadzić. Nie ścigają cię tu — prawda, — jak gdzieindziej, krajobrazy, z jakimi zabrałeś przelotną znajomość, — nie naprzykrzą ci się one zbyt, ale i nie wyryją tak w pamięci jak te, jakie na jeziorach innych, długo, długo po odpłynięciu od nich, dają ci swój obraz w ciągłym zmniejszeniu, póki nareszcie, niby duchy w mgle coraz gęstszej się nie rozplyną.

I z Willmanstradem jest zupełnie to samo, i kto chce amfiteatralne położenie tego miasta

obserwować z jeziora, ten wiele czasu poświęcić na to nie może. Tuż, tuż pod miastem, znajduje się grupa wysp, dalej wcina się w wodę długi, choć wązki półwysp, a jeszcze dalej rozpościera się szeroko zadrzewiona figura, ani do wyspy, ani do półwyspu nie podobna. Dziwaczością konturów swoich, figura ta ciągnie ku sobie oczy, niejednemu mózgowi przedstawia się jak prawdziwa zagadka, ale co dla nas w tej chwili jest najważniejszym, zasłania tak dalece sobą Willmanstrand, że gdy kołujący pomiędzy czarnymi ziemnymi punktami na powierzchni jeziora, statek parowy, zrówna się z nią w całej długości swojej, już po za tobą Willmanstrandu ani śladu. I widzisz tylko gładką tafłę przezroczystej wody, z której tu i owdzie wyskakują grupy większych i mniejszych skał, a dokoła siebie czarny, głęboki bór, ciągnący się daleko gdzieś na tajemniczą północ.

Ale niech nikt nie sądzi przecież, aby obrazy, jakie ma się tu przed oczyma, raziły jednostajnością, aby zaciekawienie, budząc w tobie z początku, w końcu darzyły cię znużeniem. Jako żywo! Na innych jeziorach, pod innym niebem, być może, że byłoby tak, tu jednak jest zupełnie inaczej, dzięki temu właśnie, że wody tego kraju do wód żadnych nigdzie nie są podobne. Gdy więc Sajma co krok nieledwie inną przybiera postać, raz wązkiej rzeki, to znowu mię-

dzymorza, wreszcie zatoki o niezliczonej ilości wysp, gdy co więcej, wcinając się raz w ląd głęboko, to znowu roztwierając swoje łono dla mniej lub więcej długich linii ziemnych, jak gdyby w chowanego gra z lądem stałym, — przeto darzy wciąż podróznego taką rozmaitością krajobrazów, jakich darmo byś szukał na jezior lombardzkich jasnych wodach. I dlatego podróż po Sajmie budzi zaciekawienie większe, mając tu bowiem zakrytym dalszy widnokrąg, nie jesteś pewnym, co cię co chwila czeka, nie schodzisz więc z pokładu statku, ale usadowiwszy się raz na jego przodzie, śledzisz bacznie za tem, co ci się przed wzrokiem roztacza. I godziny schodzą ci tak w milczeniu, i coraz nowe jedne od drugich dziksze światy skupiają na sobie uwagę twoją, i w niemym podziwieniu mkniesz ich środkiem, przyznając w duchu, że do światów tych, żadne ze znanych ci z widzenia lub opisów, przyrównanemi być nie mogą. Żadne, — kto o tem wątpi, ten niech odbędzie podróż tem jeziorem z Willmanstrandu do Nisslot i Kuopio, a przekona się, że w słowach naszych przesady ani odrobiny nie ma.

Kapitan „Konkordyi“, młody Finn z pochodzenia, jak wszyscy marynarze w tym kraju, władający wybornie językiem angielskim, w języku tym opowiada nam, że podróż statkiem po Sajmie, należy do trudniejszych podróży wo-

dnych. Wierzę temu, zwłaszcza też, gdy stoję tuż przy sterniku i przyglądam się jego manewrom kołem sterowem. I myślę sobie, że jeżeli kto, to ten człowiek nie je chleba za darmo, oczy jego bowiem i ręce są tu w bezustannej pracy i ruchu. Wyminął wyspę, co mu niepotrzebnie w drogę weszła, aliści skała jeży mu się pod wodą, pozostawił skałę za sobą, okrążyć musi wsunięty w jezioro długi klin ziemny, co mu na złość miejsce jej zastępuje. A tu bieli się pod borem długa ławica piasku, tam ciągnie taki wąziutki pas wody, że boki statku niemal o ląd zawadzają, ówdzie wreszcie gęsty z granitu archipelag, baryeruje mu przejście. Słowem istny labirynt z wody, ziemi, lasu i skał złożony, w którym cudowną nitką Aryadny, jest tylko doświadczenie jego i ostrożność. Coby się jednak stało ze statkiem parowym i z nami na tym statku, gdyby ta nitka nie dopisała mu kiedy?

Podróż Sajmą przedstawia tę jeszcze osobliwość, że płynący tem jeziorem na długiej przestrzeni od Willmanstrandu do Kuopio przystają tylko dwa razy. Na każdym z jezior Lombardyi i Szwajcaryi, bez porównania krótszych, jest tych postojów kilka lub kilkanaście, ale bo też do południowych tych jezior przysiadł się kraj zabudowany i zaludniony. Nie tak tu. Otaczający cię las dokoła, gdzieniegdzie tylko oży-

wiają pojedyncze chaty, wsi przecież, a tem więcej miast tu nie ma. Jest w odległości kilku godzin od Willmanstrandu porządniejsza ludzka osada, Puumal, jest wreszcie Nisslot z najdalej na wschód wysuniętym widomym śladem władzy Szwedów w tym kraju, starym zamkiem, nakazującym niegdyś Finnom uległość przed przybyszami z za morza. Dalej aż do Kuopio nic, kamień i drzewo, drzewo i kamień, a pośrodku tego woda głęboka, długa, kręta, spierająca się na każdym kroku z ziemią, do kogo z tych dwóch żywiołów wszechwładne tu panowanie należy.

Kiedy się znajduje w takim świecie i w takim otoczeniu, nie myśli się o śnie, wtedy nawet, gdy zegarek późną godzinę pokazuje.

Nie myśli się, i z innej jeszcze przyczyny.

Oto letnie noce Finlandyi, bardzo niewiele, różnią się od dnia, oto ciemnego mroku doszczętnie pozbawione, zdają się być dnia dalszym ciągiem. Nie ma w nich cieni, jakie towarzyszą nocom naszym, gdy księżyc pokryty jest chmur oponą, nie ma tego cmentarnego smutnego blasku, jaki tyle melancholii wlewa do dusz tkliwych i czułych, gdy w całej pełni roztoczy wspaniałość swoją po niebie, — jest światło spokojne i pewne niby dnia światło, chociaż od słonecznego światła dnia nieco różne.

Zdaje się, jak gdyby uderzało ono nasz zmysł

wzroku po odbiciu się jaskrawych słońca promieni, o jakąś tarczę na przekorę mu przez bóstwo ciemności przeciwstawioną, lub jak gdyby w pochodzie swoim ku ziemi, spotkało się z gęstą, zawisłą nad nami mgłą, i przebiwszy ją, uniosło na dół z sobą pierwiastków mglistych nieco.

Jutrznia złota, — opowiada starofińska legenda, — zapłonęła raz miłosnym żarem, ku mrokowi nocy, i śladem wszystkich kochanków od świata zarania, zapragnęła złączyć się z nim w uścisku.

Przez trzy długie ćwierci roku, niezwyciężone przeszkody paraliżowały jej chęci, ale nastąpiło ciepłe lato i kochankowie rzucili się sobie w objęcia.

Wtedy z namiętnego połączenia się ich, urodziło się nieznanne światło i przez trzy miesiące letnie przyświeca już ono bez przerwy wszystkim zakochanym w kraju.

To dziwne światło finlandzkich letnich nocy, ten *chory dzień*, jak się słusznie wyraził Turgeniew, jaki następuje tam po dniu zdrowym, ileż razy obserwowaliśmy, bawiąc w Finlandyi, ileż razy wchłanialiśmy w kraju tym w naszą duszą duszę! I przyznać tu uważamy za konieczne, że nie kończący się nigdy ten dzień, zawsze przejmował nas do głębi, a przejmując, napawał dziwnem uczuciem.

Będąc świadkiem zjawiska niezwykłego, przyglądając się z bliska wyjątkowemu od obowiązującej w reszcie świata reguły wyskokowi natury, doznawaliśmy dwóch wyłączających się wzajemnie, sprzecznych, a jednak zlewających się z sobą uczuć. Jakiś lęk dziwny owładał całą siłą nami, ale i błogość jakaś niewytłómaczona wstępowała do naszej duszy.

Ta wytrzymałość dnia, zdającego się czuwać ciągle, bez wypoczynku, jaki mu sen — noc daje, przejmowała słuszną obawą, ażali nie wyczerpie się on nad miarę, ażali nie zamrze z fizycznego wycieńczenia, pozostawiając w udziale temu krajowi pomroki wiecznej nocy, ale ta odporność jasnego światła, na wysiłki ciemności, by je choć na kilka zagasić godzin, ten, że się tak wyrażę, jego upór, w staniu przy dobrem, przy jasnym, jednym słowem przy tem, co błogosławieństwo świata zawsze i wszędzie niesie, mówiły nam, że nie, że gdy dwa bóstwa: światła i ciemności, dobrego i złego wyzwą się na ostre, to koniec końcem zwyciężyć musi to, które jest częstką nieśmiertelnego Boga.

I stawała nam wtedy na myśli starofińska legenda, o tej zgrzybiałej matce Europie, która obdarowawszy hojnie swe córki, nie miała już do dania nic najmłodszej, lecz najdroższej Finlandyi, zdawaliśmy się słyszeć, jak ta najmłodsza, nie wiedząc już o co prosić swej rodzicielki,

gdyż ta nieopatrznie wszystko innym rozdarowała, błagała ją, o niekończący się nigdy jasny dzień, o wieczne światło nad jej skalistemi błoniami, i za starofińską legendą przyznawaliśmy w głębi ducha, że pozbawiona innych doczesnych dóbr Finlandya, dostała przecież bardzo wiele, gdyż to, co wartość dóbr wszystkich podnosi, co brak ich poniekąd nam osładza, co pociesza w smutku, radość podwaja, od rozpaczony broni, otuchę w serca wlewa, — dostała światło.

Więc oddychaliśmy już atmosferą tej jasnej, cieplej nocy z rozkoszą, i nieznacznie, jak szkła w kalejdoskopie, ożywiające nas uczucia obawy i błogości, zamieniały się na uczucia nie zamierającej nigdy nadziei i wiary...

Ale choć ta dziwna, jasna noc na Sajmie o spoczynku wcale nam nie przypomina, opróżniający się z każdą chwilą pokład „Konkordyi“, nawołuje nas do porządku, to jest do snu. Po krętych więc schodach zstępujemy do wygodnych kajut, by za chwilę, jak ten Upiór z Dziadów znaleźć się „na świecie jeszcze, ale już nie dla świata“.

Huk kół, plusk wody, skrzypanie lin, wreszcie to charakterystyczne, znane dobrze wszystkim podróżnikom po wodzie, drganie statku, — wszystko co pojedynczo wzięte sen z powiek spędza, razem złączone, do marzenia nas usposabia. Śpimy mocno, a słodki nasz sen przerywa

to, co gdzieindziej do snu każdego skłania: spokój, jaki nagle wszystkich ogarnia po przybiciu do lądu.

„Tak młynarze,

„Uśpieni kół turkotem, ledwie staną osie,

„Budzą się, krzycząc z trwogą, a słowo stało się“.

Jesteśmy w Nisslot.

Sekretarz króla szwedzkiego Gustawa III., Erensrom opisuje, że gdy pewnego wiosennego wieczoru 1790 roku, we wspaniałym zamku Drotningolmie pod Sztokholmem, na radzie ministrów zapadła ostateczna decyzja, że król pojedzie do Nisslot, tenże zniecierpliwiony zawołał: „ależ trzeba doprawdy mieć dyabła w sobie, aby porzucać wszystkie te wygody dla zakopania się w pustyniach Sawolaksu“.

Kiedy Gustaw III. wypowiadał te słowa, nietylko o Sawolaksie, jednej z prowincyi Finlandyi, ale o całej Finlandyi, nie najlepsza opinia panowała w Europie, kraj ten bowiem wtedy środków komunikacyjnych doszczętnie pozbawiony, był rzeczywiście jedną wielką pustynią, z rzadką ludnością i rzadszemi jeszcze od ludności dogodnościami dla podróżnych. Przecież już wtedy znanym był Nisslot, wraz ze swym zamkiem, około którego kręciła się nasza „Konkordya“ z dobre pół godziny, zanim ostatecznie przymocowano ją do brzegu, tylko że wtedy, aby się do niego dostać, trzeba było odbyć

podróż nad wszelki opis nużącą, i to w warunkach, w jakich podróże są nie przyjemnością jak dziś, lecz męką.

Nisslot jest małą miejsciną, nad zatoką Kiresalmi, przez którą jezioro Haukivesi, wlewa się do jeziora Pilajavesi. Oba te jeziora są właściwie częściami składowymi Sajmy, ale jedno od drugiego oddzielone jest taką niezliczoną ilością większych i mniejszych wysp, że każde z nich, za odrębną zamkniętą w sobie całość uważanem być może.

Już to w ogóle w tym dziwnym kraju, wszystkie teorye geograficzne nie mają zastosowania, kraj ten bowiem wszystkim im urąga. Kiedy się jest w Wyborgu, czuje się to już wyraźnie, ale gdy się na wodach Sajmy znajdzie, uważa się to za niezbity pewnik. Czemże jest ona, do czego ten olbrzymi systemat wodny, któremu nazwę daje, przyrównany być może?

Nie do jeziora, bo to jeziorem w ścisłym znaczeniu tego określenia nie jest, nie do morza, bo morze nigdzie na świecie podobnego obrazu nie daje, nie do rzeki, bo jest na nią za szeroka, nie do odnogi oceanu, bo jest na nią za wązka.

Jest to coś, co się zuchwale przeciwstawia wszelkim naukowym określeniom, co pod żadną nazwę podciągnąć się nie pozwala, co niczego nigdzie nie przypomina.

Coś dziwnego i dzikiego, poważnego i śmiesznego zarazem, majestatycznego i trywialnego, coś jedyne w swoim rodzaju, finlandzkiego nawskrós. Jednem słowem, pomieszanie żywiołów, figiel przyrody, chaos w całym znaczeniu tego słowa, — to Sajma, owoc wielkiego geologicznego kataklizmu, z czasów, gdy z wodnych toni wyłaniał się na świat boży ten kraj.

I Nisslot jest nie czem innym.

Rozpostarł się on wdzięcznie nad wodą, ale ściśle biorąc, bez przesady możnaby powiedzieć, że leży na wodzie. Gdzie się bo zwrócisz, masz wodę przed sobą, tu jako wydłużoną wążką rzekę, tam jako łamiącą się niemożliwemi liniami zatokę, ówdzie wreszcie jako staw, i jeśli pragniesz dokładnie to miasto obejrzeć, musisz mieć koniecznie do rozporządzenia swego dwa środki lokomocyi: łódkę i wóz, gdyż jeden w zupełności tu nie wystarcza.

Wychodzisz z hotelu, gdzie zamówiłeś konie na Punka-Harju, z zamiarem przyjrzenia się ludziom i rzeczom, i zaledwie ujdiesz kilka staj, zniewolony jesteś zboczyć z prostej drogi, gdyż na przeszkodzie staje ci kanał. Wymijasz go, natrafiasz na jezioro, oddalasz się od niego i spotykasz się znów z zatoką. I tak dalej i tak ciągle, woda i ląd, ląd i woda i to na przestrzeni stosunkowo nie wielkiej, bodaj czy nie mniejszej nawet, od Saskiej Kępy pod Warszawą.

Nisslot jest miasteczkiem fińskim, i pod tą nazwą mało jest nawet znanym w całym wnętrzu Finlandyi. Jest to nazwa narzucona mu przez Szwedów; Finnowie jednak nazywają go: Sawonlinna. Dzięki temu, że Finlandyę zaludniają dwa szczepy: szwedzki i fiński, które czas jakiś wyłączały się wzajemnie, zanim dopiero w ostatnich latach zeszyły się na polu wspólnej pracy, nietylko Nisslot posiada dwie nazwy, wszystkie niemal znaczniejsze miasta i osady w tym kraju, ochrzczone są w dwojaki sposób

Dla osobliwości, bo z osobliwością podobną nie wszędzie się spotykamy, przytoczymy parę przykładów.

I tak: Helsingfors, Finnowie nazywają Helsinki, Wyborg, — Wiipuri, Willmanstrand, — Lappeenranta, historyczne Borga, — Porwoo, Biörneborg, — Pori, a Abo, — Turku. A choć Europa cała, zna tylko nazwy pierwsze, jako nadane im przez Szwedów i językowo jej bliższe, przecież w Finlandyi, zwłaszcza też w fińskim jej wnętrzu, nazwy drugie są w wyłącznym u ludu użyciu. Co więcej, szwedzkie nie są nawet ludowi temu znane, o czem nie nie wiedząc, a mając zamiar jechać do St. Michel, napróżno ten wyraz powtarzałem kilkakrotnie dobrodusznemu właścicielowi jednokonnej karjoli w Nisslot, póki nie dowiedziałem się ze słownika, że mia-

sto to w języku ojczystym tego człowieka, nazywa się Mikkel.

Nisslot jest stolicą Sawolaksu, jednej z najciekawszych, najoświecieńszych, i najpiękniejszych prowincyi finlandzkich.

Savon, albo Savonmaa, zwąc się po fińsku, prowincya ta kształtem swym gruszkę przypomina, a rozciąga się na przestrzeni 300 kilometrów wzdłuż, i 180 wszerz. Jest ona ciekawą z tego względu, że w jej granicach pomieszanie dwóch żywiołów doszło do takiego stopnia, iż rzeczywiście dokładnie nie wiadomo, do czego ona właściwie należy, do wody czy do lądu.

Będąc odepchniętą na wschód, i zatopioną mnóstwem jezior, prowincya ta dłużej od każdej innej cieszyła się niezależnością, dłużej od innych opierała się Szwedom. Charakter też zamieszkującego ją ludu, odznacza się większą godnością, a jego pewność siebie weszła nawet w przysłowie. Odważny i przedsiębiorczy, jest lud ten jednocześnie oświeconym i zamożnym, i w barakowej chacie niejednego z tutejszych włościan, spotkać się można z takim nawet zbytkiem, jakiego darmo byś szukał po naszych nadwiślańskich dworach szlacheckich.

Położony na granicy dwóch północnych potencji — Sawolaks od najdawniejszych czasów był dla nich jabłkiem niezgody. To też Szwecya wcześniej o zabezpieczeniu go myślała. I gdy

w roku 1475, za sprawą Eryka Totta w stolicy tej prowincyi w Nisslot, dźwignęła obronny zamek, zdawało jej się, że o kamienne jego mury wiecznie rozbijać się będą usiłowania, mające na celu oderwanie od niej tych stron. Myślała błędnie, skamieniałe mury pozostały, są bodaj nawet dziś twardszemi od tych, jakie przed wiekami tu wznosiła, a tymczasem ani Sawolaks, ani Nisslot, nie uznają dziś jej już za swoją panią.

Potok politycznej konieczności, zmiotł jak pył z drogi przeszkodę, uważaną za niezwalczoną, i płynie ciągle urągając dawnych mężów stanu wyrachowaniom, pewnością swoją, przypominającym trwałość dziecinnych domków z kart.

Podróżny w Nisslot nie zatrzymuje się długo. Na zobaczenie miasta i zamku przy pośpiechu wystarcza godzina, czas, jaki statek idący dalej na północ przystaje w tej miejscowości, kto jednak chce zobaczyć Punka-Harju, ten musi pozostać tu dłużej, i oczekiwać jeśli dalej jeziorem jechać pragnie, nadejścia następnej okazji. Tak ja czynię, postanowiwszy dla rozejrzenia się po okolicy, zabawić tu dwa dni.

Bawiąc w Nisslot, robię obserwacyę, że gdy w Wyborgu i na całym morskiem wybrzeżu bez znajomości języka fińskiego, obejść się doskonale można, każdy bowiem niemal z ludzi

średniego stanu, nie tylko że rozumie tam główne języki europejskie, ale nawet mówi niektórymi z nich znośnie, tu koniecznie władać trzeba przynajmniej jaką taką fińszczyzną, inaczej bowiem można się znaleźć w wielkim kłopotcie.

Z dwóch dróg na Punka-Harju, wodnej i lądowej, wybrałem drugą, pragnąłem bowiem nie z łupiny, że się tak wyrażę, ale z jądra, poznać prowadzący do tej miejscowości kraj. Wybrawszy tę drogę, postanowiłem starać się o konie, i tu właśnie spotkałem się z językową trudnością oko w oko. Właścicielka mego hotelu, gdy mi po angielsku serce roztworzył, wskazywała mi ciągle na wodę, dając tem do zrozumienia, jak się dowiedziałem o tem później, że tą drogą najprędzej się na Punka-Harju można dostać, i musiałem aż z rozpaczy chwycić za ołówek i papier i narysować na nim karykaturę głowy konia, aby mnie nareszcie zrozumiała, i z wybuchami śmiechu sprowadziła to, czego chciałem.

Finlandya dotąd jest krajem mało w Europie znanym, dwie miejscowości jej przecież cieszą się szerokim rozgłosem.

Miejscowościami temi, są Imatra i Punka-Harju.

Przed wykopaniem kanału sajsmańskiego i połączeniem linią kolei, Wyborga i Helsingforsu z Sajsmą, obie te miejscowości zachwycały już

liczne koła ciekawych na... obrazkach, dziś dzięki ułatwionym środkom komunikacyjnym, zachwycają ich w naturze.

Zaciekawieniu też temu zawdzięczamy, że wita nas w każdej z nich ten komfort, bez którego podróżnik europejski obejść się nigdzie nie może. I przy Imatrze i na Punka-Harju znajdujesz hotele porządne i wygodne; i tu i tam nie doświadczasz prywacyi żadnych; i tu i tam czujesz, że jesteś w cywilizowanym świecie, choć masz przed oczyma dzikie obrazy, jakimi świat ten gdzieniegdzie tylko widza darzy.

Istotnie dzikie. O Imatrze pisaliśmy szeroko, czas wielki udać się na Punka-Harju, by grozę, jaką tam mieliśmy, uzupełnić widokiem czegoś, choć wcale nie groźnego, przecież stwarzającego w duszy naszej wrażenie, takiego jak wobec grozy osłupienia.

Punka-Harju jest wyspą, ale pewno nigdzie żadna wyspa kształtów podobnych nie przedstawia. Kształt to wydłużonej wąskiej linii, z boków której odcinają się szersze kępy. I linia ta i te kępy, rzucone są na tło otwartej wody i z lotu ptaka lub na mapie, obraz dają szybującego w powietrzu ptaka. Coś podobnego spotyka się w Wyborgu, tylko że ziemna figura sąsiadującej z tem miastem okolicy jest bez porównania szerszą, i o sto procent mniej malowniczą. Ocenimy to gdy się tam znajdziemy,

a tymczasem wsiadajmy na dwukonną karjole, i jedźmy.

Karjola finlandzka jest wehikułem, z jakim się każdy zapoznać dokładnie musi, kto znalazłszy się w tym kraju, chce uważnie mu się przyjrzeć. Jest to coś w rodzaju naszej *bidki*, tylko że ta ostatnia przypomina ją nieco nie w tem, co ma dobrego, tylko w niewygodnem i brzydkiem. Dwa koła jak u nas, ale resory wygodne są, ale siedzenie jak na szlacheckiej bryczce. Źle mówię siedzenie, na karjoli są bowiem dwa siedzenia, i gdy usadowisz się na jednym z nich, masz przed sobą lub poza sobą małego chłopca, który w drodze konia dogląda, po podróży odprowadza go do domu.

Bawiąc szereg lat temu w Norwegii, w karjoli takiej przerzynaliśmy długie górskie przestrzenie, przypomniała nam ona znowu ten tak odmienny od Finlandyi kraj, a wraz z tym krajem, przed oczyma duszy przesunęła, ach, ileż wspomnień, na myśl, o których boleść serce przejmuje...

Czemuż to czemuż, najobojętniejszy nieraz przedmiot, z pod lat, cierpień i zawodów człowieka, w przeszłości jego nieproszony odgrzebuje gorycz wchłoniętego niegdyś w duszę piołunu?

Jest doprawdy na co tu patrzeć.

Hotel, w którym noc spędziliśmy: „Kestiki-

veri“ co znaczy: „Zajazd pocztowy“, leży jak wszystko w tem mieście niedaleko jeziora; jedziemy więc zrazu niedługo lądem, poczem usadowieni na karjoli, promem przepławiamy się na drugą stronę wody, i od towarzyszącego nam wyrostka dowiadujemy się z trudnością, że trzy godziny czasu oddzielają nas od następnej przeprawy. Możemy więc dowoli rozkoszować się naturą Sawolaksu, czynić w przelocie spostrzeżenia, głębszego interesu nie pozbawione, wzbogacać skarbnicę wrażeń odczutyh w życiu, jednemi z najoryginalniejszych i najślodszych.

Na papier wrażenia te przelać doprawdy niełatwo. Odbijają się one silnie w duszy, ale i przylegają tak silnie do niej, iż oderwać ich dla udzielenia innym niepodobna. Trzeba tu być, myśleć i czuć, trzeba zlać się w jedną składową całość z tym dzikim światem, który się przeryzyna w milczeniu, wchłonąć go w siebie i wzajemnie się w nim rozplynać. Ale kiedy się z niego wydostanie, opowiadać o nim trudno. Czemu tak? Bo będąc odrębnym od innych oglądanych już przez nas światów, nie posiada on konturów zarysowujących się w nas tak silnie, jak naprzykład świat gór niebotycznych, bo piękno jego spoczywa nie w grozie lub majestacie, ale w poezyi, jaka się nad nim w atmosferze unosi.

Otóż gdy majestat i groza natury, w słownem

w prozie, czy obrazem na płótnie odtworzeniu, przedstawić się jako tako dają, poezya wlewająca w nią żywą duszę, nie, — i dlatego, wiecznie blademi pozostaną opisy i widoki wszystkich Holmbergów, Lindholmów i Munsterhielmów, którzy rozkochani w przyrodzie ojczyzny swojej, z bezsprzecznym talentem pokusili się o jej reprodukcję.

Dali świata ciało ponętne, niekiedy nawet wspaniałe, nie uwieźlii przecież w tworach swych tego, co ciału temu czar nadziemski udziela. I jedna już tylko poezya byłaby w stanie cudu tego dokonać, ale w tym małoludnym, dzikim Sawolaksie, czas na nią jeszcze nie przyszedł.

Drzemie tu ona zaklęta w każdej skale przydrożnej, w zagajniku każdym, nad brzegami każdego trzęsawiska, nie przetopila się przecież jeszcze w żywe słowo. I kto tu wypadkiem się znajdzie, zarywa zawsze coś z niej i zabiera w inny świat z sobą, ale kiedyś dopiero, kiedyś, złoży się z tych uniesionych stąd jej okruszyn żywa całość, godna w wiązanej mowie odtwarzać rzeczywistość.

Kto z tych, którzy przebiegnęli w życiu te strony, nie pragnie, by czas ten jak najprędzej nastąpił?

Jak w ogóle cały Sawolaks, tak i ta okolica z Nisslotu do Punka-Harju, jest małoludna i dzika. Jest to jedna, długa, leśna puszcza.

Na przestrzeni trzygodzinnej drogi spotyka się gdzieniegdzie tylko grupy chat, przysiadłe do siebie i coś w rodzaju wsi składające.

Chaty te, jak wszystkie w całym tym kraju drewniane i drzewem kryte, na oko przedstawiają się dość ubogo, choć wewnątrz posiadają komnaty wygodne, i urządzone nawet z pewnym komfortem. Od mieszkańców północnych części Finlandyi, chłop Sawolaksu tem się wyróżnia, że w domu swoim musi mieć wygody, jakie cywilizacya z sobą przynosi. Zrósł się on z niemi i żyć bez nich nie może.

W chatach, jakie w drodze na Punka-Harju przesuwają nam się przed oczyma, mieszka ludność przeważnie z rybołóstwa, myślistwa, hodowli bydła i handlu drzewem utrzymująca się, rolnictwo przecież uprawia ona tylko gdzieniegdzie, warunki bowiem gleby, kulturę rolną na drugi plan tu sprowadzają.

Co uderza, gdy się kulturze tej tam, gdzie ona jest przygląda? Oto, że każde najmniejsze pole odgrodzone jest od sąsiedniego drewnianym płotem. Drzewa tu dosyć, więc się go na płot nie żałuje, a ziemi urodzajnej mało, więc się ją znowu szczelnie dla siebie zamyka, by ktoś obcy po jej skarby łakomie rąk nie wyciągał.

Skarby!.. jęczmień karłowaty i rzadki, chore łany naszego żyta na piasku przypominający, i kartofel ze spaloną popielatą łodygą, która za-

ledwie unosi się nad ziemią... Jakież to wszystko bogactwem jednak dla mieszkańców tych stron być musi, skoro się tego z udérzającą troskliwością, niby oka w głowie strzeże?..

Ale oto dojechaliśmy już do krańca lądowej drogi. O piątej rano wyruszyliśmy z naszego hotelu, jest teraz ósma, i jesteśmy u progów Punka-Harju. Karyola staje, koń znużony ciągnie powoli szczypać trawę w lesie, a mój woźnica młody klaszcze w ręce, by sprowadzić przewoźnika na drugą stronę wody. Hałas osiąga pożądany skutek, z ubogiej chaty wychodzi dwóch starych Finnów, ściągają odemnie 10 pennia, i za chwilę odbijamy od brzegu.

Przeprowiam się na drugą stronę jeziora w łodzi i doprawdy nie wiem, czemu się mam uważniej przyglądać: naturze, czy ludziom.

Natura, na tym przesmyku wodnym, będącym progiem Punka-Harju, z rozrzutnością nieopatrzego marnotrawcy rozpościera dokoła swoje skarby i z zadrzewionych wysp porzuconych bezładnie na wodzie tworzy krajobrazy wspaniałe. A że do rozporządzenia swego ma tu ona niewiele: wodę i drzewo, przeto widzi się wyraźnie, z jaką czarodziejką ma się w tem miejscu do czynienia, i jakie to poręczne efekta słabemi nawet środkami wywoływać się niekiedy dają.

Prawda, że ziemi przychodzi w tem z po-

mocą niebo, że zalewające lądy i wody, jasne promienie słońca, wszystko zabarwiając po swojemu, wszystkiego wdzięk podnoszą, ale prawda i to, że gdyby nie dziwna konfiguracya potarganego jak koronka terenu, składowe jego części nie byłyby w możności złożyć takiej jak tu, jedynej w swoim rodzaju, całości. Tylko w Finlandyi (powtórzmy to poraz już nie wiemy który) coś podobnego daje się widzieć, tylko bo w Finlandyi, dwa najważniejsze świata żywioły żyją jeszcze dotąd w rozprzężeniu i rozterce, i nieokielznane silną wolą, biegną ku sobie i wzajemnie się od siebie odpychają.

Ale i ludzie ciekawi.

Mam ich tu w osobach dwóch przewoźników, i często zatrzymuję na nich wzrok. Są to typowe okazy Finnów, nieco odmienne od tych, jakim się gdzieindziej napatrzyłem.

Nizkiego wzrostu, muskularni i barczyści, są oni istotnemi dziećmi lasu i wody. Nad ich kołębką szumiały liście i iglice drzew poruszanych zimnym wiatrem północy, życie ich spłynęło w pełnych trzęsawisk gąszczach boru, zdala od miast i wielkoświatowego ruchu, a ich chleb codzienny, to ruch wiosłem od wschodu do zachodu słońca na wodzie.

Niech nikt nie sądzi, by zajęcie to było łatwym i od niebezpieczeństwa wolnym. Sajma jest spokojna w dnie ciszy, ale dni takich sto-

sunkowo w Finlandyi niewiele. Gdy wiatr północno-wschodni zawieje, burzy się ona i bałwani niby morze, i wtedy trzeba wielkiej przytomności i trudu, by oprzeć się rozhukanym jej falom.

Ta ciągła walka z żywiołem niesfornym, przy uwadze na to, że do walki z nim ludzie tu są zaopatrzeni w nader niedostateczne narzędzia, (obserwuję to przyglądając się drobnym moich przewoźników łodziom, i kruchym ich wiosłom), sprawia, że wyrobiły się w nich przymioty, napotykanne jedynie u pracowników morza. Więc odwaga granicząca z zuchwalstwem, więc siła woli i zimna krew.

Nie mogąc z nimi rozmawiać, patrzę na nich uważnie, i przymioty te znajduję wyryte na ich twarzach. Nie ich tylko są one cechą, każdy Karelczyk zamieszkujący Sawolaks jest tych przymiotów żywym uosobieniem, i typy takie, z jakimi odbywam tę drogę, są ogólnym typem całej prowincyi.

Ogólnym i znanym po za jej granicami, dzięki chociażby obrazom Edelfelda, które Dujardin w Paryżu w pięknych heliograviurach rozpowszechnił po świecie. W chwili, kiedy te wspomnienia spisuję, mam właśnie jeden taki obraz przed sobą i spoglądając na dwie znajdujące się na nim w łódce postacie, mężczyzny i kobiety, gnanych wiatrem po wodzie rozsza-

łałej, w pełnych energii i nieustraszonej odwagi ich twarzach, upatruję wielkie podobieństwo do twarzy ludzi, dzięki którym perłę Sawolaksu widziałem.

Punka-Harju jest perlą Sawolaksu, tem cenniejszą, że głęboko ukrytą. Imatra leży na brzegu kraju, kolej żelazna może dowieźć do niej ciekawych, ale Punka-Harju rzucona jest gdzieś precz, i komunikacya z nią, do tanich i prędkich nie należy. Więc mniej od Imatry nawiedzana, w zapalonym turyście większe od niej zaciekawienie budzi, i jak wszystko, co do zdobycia nie jest łatwem, co się osiąga wysiłkiem trudu i woli, w skarbnicy jego wspomnień, stanowi droższe i cenniejsze wspomnienie. Nic dziwnego. Tajemnicza piękność, troskliwie osłonięta od człowieczego oka, raz zobaczona, nie przestanie tkwić żywiej w pamięci od tych, które swe twarze oprowadzają bez dyskrecyi z tryumfem po rynkach szerokiego świata.

Zatem jestto wyspa, wyspa długa i wązka, tak wązka, że ją miejscami bez przesady do pomostu na wodzie przyrównać można.

Przed wiekami stanowiła ona pas ziemi, złączony z nią i wcinający się w jezioro, ale przyszedł nagle kataklizm jakiś, zerwał jej związek z lądem, i pchnął na lustrzaną powierzchnię. I pływa już po niej osamotniona, niby prom, o rozmiarach olbrzymich, nie przestając być geo-

logiczną zagadką, nawet w tym kraju, gdzie z podobnemi zagadkami, na każdym niemal spotykamy się kroku.

Ale zagadka ta jest i piękną bardzo. Robisz to spostrzeżenie, za ledwie dopłynąwszy do brzegu, przed hotelem obszernym i gustownym, obrócisz się na prawo i na lewo. Widzisz, że jesteś we wspaniałym lesie, że ten las nie ciągnie się jak gdzieindziej, na gładkiej niby dłoń płaszczyźnie, ale po pagórkowatym gruncie raz podnosi się do góry, to znowu obniża się na dół, że rozprzestrzeniając się dokoła siebie, zwęża się w końcu, i linią długą wrzyna w wodę, która postawiwszy swobodnemu rozwojowi jego zapory, z despotyzmem żywiołu nie przywykłego do uległości, kraje go w dziwaczne figury.

Gęsty dokoła hotelu, w dalszym rozwoju swoim rzednieje on, jakby podcinany wrogaczłowieka ręką i z lasu przeinacza się raz w ogród, to znowu w zapuszczony zagajnik, dozwalając ci, gdy jedziesz jego środkiem, patrzeć przed siebie i poza siebie. Więc patrzysz, do czego dopomaga ci i koń twojej karjoli, który środkiem zadrzewionego tego pomostu, wlecze się, jakby się obawiał, by śmielszy ruch, kresu podziwowi twemu nie położył.

Punka-Harju zwie lud Sawolaksu „świńskim grzbietem“. Istotnie jest to grzbiet skalisty, ale o linii niejednostajnego załamania. Wystrzeli-

wając miejscami do góry na blisko dwieście stóp nad poziom, miejscami zniża się on do trzeciej części tej wysokości, wszędzie przecież ku płaszczyźnie Sajmy, przedstawia spadek dość ostry. Kiedy się więc jedzie jego szczytem, ma się u swoich stóp również tu i owdzie wierzchołki drzew, pnące się nad ich brzegiem, bujnemi niby bukiety koronami. Te drzewa, te skały i ta woda, przy wązkości kamienistej ścieżki, którą posuwa się zwolna naprzód, dają istic światlany obraz, raczej marzenie, niż rzeczywistość przedstawiający.

Zakończmy. Punka-Harju — mówią — że jest dziwem przyrody; dodajemy od siebie: jest jej figlem. Ku zdumieniu, za słaby wyraz, ku osłupieniu przybłąkanego tu ze świata prawidłowości i zimnej prozy człowieka, ku rozśmieszeniu go i przytłumieniu w nim myśli poważnych, na tło bezdenne rzuciła tu ona żart, i wrażenie żartu w tobie budzi. Ale śmiejąc cię, jednocześnie i zastanawia, i wesołemu twemu nastrojowi przywołując do pomocy refleksyę, — ostatecznie skłania cię jak wszędzie, jak wobec każdego piękna, każdej wspaniałości, każdej zagadki, do złożenia hołdu wszechrzeczy Twórcy, bez potężnej woli którego nic na szerokim świecie, śmiertelnych oczów naszych ani goryczą łzy nie rosi, ani zadowolenia weselem nie ożywia...

* * *

Kto chce z lotu ptaka przyjrzeć się Sajmie, ten niech wstępuje na szczyt Puijo, jak tylko dojedzie do Kuopio.

Puijo jest niewysoką górą, ale dzięki kształtom wepchniętego w sam środek jeziora półwyspu, którego jest garbem, szeroki wodny widnokrąg ze swojego wierzchołka ukazuje. Kto zatem na wierzchołku tym stanie, ma wielkie jeziora przestrzenie przed oczyma, i o całokształcie jego stąd dopiero dokładnego nabiera wyobrażenia. Ukazuje mu się w tem miejscu ono w całej wspaniałości swojej, z załamaniem swymi i wyspami, co czarne od zarastających je czarnych kęp drzew, zdala wyglądają niby stada cyranek, unoszonych falami wodnymi na ich grzbiecie.

Pragnąc ułatwić turystom obserwację z lotu ptaka Sajmy, na szczycie góry ustawiono drewnianą wieżę, umieszczono na niej parę lunet, zaopatrzone ją w wygodne siedzenia. Godzinami więc można tu przyglądać się dzikim i romantycznym obrazom, podpatrywać, że się tak wyrażę, naturę, o każdej porze nocy i dnia. A podpatrzywszy ją, wyszedłszy uzbrojonymi szklami okiem jej piękno nie dla każdego dostrzegalne, można świeże wrażenia swoje, w wiązanej i codziennej mowie, natychmiast przelewać na papier, w książce znajdującej się w wieży pod ręką. Przeglądaliśmy uważnie tę książkę, i po

odczytaniu mnóstwa wykrzykników i uwag w zrozumiałych dla nas językach w niej skreślonych, zamknęliśmy ją z pewnym niesmakiem, gdyż wszystkie one, acz z pod ręki ludzi inteligencyi wyszłe, były bezdzwicznymi i bladymi wobec pulsującej żywotną krwią rzeczywistości. Czy wspomnienie tej obserwacyi, tam na wierzchołku tej góry Puijo uczynionej, nie powstrzymuje zapędów pióra, usiłującego niezdarnie odtworzyć dziś to, co się z wierzchołka tego nie dalej jak wczoraj oglądało?

Kuopio jest sercem Finlandyi, najruchliwszem z miast całego jej wnętrza, w ekonomicznym i intelektualnym jej rozwoju odgrywającym tę mniej więcej rolę, co Abo niegdyś, a dziś Helsingfors na szwedzkim wybrzeżu tego kraju.

Położone wybornie, z trzech stron oblane wodą, dostępne dla największych statków, jest to miasto handlowym rynkiem niepośledniego znaczenia, a zarazem ogniskiem cywilizacyi fińskiej. Znaczenie jego podnosi to, że znajdują się w niem: stolica biskupia, dwa licea szwedzkie i fińskie, szkoła głuchoniemych, i wzorowo urządzone celkowe więzienie. Czy będąc ważnem, jest to miasto i pięknem, twierdzić stanowczo nie można, wszystkie bowiem bez wyjątku miasta fińskie są czemś pośredniem między miastem i wsią. Ale położenie Kuopio jest ładne, pagórkowaty grunt dokoła, las i woda wszędzie, więc

choć się ulic zabudowanych wspaniale tu nie widzi, choć starych domów pleśnią wieków pokrytych tu niema, z przyjemnością błąka się po jego małoludnych zaułkach, lub duma w gajach podmywanych szemrzącą po kamykach wodą.

W dziejach umysłowego odrodzenia Finlandyi, Kuopio ma swoją kartę.

Kartę tę ma dzięki Snellmanowi.

Właśnie stoję przed jego pomnikiem wzniesionym tuż u progów katedry i patrzę na wianki z kwiatów, któremi zarzucono biust brązowy.

Pomnik dowodzi, że człowiek ten nie przesnił życia swego w śnie jałowym, kwiaty, że pamięć jego dotąd nie wygasła w sercach jego rodaków, że żyje dotąd i rozwija się w nich jak kwiat.

Kto on jest, jaki tytuł ma do wdzięczności ogółu i czy sprawiedliwie w tym chłodnym i do entuzjazmu nieskłonny kraj, zmarszczkami poorane jego oblicze, rok rocznie w pamiątkowe rocznice zasypywane jest nieśmiertelnikami?

Kto on jest, ale przede wszystkim, jakich przyczyn jest on wypadkową, jakich następstw przyczyną?

ROZDZIAŁ V.

Palmen o literaturze fińskiej. — Agricola. — Jego następcy. — Henryk Gabryel Porthan. — Lönnrot, Runeberg i Snellman.

Literatura fińska — powiada jej dziejopis Palmen — powstała w epoce, gdy wieki średnie walczyły z czasami nowszymi, władza papieska, z doktryną Lutera. Echa zaciętej walki, jaką staczano z sobą w Europie południowej, odezwały się w niezmiernych lasach Finlandyi i od tej pory rozpoczyna się nowa jej era. Kościół katolicki u nas na północy bynajmniej nie doszedł do tego stanu, co na południu, bynajmniej; nie potrzebował zatem tak radykalnych reform. Przeciwnie, podawał chętnie ludowi rękę, dbał gorliwie o jego dobro, już to przyczyniając się do oświaty, już po chrześcijańsku dopomagając mu w jego niedoli. Ale i u nas okazał się on dumnym i dbałym o władzę świecką, i tym sposobem postawił na kartę swój byt. Jego skarby, przy pomocy których biskupi żyli i rządzili jak książęta, w oczach

władców świeckich przedstawiały się jako dostateczny ekwiwalent reformy. I dlatego to głosząc wolność sumienia i siejąc ziarna oświaty powszechnej, nowatorzy nie napotkali w Finlandyi na opór władzy, skutkiem też czego kościół luterński ostatecznie się tam ustalił, stał się narzędziem propagatorskiem wiary i moralności w kraju⁴.

Dotąd Palmén.

Jeżeli, że się tak wyrazimy, reformacya religijna jest matką literatury fińskiej w Finlandyi, to ojcem jej niezaprzeczenie jest Agricola.

Biskup Aboski, mąż wielkiej nauki i prawdziwie żelaznej pracy, a przytem gorliwy propagator religijnych nowinek przeszczepionych na wschodnie wybrzeże Bałtyku ze Szwecyi, czuł on dobrze, że dzieło reformy potykać się w pochodzie swoim będzie, jeśli się ludowi nie da do ręki zrozumiałych dla niego ksiąg religijnych.

Więc mu je dał. Dał katechizm, księgę modlitw, kantyczki, część Nowego Testamentu i cały Stary. Aby pojąć, co ta ofiara z jego strony znaczyła, dość będzie, gdy powiemy, że za jego czasów (wiek XVI) język fiński był językiem w powiatakach. Porozumiewały się nim rozproszone po wielkich przestrzeniach kraju plemiona, śpiewały w nim podczas długich północnych nocy pieśni o śmiałym Wajnamojnieniu, potężnej

Ukko i pięknej jak świetlane zjawisko Ajno, ale piśmiennych językowych pomników nie posiadały. Nie dość na tem, język ich malowniczy i dźwięczny, bogaty jak mało który na świecie w samogłoski, będąc językiem niewyrobionym, jednocześnie był ubogim w wyrazy oddające oderwane pojęcia. Należało więc surową jego bryłę ociosać, do naukowych potrzeb go nagiąć, do poziomu kulturalnych języków podnieść.

Wszystkiego tego dokonał Agricola.

Zamknawszy się w swej pracowni na lat dziesięć, wyszedł z niej z obliczem tryumfatora, gdyż trud jego nie poszedł na marne, gdyż żelazna jego praca uwieńczona została zwycięstwem. I co gdzieindziej dokonywało się w ciągu wieków, na co gdzieindziej składały się legiony myślicieli, — tu w tym kraju zrobił on sam! Stworzył język, i jako taki nie ma sobie nigdzie równego. Więc gdy zasługi wielu wielkości innych się zmniejszą, gdy gwiazda nie jednej z nich z czasem zblaknie, Agricola stać będzie w Finlandyi, niby posąg od spiżu trwalszy, gdyż dzieło, jakiego dokonał, trwalszem jest, niż spiż.

Podobnie niemal wszystkim wielkim mężom, i on także pracując w samotności dla ludu, za życia za swój trud wynagrodzony był cierniami. Ludzie małej duszy a niezmiernych ambicyi i głupoty, zasypywali go obelgami, i jest do prawdy coś rozdzierającego serce w skargach

zasłużonego tego i dziś tak wielbionego starca, na obojętność i więcej niż obojętność dla jego prac, współczesnych. Ale dziś duch Agricoli w obec owoców jego pracy do goryczy nie ma wcale prawa, ziarno, które bo on w osamotnieniu niegdyś zasiewał, wzeszło dziś bujnie, pokrywając złotym kłosem cały kraj. I tylko nie jeden mając przed oczyma taką meżę tego zasługę, i taką za życia jej ocenę, zaduma się głęboko nie nad marnością, ale nad słabością natury ludzkiej, po przez duchową kanwę, której, przesnuwa się tyle brudnych nitek egoizmu, zawiści i małostek.

Epoka, w której żył i działał Agricola, była epoką politycznego rozkwitu Szwecyi. Nie doszła ona jeszcze była wprawdzie w tym czasie do tej potęgi jak w następnem stuleciu, ale znaczyła dużo już w Europie, w sprawach jej udział brała. Znaczenie polityczne przyczyniało się również do jej moralnego wpływu w rozległym kraju, który po drugiej stronie Bałtyku posiadała, to też w kraju tym, język szwedzki był wtedy językiem kultury i wyłącznego niemal użycia.

Krótko po śmierci Agricoli, język nad wyrobieniem którego on życie strawił, znalazł potężnego opiekuna. Do Finlandyi Gustaw Waza wysłał swego ukochanego syna Jana, a ten będąc zamiłowanym w języku fińskim, demonstra-

cyjnie nim się posługiwał. Trwało to co prawda niedługo, w roku bowiem 1568 Jan został powołany na tron szwedzki, ale krótka jego opieka nad tym językiem, nie pozostała bez zbawionego wpływu.

Jakoż niedługo już potem, Juusten puszcza w świat swoje religijne dzieła, Jakób Suomalajnen komponuje pierwsze psalmy fińskie, a Liungi przekłada na język fiński kodeks praw. Tym sposobem za impulsem z góry, język stworzony przez Agricolę podnosi się i wyrabia coraz silniej, tak dalece, że gdy w roku 1640 słynny Per Brahe zakłada uniwersytet w Abo, acz Szwed i propagator cywilizacji szwedzkiej na wschodzie, nie waha się on przecież publicznie wyznać, że język fiński nie jest pozbawiony pewnej elegancji w swojej konstrukcji, i przynosi zaszczyt całemu krajowi.

W ustach cudzoziemca, pochwała ta dowodzi, że już wtedy (połowa XVII wieku) język ten był językiem kultury i przyszłości.

Kiedy opuścimy fińskie wnętrza tego kraju i znajdziemy się nad brzegami rozkosznej Aury w Abo, będziemy mieli sposobność, mówiąc o starym uniwersytecie tego miasta, powiedzieć coś niecoś i o zasługach Per Brahe dla cywilizacji w Finlandyi. Tu nadmienimy tylko, że znakomity ten mąż stanu, ceniąc wysoko język fiński, nie obojętnym był na rozwój fińskiego piśmien-

nictwa. Za jego też w Finlandyi rządów, pojawia się całkowity już przekład Biblii, powstaje drukarnia w Abo, wychodzi z pod tłoczni pierwsza po łacinie gramatyka języka fińskiego. Światły Szwed, ziarna oświaty pełną ręką siał wszędzie.

Z ustąpieniem jego z wielkorządztwa w Finlandyi, następuje niepomyślny dla tego kraju zwrot. Książki fińskie pokazują się coraz rzadziej, z komnat arystokracji przedostają się do dworów mieszczaństwa, wreszcie i stąd wyrugowane wstępują pokornie pod strzechy dzieci ludu, w gęstwiny leśne, po nad jeziora odcięte głuchemi przestrzeniami od reszty świata. Ustępują, i tu już pozostają, ale pozostawszy, dokonywają w ciszy przewrotu. I choć wielka wojna dwudziestoletnia, w początkach XVIII wieku, całą Finlandyę niemal pokrywa zgliszczami, one robią powoli swoje, przygotowują odrodzenie. Jakoż już w połowie tego burzliwego stulecia, Juslenius drukuje słownik fińsko-szwedzki, Vhael pisze gramatykę fińską, a Achrenius pienia religijne.

Wreszcie przychodzi zjawiskowy niemal mąż. To Porthan.

Na niewielkim zadrzewionym rynku w Abo, niedaleko wspaniałej katedry, znajduje się brązowy pomnik.

Pomnik dość marny jako dzieło sztuki, nie

zwracałby niczyjej uwagi, gdyby nie nazwisko człowieka, któremu został poświęcony.

Człowiekiem tym jest właśnie Porthan.

„Temu, który jest zaszczytem Finlandyi i ludu fińskiego, pomnik wzniesiony przez całą Finlandyę“ — oto napis, jaki na nim czytam, i jak się rozpatruję w zasługach Porthana dla kraju, widzę, że w tych słowach przesady niema.

Był to mąż nauki niepospolitej, był historykiem, archeologiem, geografem, filologiem, wreszcie posiadał w sobie tę dziwną iskrę Bożą, która dokonywa cudu. Postanowiwszy dźwignąć na wysoki szczebel piśmiennictwo fińskie, otoczył się energicznymi ludźmi, i tchnął w nich cząstkę swojego ducha. Za jego impulsem robią się poszukiwania archiwalne do historii Finlandyi, zbierają się podania ludowe, układają pieśni, pod jego okiem wzrasta generacya prawników, która, gdy go już na świecie nie stało, niepoślednie usługi oddała swemu krajowi.

Rzecz szczególna. Ten wielki człowiek, ten dzielny szermierz literatury fińskiej, ani słowa nie napisał po fińsku, wszystko, co po nim w druku pozostało, przystępne jest jedynie dla ludzi znających języki łaciński i szwedzki. Czy stało się to z powodu tego, że czując po fińsku, nie znał dobrze tego języka, czy może słabostka uczonego, pragnącego, by jego dzieła rozumiał szeroki świat, wydała taki dziwny jak

na niego i fałszywy dźwięk, wiedzieć zaiste trudno, to pewnem jest przecież, że w XVIII wieku fińskie piśmiennictwo, którego przecież niczem nie wzbogacił, silniejszego nad Porthana propagatora nie miało.

Tengström, Alopaeus, Ganander, Franzen i Calonius, wreszcie ci wszyscy mniej od nich głośni, którzy pisali w jego epoce po fińsku, wszystko to dzieci jego nieśmiertelnego ducha, wszystko owoce jego posiewu.

On ich zszeregował dokoła siebie, on im nakreślił dezyderata, on natchnął jedną myślą przewodnią. Wobec więc tego, obojętnem już jest, w jakim języku, po szwedzku czy po łacinie, dziełami swemi do nich się odzywał.

W płodnej epoce, w której Porthan dzięki nauce swojej i energii, budził dokoła siebie ruch, spotykamy się z nieznanym przedtem w Finlandyi wyrazem: *fenomania*. Wyraz ten oznaczał zamiłowanie do fińskiego języka, fińskich podań i poezyi ludowej, i stał się hasłem wszystkich, którzy dążyli do otrząśnięcia się z hegemonii języka szwedzkiego.

Pod wpływem myśli, zrodzonych w Abo, Fenomani rosną wszędzie jak grzyby po majowym deszczu, wszędzie występują w charakterze zaczepnym, i dla języka, który Agricola stworzył, wywalczają równe z językiem szwedzkim prawa.

Jak w każdej walce, tak i w tej, dochodzą

oni do przesady, śmiesznym wyrazem której była między innymi propozycja Juteiniego w gazecie „Mnemosyne“, aby nie mniej nie więcej, tylko na szafot wieść każdego, kto w publicznych i domowych stosunkach nie posługuje się wyłącznie językiem fińskim.

Ale przesadzając w swoich propozycjach, Fenomani posuwają się przecież krok po kroku naprzód, i kiedy jeden z więcej umiarkowanych ich przedstawicieli Becker, założył swój dziennik: „Turun Viikkosoomat“ rzeczy między dwoma obozami w Finlandyi, szwedzkim i fińskim, ułożyły się już w ten sposób, że przewidywać się dawało zupełne równouprawnienie w niej obu języków krajowych.

Nie leży w programie tej naszej pracy zaznajamianie czytelnika ze szczegółowemi dziejami powstania i rozwoju literatury fińskiej na dalekiej północy. Bynajmniej. Zadanie takie przeszłoby o wiele jej zakres, nie licując co więcej z jej rodzajem. Bawiąc przecież w Finlandyi i dzieląc się z ogółem wrażeniami, jakie z niej wynieśliśmy, nie mogliśmy w żaden sposób pominąć, ciekawszych bezwątpienia od samej natury, usiłowań człowieka, zmierzających do wytworzenia w biednym od natury tym kraju, warunków kulturalnego życia.

Więc usprawiedliwiając się z pobieżności, zaznaczamy tylko z naciskiem, że dzieje tej mało

znanej literatury, do nader interesujących należą, i że nie zmarnowałyby ten czasu, ktoby chociażby z dzieł francuskich i niemieckich pisarzy, chciał się z nimi dokładniej zapoznać. Idziemy dalej.

Jeżeli Agricola stworzył, że tak powiemy, piśmiennictwo fińskie, Porthan, jego współtowarzysze i blizcy następcy wywalczali mu od Szwedów niezbędne do prawidłowego jego rozwoju warunki, to na stanowisko wybitne w Europie wynieśli je: Lönnrot, Runeberg i Snellman.

Ludzie ci zgrupowani dokoła siebie przy świeżo ze spalonego Abo przeniesionym do Helsingforsu uniwersytecie, pracowali na odmiennych polach, ale schodzili się z sobą, a schodzili się, naradzając nad tem, w jaki sposób przyczynić się można najskuteczniej do coraz większego rozwoju literatury fińskiej.

Rezultatem tych ich narad, było zaprojektowanie Towarzystwa, które w roku 1851 uzyskało sankcyę władzy.

Towarzystwo to: *Suomalajsen Kirjallisuuden Seura*, w krótkim czasie stanęło na wysokości naukowych Towarzystw w najbardziej cywilizowanych krajach świata, a owoce kilkudziesięcioletniej jego pracy są doprawdy nieocenione.

Podróżując po Finlandyi, mieliśmy sposobność przeglądać statuty tego Towarzystwa i program jego działania.

Program ten obejmował i do dzisiejszej chwili obejmuje:

- 1) zbieranie i publikowanie starych pieśni ludowych;
- 2) druk książek mających na celu oświatę ludu;
- 3) wydawanie czasopisma traktującego o historii, filologii i literaturze Finlandyi;
- 4) rozwój wszechstronny piśmiennictwa fińskiego.

Jakoż zgodnie z tym programem zatwierdzonym przez organa władzy rządowej, Towarzystwo to, siedzibą którego jest Helsingfors, przystąpiło do gorliwej pracy, i kiedy w roku 1881 obchodziło uroczyste swój pięćdziesięcioletni jubileusz, mogło się poszczycić tak wspaniałym plonem, jak doprawdy mało które w Europie.

Jeden z założycieli tego Towarzystwa, ten przed pomnikiem ukwieconym, którego w Kuopio staliśmy, wspominając jego zasługi, Jan Wilhelm Snellman, przez cztery lata od 1870 do 1874 r. był jego prezesem.

Młodzieniec, gdy Towarzystwo to z Lönrotem i Runebergiem powoływał do życia, jako starzec złamany wiekiem zasiadał na prezydyalnym krześle, aby się przyjrzeć owocom swego posiewu.

Z jakimż wzruszeniem ten mąż stanu, za

literackie i naukowe zasługi przez rząd kraju do godności senatora wyniesiony, z jakimż, powtarzam, wzruszeniem po za siebie rzucać musiał wzrok!

„Kalevala“, ta wspaniała epopeja fińska, zaszczyt plemienia tak długo Europie nieznanego, w dwóch wydaniach znajdowała się już w rękach ogółu, w borach Karelii zebrane ludowe pieśni w taniem wydaniu jako „Kantelatar“ przechodziły z rąk do rąk, Cajan opracował już pierwszą po fińsku historję Finlandyi, a Bredow popularne Dzieje powszechne.

Nie dość na tem. Założone przez niego wspólnie z Lönrotem i Runebergiem Towarzystwo nietylko do zbiorów i prac powyższych czynnie się przyczyniło. Wydało ono Castrena wielką gramatykę fińską, przekład Schildta dzieł Euklidesa, zasady arytmetyki Bareniusa, słownik szwedzko-fiński, i cały szereg podręczników szkolnych. A jeżeli dodamy do tych dzieł zbiorów utworów dramatycznych, przekład Kalevali na język niemiecki i starych run fińskich na język szwedzki, wreszcie arcydzieło Topeliusa: *Księgę natury*, Bibliografię fińską Pippinga, Słownik łacińsko-fiński i przekłady Moljera, co wszystko bez tego Towarzystwa po dziś najniezawodniej nie oglądałoby światła, — to przyznać musimy, że Snellman, dusza Towarzystwa tego, był jednocześnie i dobrym geniuszem swojego kraju, dał mu bo-

wiem to, czego on najbardziej dla swojego odrodzenia łaknął.

Streśćmy się.

Do czasów reformacyi religijnej i Agricoli, nie było piśmiennictwa fińskiego. Były bajeczne runy, przechodzące z ust do ust; były pieśni religijne nucone w Domach Bożych.

Ale tułały się one bezładnie; świat ich nie znał i one nie znały świata.

Wszystko, co po nad tłum szary głowę nosiło, myślało i mówiło po szwedzku, lud ze swoim odrębnym językiem, swemi baśniami i podaniami, żył życiem mało od zwierzęcego odmiennem. Był masą, ale masą bierną, nie poruszyły go żadne duchowe prądy, nie wstrząsały nim żadne idealniejsze potrzeby.

Agricola zbliżył się pierwszy do tej masy, przekonał się, co ona jest warta, doszedł do pewnika, że trud dla niej nie pójdzie na marne. Stworzył to, co jej nie dostawało, język zdolny oddawać odcienia myśli. Jest więc pierwszym etapem na drodze wiodącej do duchowego odrodzenia.

Etap drugi to Porthan, z całą falangą ludzi tej, co on myśli. Zastali już rzecz gotową, język względnie wyrobiony, wzięli więc sobie za zadanie równouprawnić go z językiem szwedzkim, wynieść z tego stanu podrzędności w jakim

się jeszcze w kraju znajdował. I w znacznej części dopięli swego. Jak bez Agricoli, nie było by ich na świecie, tak bez ich znojných prac i ciężkich choć bezkrwawych walk, Snellman znowu byłby wprost niemożliwym. W łańcuchu potrzeb materyalnych i duchowych ludzkości, jedno ogniwo łączy się z drugim, jedno dla drugiego rację bytu stanowi.

Ale będąc następstwem i wypadkową umysłowego ruchu, jaki oni w całym kraju rozбудzili, jest on jednocześnie i przyczyną objawów, z jakimi się w tej chwili tam spotykamy.

I jeżeli dziś, na tej mroźnej i odległej północy, młoda literatura fińska bynajmniej szwedzkiej nie ustępuje; jeżeli dziś Finlandya, gdzie nieumiejących czytać niemal że niema, zalicza się do najoświecieńszych krajów w Europie, w znacznej części jest to zasługą Snellmana, o którym bez przesady powiedzieć można, że całe długie swe życie poświęcił pracy około dobra ogółu.

Czyż więc na niewłaściwym miejscu znajdowały się na jego pomniku kwiaty w Kuopio i czy wiek ten wydał w Finlandyi męża, któryby większe od niego miał do nich (choćaby wtedy, gdy go już nie stało), prawo?

Był wieczór pogodny i cichy, kiedy po zwieźdzeniu Kuopio i okolicy wsiadaliśmy na statek parowy idący do Willmanstrandu.

Statek szedł z Iisalmi, gdzie się jezioro Sajma kończy i dokąd rzadki tylko turysta zagląda, więc prócz kapitana okrętowego, jednej rodziny mieszczańskiej z Kaajani, kilku majtków i obsługujących restaurację dziewcząt, na pokładzie swoim nie posiadał nikogo.

Byłem więc w otoczeniu zupełnie fińskim, a że prócz kapitana, mówiącego niezłe po angielsku, ale zajętego bardzo prześlizgiwaniem się między skalistemi wyspami, nikt żadnego ze znanych mi języków nie rozumiał, przeto gdy po zwróceniu się do któregoś z współpasażerów spotkałem się z odpowiedzią: *svenska, finska*, co znaczyło, że prócz szwedzkiego i fińskiego wszystkie inne języki świata były mu obcemi, zamknąłem się sam w sobie, i oparty o baryerę statku spoglądałem w zadrzewioną na wodzie i dokoła wody dal.

A patrzyłem w nią z zajęciem wielkiem, choć nie obcą mi już była, słońce bowiem dokuczające nam bez miłosierdzia przez dzień cały, chyliło się ku zachodowi.

Miałem więc przed sobą igraszkę światła, jakiej nie widziałem dotąd jeszcze, igraszkę z wodą, skałami i zalegającym, jak szeroki i długi widnokrąg ziemny, borem.

Statek płynął, a raczej przemykał się, jak zrzeczna tanecznicza, między wysepkami tamującymi mu raz po raz przejście, słońce stało i wyrzucało ze swojej tarczy czerwone snopy światła. To je przesuwalo lekliwie przez zielone gałęzie drzew zagajników, to ozlacało niemi ponure zęby wyszczerzonych z fal, niby paszczęki brytanów, skał, to wreszcie łagodnie kładło je na wodzie, środkiem której mknęła łódź nasza, ozlaczana od czasu do czasu jego odblaskiem.

Wreszcie raz się kryjąc, to znowu nam ukazując, to wychodząc, to ginąc w cichej jeziora płaszczyźnie, jak gdyby nieznużone dzienną służbą świata, jak gdyby nie żadne nocnego spoczynku jeszcze, uniosło się w całej wspaniałości ku górze, morzem czerwieni olśniło nasz wzrok... i zgasło.

Otworzyłem „Kalevalę“ w ładnym przekładzie angielskim Eivinda znajdującą się w moim ręku („Finnish Legends“ Londyn, 1893 r.) i rozkolysany do marzeń, bujającym się jak gdyby kolebka statkiem, odczytałem jednym tchem taką legendę.

Lat temu wiele Lempo porodziła syna.

Dano mu imię Lemminkajnen.

Młodzieniec wzrastał wśród wysp na jeziorze, wreszcie stał się dzielny męczyzną, pięknym na oko i uzdolnionym w sztukach magicznych.

Żyła wtedy na dalekiej północy, śliczna dziewczyna, którą nazywano Kyllikki.

Była ona tak ponętą, że raz słońce poprosiło o jej rękę dla swego syna, ale niestety spotkało się z odmową.

Wtedy księżyc zwrócił się do niej o to samo, po księżycu przyszła gwiazda wieczorna, ale Kyllikki obu im odpowiedziała, że żoną synów ich być nie chce. Podobnyż los stał się udziałem mnóstwa innych zalotników z całego świata.

Wtedy Lemminkajnen postanowił bądź co bądź ją posiadać, wbrew radom i uwagom swojej matki.

Twierdziła ona, że Kyllikki do zdobycia nie jest łatwą; że on jest biedny i nikomu nieznan; że gdy niebacznie wyciągnie po nią rękę, spotka się z szyderstwem wszystkich w jej kraju, a może i z czemś od szyderstwa jeszcze gorszem.

Ale to było grochem na ścianę.

Pojechał, lecz gdy go zajeżdżającego przed Kyllikki wrota ujrzały znajdujące się tam kobiety i dziewice, przyjęły go wybuchami głośnego śmiechu, co go tak rozdrażniło, że rozpędziwszy swoje konie, roztrzaskał sanie o drewniany parkan i sam wpadł w śnieg.

Kiedy powstał, gorycz i wstyd przepelniały jego serce. Przyjął przecież ofiarowane sobie

zajęcie pastucha i jako pastuch spędzał dni całe w górach.

Wieczorem oddawał się tańcom, czem tak ujął wszystkie kobiety, że przestały się z niego śmiać, i zaczęły go bardzo cenić. Tylko Kyllikki patrzeć na niego nie chciała, i dała mu nawet radę, aby coprędzej odjechał do domu, gdyż żoną jego nie będzie nigdy.

Ale Lemminkajnen nie usłuchał.

Raz gdy dziewczęta zajęte były tańcem, a między niemi znajdowała się Kyllikki, zajechał on z po za pagórków niespodziewanie, schwycił ją do swoich sani i jak piorun ledwo się pokazał, zniknął.

Opuszczamy dalszy ciąg legendy, opowiadającej jak Kyllikki prosiła Lemminkajneną, by ją piechotą puścił do jej rodziców, jak ją uspokajał i uspokoił wreszcie z trudem wielkim, ale koniec baśni sam się nam pod pióro wprasza.

Gdy zajechali przed chatkę matki, ta zapytała, jakim sposobem syn jej skarb swój posiadał.

— Odpląciłem wcale nieźle — odpowiedział — za szyderstwa, z jakimi spotkałem się na północy, najpiękniejszą bowiem z jej dziewic przywiozłem w moich saniach. Droga matko, przygotuj dla nas najlepsze pomieszczenie, by moja żona czuła się tu szczęśliwą.

Na to odrzekła mu matka.

— Niechaj będzie pochwaloną wielka Ukko

że obdarowała mnie córką. Niechaj będzie pochwaloną, że pozwoliła synowi mojemu zdobyć tę cudowną dziewicę, zaszczyt północy całej, jest bo ona czystsza od śniegu, wdzięczniejszą od łabędzia i piękniejszą od wszystkich na świecie gwiazd.

.
.

Kalevala powstała przed lat tysiącem, przed lat tysiącem powstała baśń o Kyllikki. Ale kiedy płynąc z powrotem tem jeziorem, zastanawiałem się nad losami języka fińskiego, między tą baśnią i tym językiem odnalazłem pewien duchowy związek.

Jak Kyllikki śliczna jak marzenie, ukrytą była w gęstych borach północy, tak język ten dźwięczny jak mało który, chronił się odepchnięty od zachodu pod strzechami mało dostępnych ludowych chat.

Lemminkajnen wyprawił się po Kyllikki, grono ludzi czynu zapragnęło wyrwać ten język z ukrycia, jego spotkał śmiech wszystkich kobiet i dziewic z jej otoczenia, ich szyderstwa głośne partyi szwedzkiej w całej Finlandyi.

Ale i on i oni wyszli z zapasów swoich zwycięsko.

On dał rodzicielce swojej piękną synową, oni matce-Finlandyi język bogaty i melodyjny,

do wypowiedzania delikatnych uczuć zdolny, nąginający się do poezyi przedziwnie.

Wreszcie jeśli zobaczymy, co z tym językiem niedawno niemal odkrytym, zrobili dziś pisarze finlandzcy, jak go nągieli do potrzeb nauki, do jakiej doprowadzili doskonałości, i na jego wartość i przyszłość ich oczami patrzeć będziemy, to i zakończenie Legendy znajdzie się tu na miejscu:

— Bądź pochwaloną o wielka Ukko, żeś dozwoliła zdobyć zaszczyt północy: czystszy od śniegu, wdzięczniejszy od łabędzia i piękniejszy od wszystkich na świecie gwiazd.

ROZDZIAŁ VI.

Helsingfors. — Przed Ateneum i w Ateneum. — Z pobytu w mieście i pod miastem. — Morzem do Borgo. — Archipelag. — Czego Borgo było świadkiem? — Dom wielkiego poety. — Z księgi pieśni Runeberga. — Nad jego mogiłą.

Przyjezdny do Helsingforsu drogą lądową, za ledwie po uciążliwej nocnej podróży opuści Dworzec kolejowy i znajdzie się na wielkim placu przytykającym do niego, uderzony zostaje widokiem wspaniałego gmachu, o liniach szlachetnych i kunsztownych i łagodnych kolorach, na froncie którego ozdobionym popiersiami wielkich ludzi starożytności, widnieją pouczające każdego słowa: „Zgodą drobne rzeczy wzrastają“.

To Ateneum.

Jest godzina 9 rano, jesteś znużony długą podróżą, wsiadłszy bowiem do kolei w Wyborgu o 8 wieczorem, 13 godzin jechałeś w przepelnionym zwykle wagonie, mimo to, nie bacząc na umęczenie, za ledwie otworzone zostają po-

dwoje tego gmachu, wstępujesz w jego progi, by przyjrzeć się okazom młodziutkiej sztuki fińskiej, którą znalazłeś dotąd zaledwie z drzeworytniczych reprodukcji w tygodnikach zagranicznych.

Nie inaczej postępuje i ten, kto do Helsingforsu przyjedzie morzem. Przychodzi to mu o wiele łatwiej, statek parowy bowiem wychodzący zazwyczaj z Petersburga o godzinie 6 wieczorem, o 11 przed południem następnego dnia staje już na miejscu. Nie potrzebuje zatem, jak przybysz koleją, parę godzin wałęsać się po ulicach, ale wsiadłszy w jednokonkę, rodzajem uprząży i ubiorem woźnicy przypominającą w zupełności doróżkę petersburską, może się kazać wprost wieźć przed wrota budynku, które w dni powszednie za niewielką opłatą 25 pennia przepuszczają do jego wnętrza każdego, kto jest ciekawy dzisiejszego obrazu sztuki fińskiej.

Kto z tych, którzy tu dla nauki przyjeżdżają, (a dla zabawy nikt się do Finlandyi nie udaje), kto z tych pytam, obrazu tego ciekawym nie jest?

Sztuka fińska, która, jak to zobaczymy za chwilę nie jest jeszcze w stanie rozkwitu, ale przecież mówić już o sobie pozwala, jest produktem ostatnich czasów.

W epoce, kiedy Finlandya była ogonem wło-

kącym się za jaskrawą gwiazdą Szwecyi, nikt w Finlandyi jak szeroka i długa o niej nie myślał, nikt nią się nie zajmował. Budowano ładne gotyki jak w Abo, lub skromniejsze o wiele świątynie, doskonałym typem których jest stary kościół we wsi Vanaja pod Tamerforsem, ale Domy te Boże były zawsze kopiami cudzoziemskich i niemal zawsze zawdzięczały byt swój obcym rękóm.

Toż samo zamki, — szwedzkie wędzidła ku hamowaniu fińskiej oporności, a wszystkie miasta w Finlandyi są tak młode, że w żadnym z nich typowego okazu dawnej architektury znaleźć nam się nie udało. Albo miasta te człowiek tworzył w ostatnich czasach i piętno dzisiejszości na nich wyciskał, albo po spaleniu przebudowywał je i przerabiał na to znowu, na co u siebie i dokoła siebie codziennie obojętnem okiem patrzymy.

Tak było z architekturą, gorzej rzeczy stały z malarstwem, i śledząc troskliwie za starymi jego okazami w czasach dawnych w Finlandyi, zaledwie tu i owdzie po prowincjonalnych kościołach spotkaliśmy się z naiwnymi malowidłami świętych pańskich na ścianach, przypominającymi czasy barbarzyńskiego stanu sztuki w Europie.

Nikt się nie zadziwi, gdy powiemy, że inaczej być w tym kraju nie mogło w ubiegłych

wiekach, gdy Finlandya kwiat młodzieży swojej z awanturniczemi kohortami Szwedów rozrzuciła po całym wschodzie Europy. Milkną muzy w pośród szczyku oręża, — mówi przysłowie, a komu dzieje nie są tajnemi, ten nie zaprzeczy, że epoka politycznego związku dwóch północnych państw, to epoka, wyrażając się brutalnemi słowami Bismarka: *gorącej krwi i ostrego żelaza*.

Wiek XIX, po wielkich klęskach i po niezmiernem wyczerpaniu sił, przyniósł Finlandyi uspokojenie, i wiek ten też jest dopiero kolebką jej sztuki.

Nieśmiało, jak wszystko, co młode, wschodzi ona ku radości swoich a podziwowi obcych, i ten gmach Ateneum, do którego właśnie wstępujemy, jest dowodem, że żyje i śmierć jej nie zagraża.

Nie ten gmach tylko.

Już w roku 1846, pod wpływem umysłowego ruchu, rozbudzonego wśród Finnow przez Lönröta, Runeberga i Snellmana, założone zostało w Helsingforsie: „Towarzystwo finlandzkie sztuk pięknych“. W jakim stanie znajdowały się wtedy w tym kraju te sztuki, za dowód posłużyć może to, że rok przed tem dopiero Ekman otworzył w Abo pierwszą bardzo niedołążną szkołę rysunków, a jedynemu w całym kraju malarzowi Magnusowi von Vriigt w Helsingforsie sztuka

tak dalece się opłacała, że obawiając się umrzeć głodową śmiercią, przyjął skromną posadę preparatora w Muzeum zoologicznem przy stołecznym uniwersytecie.

Założenie towarzystwa Sztuk pięknych jest zwrotną epoką w Finlandyi.

Pragnąc podnieść poziom estetycznego wykształcenia w kraju, należało przedewszystkiem pomyśleć o porządnej szkole rysunkowej, a że szkoła Aboska nie zasługiwała na to miano, przeto w roku 1848 założyciele Towarzystwa tego dają początek Zakładowi, mającemu na celu przygotowanie zupełnie poprawnych rysowników. W trzy lata po tem, kulejąca szkoła w Abo przechodzi pod ich energiczny zarząd, i w krótkim czasie przeinacza się do niepoznania.

Ale to wszystko nie było jeszcze dostatecznem. Dla rozwinięcia malarstwa w kraju potrzeba było czegoś więcej: stawiania ciągłego przed oczyma młodych malarzy wzorów naśladowania godnych, wyszukiwania kielkujących talentów, i podawania im pomocnej ręki.

Wszystko to dokonywa się za impulsem Towarzystwa.

W roku 1849 założonem zostaje w Helsingforsie stałe Muzeum sztuk, i poczynając od tego roku urządzają się w tem mieście rok rocznie wystawy obrazów. Nadto wielu niezamożnych

uczniów szkół rysunkowych i początkujących malarzy, otrzymuje czasowe wsparcia na dalsze kształcenie się w kraju, i stałe na wyjazd za granicę. Odrodzona tak niedawno właśnie literatura fińska, estetykom spokoju nie daje, z energią niezwykłą postanawiają oni stworzyć rodzime malarstwo, i najprzeróżniejszymi drogami zmierzając do tego celu, ostatecznie urzeczywistniają w części swoje ideały. I mimo, że jak ich współtowarzysze na niwie literackiej, i oni na drodze pochodzenia swojego spotykają się z przeszkodami, mimo, że ich, zwolennicy wyłącznej kultury szwedzkiej w kraju, na każdym kroku szyderstwami darzą, jak bajeczny Lemminkajnen pragnący zdobyć piękną Kyllikki, nie ostygają w szlachetnym zapale, idą wciąż naprzód i jak on, dochodzą tam dokąd dojść zamierzili.

W rzadkich dziejowych epokach, rzadcy zaiste tylko ludzie, ku zbudowaniu świata, podobnej jak oni wytrwałości złożyli dowody.

Już te zatem ich szlachetne wysiłki ku stworzeniu rodzimego malarstwa, wysiłki za ich jeszcze życia uwieńczone powodzeniem, świadczą o tem, że sztuka w Finlandyi nie jest krzewem na skale, warunków bytu i przyszłości pozbawionym, przekonywają o tem wymowniej obrazy i posągi, jakie spotykają nas, gdy się znajdziemy w gmachu Ateneum w Helsingforsie.

Sam gmach Ateneum jest dziełem niepospo-

litem, i dobrze świadczy o architektonicznych zdolnościach swojego twórcy Hoijera.

Przeznaczony nietylko na muzea, zbiory sztuk pięknych i zastosowanych do przemysłu, ale i na szkoły rysunkowe, przedewszystkiem imponuje on rozmiarami. Rozmiary te są zaiste niezwykle, skoro umieszczony na olbrzymim placu, nie niknie bynajmniej na nim, ale wydziela się z szeregu innych wcale nie lilipucich budynków, i masywnością murów swoich je zamienia.

Będąc wielkim, jest on jednocześnie i dziwnie pięknym, mówi do ciebie powagą i spokojem, i jeżeli znalazłszy się przed niejednym ostatnich czasów gmachem, łamiesz sobie czas długi nieraz głowę, jakie być może jego przeznaczenie, tu ledwo oczy do góry podniesiesz, czujesz, z czem masz do czynienia. I choć nie wiele ci mówi jego łaciński napis, z którym nieraz i na starych spotykałeś się monetach, niewiele popiersia uczonych, zdobiące tak często domy prywatne, patrząc nań uważnie i długo, omylić się nie jesteś w stanie, ukazuje ci on bowiem przeznaczenie swoje, jak na dłoni. Mistrz fiński, całą swą fińską duszę wlał w to dzieło pomysłu swojego, wyraźnie więc, chociaż niemym przemawia ono do ciebie głosem, świadcząc, że bóstwom tu fińskim kwiaty twórczości duchowej kraju złożone są w ofierze.

Ale wejdźmy do gmachu tego, i popatrzmy na te kwiaty.

Gmach Ateneum, wspaniały z zewnątrz, wewnątrz urządzony jest z komfortem wielkim.

Widzisz to, kiedy zamkniesz za sobą jego wrota.

Uderza cię przede wszystkim olbrzymia i gustowna klatka schodowa, o stopniach granitowych, i ścianach ze smakiem dekorowanych. Będąc przedsionkiem i wstępem do sal muzealnych, piękna ta klatka jest sama w sobie prawdziwym przeciwieństwem muzeum, znajdują bowiem w niej pomieszczenie dzieła rzeźby krajowej. Uszlachetnia to ją niepospolicie, ale zarazem i urok jej podnosi, i ta obfitość światła, jaka cię wita, gdy jej progi przestąpisz, w związku z harmonią architektonicznych jej linii i pięknymi figurami porozmieszczanymi w jej wnętrzu, niby to bezładnie a w rzeczywistości bardzo zgrabnie, jak najkorzystniej uspasabia cię do całego muzeum, chociażby jeszcze nawet zewnętrzny, okazałego tego gmachu wygląd, korzystnie cię dla niego nie usposobił.

Nie dziwnego, przedsionek w budynku, to niby pierwsze słowa rozmowy, akordy muzyki pierwsze, a komu tajna ich siła na człowieka, kto nie odczuł ich wpływu na siebie?

Ale gdy nieraz zawodnem bywa korzystne wrażenie, jakie na nas sprawiają i pierwsze

słowa i pierwsze akordy, wrażenia przedsiönka tego, nie osłabiają tu bynajmniej muzealne sale. Są one wszystkie wysokie i widne, oświetlone przeważnie z góry, skomunikowane z sobą przedziwnie. Jak karty książki rozkładają się porządnie, obfitością zbytecznych tak często gdzieindziej drzwi, w orjentowaniu się nie przeszkadzają, łączą się jednym słowem nader zręcznie, każdemu nieobeznanemu z topografią wnętrza gmachu ułatwiając zadanie jego. A gdy dodamy, że będąc wygodnemi, są one jednocześnie i gęstawnemi, że pożyteczne zespala się w nich ze słodkiem, to przyznamy, że ten milion fińskich marek, jaki naród ubogi wydał na przybytek swojej sztuki, nie poszedł bynajmniej na marne, że przez to Ateneum, Helsingfors zyskał wspaniałą zaiste ozdobę, a kraj cały przybytek urządzony jak najwyborniej, na pomieszczenie malarskich i rzeźbiarskich okazów narodowej sztuki.

Co uderza, gdy się w salach Ateneum znajdzie i rozejrzy uważnie dokoła, oto że malarze finlandzcy uprawiają przeważnie „krajobraz“ i „rodzaj“. Natura jest tam tak oryginalna, tyle w niej poezji spotyka się na każdym kroku, że musiałby chyba każdy z nich nosić w swoim wnętrzu kamień nie serce, aby nie oddziaływała na każdego potężnie, a oddziaływając, nie wy-

wolęwała z pod ich pendzla obrazów usiłujących jej czary przenieść na płótno.

Z drugiej znowu strony, kraj odcięty od reszty świata morzem, wązkim tylko przesmykiem lądowym między zatoką fińską i jeziorem Ładoga stykający się z Europą, musiał wyrobić w sobie i wyrobił wiele charakterystycznych w domowym życiu właściwości, wysoce pociągających i sympatycznych, właściwości pełnych spokoju i piękna, które wstrząsały każdym z nich potężnie.

Samodzielnej przeszłości kraj ten nie miał, od kilku wieków wyznając naukę Lutra, Domów Bożych obrazami nie przyozdabiał, żył w ciągłej pracy na swoich niezliczonych jeziorach i w bezgranicznych lasach, w ciężkiej walce z wspaniałą ale twardą przyrodą, która ukazując mu swoją krasę, z wysiłkiem tylko pozwalała wydzierać sobie jej tajemnicę.

Był on i jest wysoce religijnym (ani słowa), ale z racyi przekonań i wierzeń swoich nie symbolizował zmysłowo tego, czemu cześć oddawał, więc nie mając historycznej przeszłości, z jednej strony, a z drugiej uważając za bałwochwaltwo stawianie przed oczyma, postaci nadzmysłowych, kiedy pod wpływem elektrycznych duchowych prądów wstrząsających całym krajem, zdobył się na narodową sztukę, musiał

pehnać ją na drogi, na których jedynie widział świetlaną dla niej przyszłość.

Tak jest tu, tak było wszędzie, duch poszedł nie tam, gdzie chciał, ale tam, gdzie musiał, gdzie znajdował korzystne dla swego rozwoju warunki, gdzie uśmiechała się przed nim piękna, pełna słonecznych blasków przyszłość. Stara historia (eine alte Geschichte) nietylko w dziejach młodzieńczych serc ludzkich i miłości, znajduje życiowe stwierdzenie.

Munsterhielm, Lindholm i Holmberg, są pejzażystami, nazwiska których wybiegły po za granice Europy. I słusznie, każdy z nich bowiem jest mistrzem w swoim rodzaju.

Otrzymawszy pierwsze początki rysunku w domu, w Düsseldorfie uzupełniali oni swoje studia, ale bawiąc na obczyźnie, nie zubożyli dla Finlandyi. O każdym więc z nich powiedzieć to można, co Telimena z „Pana Tadeusza“ o malarzu Ołowskim, że:

„Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,
„Wysławiał wszystko w kraju: ziemię, niebo, lasy“

Ta swojskość trzech najwybitniejszych pejzażystów finlandzkich uderza, kiedy się chodzi po salach Ateneum. Wszystko, co się tam widzi na ich płótnach, Finlandyę najdokładniej przypomina. A że w tym kraju las i woda

spotykają się na każdym kroku, przeto i na ich obrazach zajmują one przeważne miejsce.

Przedstawiając drzewa i jeziora, zdawałoby się, że malarze ci muszą być jednostajni i nudni. Bynajmniej, każdy z nich bowiem podpatruje naturę z innego punktu, indywidualnością swoją ją ożywia. Gdy zaś każdy z nich oświetla obrazy swoje po swojemu, w odmienny sposób, przeto ich płócien pod strychulec jednakowego szablonu podciągnąć nie można, wyróżniają się bowiem wszystkie, bardzo wybitnie od siebie. I już to samo świadczy o sile ich talentu.

Jansson, Becker i Edelfeld, w dziale malarstwa rodzajowego, zajmują to samo stanowisko, co Munsterhielm, Lindholm i Holmberg w dziale pejzaży, i w Ateneum popisują się pięknymi zaiste okazami.

Właśnie stoimy przed wspaniałem płótnem Jansonna, przypominającym rodzajowe obrazy szkoły holenderskiej.

Scena w izbie, jednej jasnej nocy fińskiej.

Korzystając z wieczornego wczasu, dwóch rybaków zasiadło do gry. Usadowili się na kuferkach, bo w izbie krzeseł nie ma, i zapomniawszy o swoich codziennych zajęciach i kłopotach, z rozkoszą ludzi wypoczywających po ciężkiej pracy, zatopili się doszczętnie w kartach. Za nimi z fajką stoi trzeci kompan, czekając, ry-

chło na niego kolej przyjdzie, a przed nimi przycupnął na rogu skrzyni młody wyrostek, i z zazdrością, że wiek mu jeszcze zabawiać się grą nie pozwala, patrzy na tego, który ma wyjść z asem.

Te cztery twarze: zadumanego gracza, kombinacyom karcianym, którego, zręczny przeciwnik pomieszał widocznie szyki, zadowolonego tryumfatora, czującego dokładnie, że mu ofiaranie wyslizgnie się z matni, niezainteresowanego w grze a przecież zaciekawionego kompana, zdającego się być zdumionym śmiałym pomysłem wygrywającego, i wreszcie zazdrosnego chłopaka, — są tak świetne i typowe, że mimo całą bladość kolorytu, przykuwają każdego do siebie.

Zupełnie tak samo jak inne płótna Beckera: „Naprawiający sieć“, „Chrzest“ i „Dla kotka“.

Starzec z fajką w ustach, sam jeden przy kominku zasiadł do pracy, owoce której spożywać będzie jutro.

Łowił na jeziorze ryby, o sznur jeden zahaczył się jakiś olbrzym wodny i sieć naporu nie wytrzymała, pękła jak gdyby z pasem nicianych utkana. Trzeba ją naprawić, a że w izbie kobiety niema, więc siadł staruszek do nie męskiej roboty, i z niezgrabnością cechującą nas przy zajęciach niewieścich, chwyta sznurki, by je z sobą powiązać. I nic go nie obchodzi, co

się w tej chwili na świecie dzieje, nie masz nic dlań nad jego zajęcie w tej chwili ważniejszego, czuje on bowiem, i obliczem swoim każdemu o tem wyraźnie mówi, że jutrzejszy kęs czarnego chleba dla znajdujących się zapewne pod wyłączną jego opieką, pozbawionych przedwcześnie matki, wnucząt, zawisł od tego, czy mu się ta robota uda dobrze, czy nie.

Jak Jansson w obrazie opisanym, tak i Becker w tym, z przed którego się oddaliśmy, nie dają nam niemych manekinów, nie mówiących, które się mija obojętnie, ale podpatrzywszy scenę, z pulsującego krwią gorącą życia, z życiem i krwią przenoszą ją na swoje płótna.

A jak bardzo są oni narodowi, jak dalece typy, jakie nam ukazują, przedstawiając uczucia ogólnie ludzkie są przecież na wskrós fińskimi, wykrojonemi z nad brzegów Sajmy lub archipelagu zatoki fińskiej!

Popatrzmy naprzykład na „Chrzest“ Beckera, na tę ładną młodą kobietę podającą ze wzruszeniem nowonarodzone niemowlę staremu pasterowi, by je przyjął do grona wiernych, którego jest duchownym przewodnikiem, na tego w tyle podpierającego się pod brodę czapką, i spoglądającego z pewnością przed siebie, jakby oczami chciał wszystkich przekonywać, że tego malca kręcącego się tam matce na rękach, jest

nie kto inny tylko on ojcem. Nie sąż to typy z borów Savolaksu lub Karelli, nie spotykaliśmy się na każdym kroku z niemi, gdyśmy karjola przerzynając wielkie przestrzenie, dla ciekawości nieraz wstępowali do wnętrza barakowych chat, ocienionych lasem i przeglądających się w lustrze wód? Zarówno ta matka i ojciec, jak ten pastor i towarzyszący uroczystemu aktowi świadkowie, wszyscy oni noszą na sobie wybitne piętno fińskie. Nawet ta ściana izby, na której kołysze się mapa Finlandyi, nawet ten stół, na którym globus stoi, przypominają nam jak najwyraźniej skromne parafialne komnaty, gdzie pastor wiejski w chwilach wolnych od zajęć, egzaminuje dzieci z początków nauk, gdzie ich ukrzepia w zasadach wiary, do pracy i moralności zachęcając.

Albo teraz: „Dla kotka“.

Jesteśmy w sklepiku małego miasteczka, już nie w głębi Finlandyi, ale na wybrzeżu morskiem.

Mała dziewczynka z mieszczańskiej rodziny przychodzi do rzeźnika, by za pięć pennia kupić kawałek mięsa dla kotka.

Nie może łapać myszy, bo jest zbyt młody, więc się biedactwo ulitowało nad nim, i ostatni swój majątek składa na ofiarę faworytowi.

Ale podając swoje pennia, źle się tłómaczy, gdyż jest sama maleńką, podbiegają tedy ku

niej właściciele sklepu, i wyciągając ręce po pieniądze, starają się wyrozumieć o co jej chodzi. A tymczasem ona z komicznie zakłopotaną miną powtarza bezustannie swoje: „Litet at katten“ („dla kotka“) i z pewnością pojąć nie może, dlaczego jej tak długo w tym zawieszonym słoniną i mięsem sklepie, na pożądaną przysmak czekać każą.

Te trzy postacie na tym obrazie: „Dla kotka“ narysowane są wybornie.

I ten rzeźnik podpierający się pod bok, i ta kobieta pochylona wdzięcznie w stronę dziewczynki, i ta dziecina z wyciągniętą rączką i podniesioną główką do góry.

Ale nie o rysunek nam teraz chodzi.

Idzie nam o zaznaczenie z naciskiem, że utalentowany malarz, wprowadziwszy nas w świat grubych zajęć i poziomych zazwyczaj instynktów, przedstawił świat ten ze szlachetniejszej strony, że z pod twardej jego skorupy wygrzebał uczucia ogólnie ludzkie, przeciwstawiając mu niewinność dziecka, niezdolnego poruszyć tylko głazu.

I przeciwstawienie to, w związku z wrażeniem, jakie na przedstawicielach tego świata budzi, na tym mężczyźnie oderwanym być może od krwi, i tej kobiecie, dopomagającej mężowi w jego twardem rzemiośle, każdego myślącego i czującego poruszyć do głębi musi, a zadumana

twarz tej kobiety, kobiety-matki, spoglądającej miłośnie na dziecko, nie jej własne, a przecież w rzeczywistości tu jej drogie, mogła by być nauką i wyrzutem dla niejednej z tych kobiet, które za nic sobie mając zajęcia i zadania kobiece, niewinnemu uśmiechowi dziecka, przeciwstawiają nieraz twarz surowej Minerwy, a kwileniu jego, serce z lodu...

Dwa poprzednie obrazy Beckera są poważne i poważne myśli w głowie budzą, ten jednak weselej nastraja, — wszystkie zaś, ukazując sceny zwyczajnego życia w Finlandyi, dorzucają coś nie coś do wiadomości, jakie inną już drogą o kulturze i uobyczajeniu jej mieszkańców zebrać zdołaliśmy.

Jeżeli Janson i Becker uprawiali wyłącznie niemal „rodzaj“, — trzeci ich współtowarzysz, Edelfelt miał się różnych tematów.

Nie zawsze przecież szczęśliwie.

Jego „Letni wieczór na jeziorze“, jest pełen blasków i wesela. Te trzy podlotki wiosłujące po wodzie, ta czwarta mała pozostawiona przez nie na brzegu, i z kamienia, na który w kuszulce wskoczyła, wołająca, by po nią podpłynęły, są piękne i pięknie oddane, toż samo „Panna z kwiatami“ w białym kapturku na głowie i „Romans w ogrodzie“, ale „Karol znieważający zwłoki Fleminga“ jest i niesmaczny, i że nic o kolorycie nie powiemy, nieco sztywny.

Z tej racji, że przedstawia historyczną scenę i dziejowe postacie, możnaby ten obraz zaliczyć do malarstwa historycznego, patrząc nań przecież, mówiliśmy sobie w duchu, że lepiej jest, by malarstwo historyczne z podobnemi się nie popisywało. Powiedzieliśmy sobie to samo, tylko z bezporównania silniejszym naciskiem, spoglądając w Ateneum na duże stosunkowo płótno Falkmana, przedstawiające Knutssona pod Wyborgiem, i odeszliśmy od tego płótna, by z prawdziwą już rozkoszą wpatrywać się w krajobrazy i rodzajowe sceny, na szczęście na wszystkich ścianach muzealnych zajmujące części lwie.

Jednego jeszcze obrazu pominąć w żaden sposób tu nie możemy, nie dlatego, by na pochwały zasługiwał, ale ponieważ ma w Ateneum honorowe miejsce. Dlaczego? nie wiem.

Jest to karta wycięta z życia Wajnamojnena, a raczej z dziejów serca starego tego bohatera, a nosi tytuł: „Aino, myt z Kalevali“.

Obraz jest tryptykiem o ramach architektonicznych, wypisami z epopei zapełnionych, ani rysunkiem jednak, ani kolorytem do oka nie przemawia. Co więcej, jest on niemal szpetnym, a dominująca na nim dziewczyna jest doprawdy tak nieładną, tak mało niewieściego powabu ukazuje nawet w pełnem obnażeniu nad wodami jeziora, że dziwić się doprawdy można zakochanemu bajecznemu starcowi, iż dla zdobycia

jej narażał się na tyle przygód, w każdym wieku bardzo przykrych, a w jego, nad wyraz śmiesznych.

A przecież dość było zajrzeć do Kalevali odczytać jeden jej ustęp, by dojść do przekonania tego, że ze wszystkich zdradnych cór Ewy w bajecznej Pohjoli (dzisiejsza Laponja) Aino była najpiękniejszą, jeżeli bowiem stary czarodziej, przełożył ją nad wszystkie dobra, jakimi go jego współzawodnik Jukahajnen wzamian za ulitowanie się nad nim darzył, jeśli po stracie jej tak rozpaczał i tyle zniósł zawodów i przeciwności, to nie dla czego innego przecież tylko dla tego, że czar niewieści opromieniał w wysokim stopniu jej postać, a wiotka kibić potęgowała jej urok. Jakiem więc prawem, na obrazie tym, jest ona brzydką, pospolitą dziewczyną fińską, — dla zdobycia której nikt z pewnością nie chciałby wyciągnąć ręki, — nie wiem, to pewne przecież że brzydką, mało brzydką, wstrętną jest i uczucie wstrętu nie pociągu w widzu budzi. Twarzy takich w podobnych obrazach, sztuka na światło wyprowadzać nie powinna.

Może kto powie, że twarz Ajno jest tu obojętną, odpowiemy mu, że nie; kiedy się bowiem rzuca na płótno postać niewieścią nie pierwszą lepszą z miasta lub wsi, lecz zidelizowaną przez poezję, należy ją na niem przedstawić idealnie,

tak jak poezya utworzyła ją w nadziemskich swoich sferach, inaczej zgrzytu w duszy, jaki zestawienie dwóch obrazów z konieczności wywołać musi, widz malarzowi nigdy nie daruje.

Coby czytelnik a zwłaszcza czytelniczka powiedzieli, gdyby mistrz pendzla przedstawiający Zosię z „Pana Tadeusza“ w scenie, gdy z odsłoniętymi ramionami i łabędzią szyją w zaciątku:

„Ujrzała młodzieńca i z rąk jej wypadła
Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła“,

lub w drugiej, gdy przywoławszy ukochane swoje domowe ptastwo:

„Sama biała i w długą bieliznę ubrana,
„Kręci się jak wijąca wśród kwiatów fontana;
„Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy,
„Ręką jak perły białą gęsty grad perłowy“,

ukazał ją z twarzą puciołowatą ordynarnej dziewczuchy wiejskiej, lub też z niekoniecznie wstrząsającą nami tuszą, grubo zmysłowej kobiety?

A takim samem świetlanem przecież zjawiskiem, jakim jest „Zosia“ w naszej epopei, bajeczna Ajno w epopei fińskiej jest, niemniej od tamtej piękna i idealna, równie więc pięknie i idealnie przedstawioną być na płótnie powinna, zwłaszcza też, że nie ustępując jej w kraświe dziewiczej, dominuje nad nią jednym: nie-

szczeńciem, i gwałtowną z powodu rany sercowej śmiercią...

„Ajno“ wyszła z pod pędzla Hallena, i dziwnych okoliczności zbiegiem, nadała mu w kraju szeroki rozgłos. Jego płótno nabyło państwo, i jest ono dziś własnością narodową, chociaż sztuce krajowej zaszczytu nie przynosi. Czy dla Hallena to wielkie odznaczenie nie przypadło w udziale za to właśnie, że ze sfer mytycznych ściągnął na ziemię postacie, na wspomnienie których serce każdego finlandczyka żywiej uderza, wiedzieć trudno, to tylko pewne, że do nikogo właściwiej nie możnaby zastosować znanych słów: stał się szczęśliwym, nie będąc zasłużonym.

Zapytacie może teraz o koloryt malarzy finlandzkich.

Koloryt tego obrazu Hallena jest poprostu dla mnie niemożliwy. Rozrzuciwszy wszystkie farby na palecie, we wszystkich maczać musiał swój pędzel, dał nam więc płótno jaskrawe i krzyzące, i tym krzykiem i tą jaskrawością niesmaczne.

Inni malarze w tym kraju kolorystami nie są, ale i za jaskrawością też Hallena bynajmniej się nie ubiegają, i większość scen, jakie w tem Ateneum na ścianach widzę, oświetloną jest nieco przyblado może, ale w sposób sympatyczny i wdzięczny. Kolory zlewają się na ich obrazach

z sobą, a ogólny ich ton, z wyjątkiem tego jedyne go, jest raczej posępny, niż świetlany. W kraju niekończącego się dnia w lecie, jest to bądź co bądź charakterystycznym.

Z kolei rzeźba.

Młodsza o wiele od malarstwa, nie dorównywa okazom jego, ani ilością, ani jakością.

Ilościowo jest jej bardzo nie wiele, a pod względem jakości, przedstawia ona duże braki. Przecież i tu w tym dziale spotykam się z cennymi wyjątkami, dzięki dwom utalentowanym ludziom: Takanenowi i Runebergowi. Pierwszy z nich był synem prostego chłopa z pod Wyborga, drugi genialnego narodowego poety, obaj kształcili się w Kopenhadze i w Rzymie, obaj do jednych i tych samych ideałów dążyli.

Ale nie obaj doszli do jednej sławy, nie obaj stworzyli równie wspaniałe dzieła, i gdy niewieście figury pierwszego: (Aino, Rebeka, Andromeda), dzięki miękkości i rozlanemu w ich nagich ciałach powabowi, zdobyły mu pewną popularność, wielkie kreacye Runeberga wydzwignęły go o całe niebo wyżej.

Jego „Per Brahe“, którego model tu się znajduje, jest pełen życia i energii męskiej. Znakomity światły Szwed, dobroczyńca Finlandyi, założyciel uniwersytetu w Abo, pod jego dłutem wskrzeszony został z martwych do życia, i ukazuje się nam w całym majestacie woli

żelaznej i głębokiego rozumu. „Ja byłem z kraju, a kraj ze mnie zadowolony“, — oto napis, jaki rzeźbiarz umieścił pod posągiem, ale gdyby napisu tego tu nie było, i tak każdy czytałby to w jego twarzy. A co za pyszne zarzucenie kostiumu, jaka siła widnieje w jego rysach, jaka fantazyja przejawia się w całym układzie! Tak jest: „Per Brahe“ jest dziełem skończonem i zarzucić mu nie można, a służąc za pomnik dla człowieka woli, odwagi i zasługi, jest on jednocześnie pomnikiem i tego, który tchnął w kamień cząstkę własnego ducha.

Takie dzieła, w pewnych momentach tylko powstają dla chwały sztuki, tworzy je duch, gdy mocą Bożą z brudów i nędz tej ziemi, majestatycznie i dumnie wkroczy w niebieskie sfery ideału.

Nad rzeźbą nie zatrzymamy się długo, — tworów bo podobnych nie spotykamy tu więcej, ale i te, co są, o przyszłości jej wróżyć nam dobrze każą. I jeśli sztuka, która się dziś Takanenem i Runebergiem szczyści, nie przestanie wzorować się na wielkich dziełach, można być pewnym, że zdobywszy się na tyle, pójdzie dalej, za przykładem malarstwa.

A wtedy?

Roztworzą się przed jej okazami wrota przed-sionka, gdzie dziś nieśmiało przybysza do Ate-neum wita, tryumfalnie zajmą one właściwsze,

niż dziś miejsca, tuż przy płótnach Beckera, Munsterhielma i Edelfelta, a świat zdumiony żywotnością maleńkiego, zapomnianego ludu, po raz nie pierwszy, ale być może i nie ostatni przyzna, że wielkie duchowo rzeczy, tworzyć mogą niekoniecznie wielkie i silne narody.

A przyznawszy to, może małym i słabym, zamglony nieraz marzeniami o nadludzkich zadaniach, cel rozświetli.

* * *

Ten piękny, mało piękny, ten wspaniały gmach Ateneum, który mógłby stać na bulwarach paryskich, lub ringach wiedeńskich, i ozdabiającym je gmachom nie robić wcale sromu, pod pióro wyprowadza nam uwagę, że Helsingfors budynków podobnych posiada bardzo wiele. Posiada ich bez porównania więcej, niż każde inne ze znanych nam w Europie, tej wielkości co on miast.

Pierwotnie dzisiejsza stolica Finlandyi znajdowała się na innem miejscu.

Kiedy Gustaw Waza umyślił wybudować w Finlandyi nowe miasto, wybrał w tym celu miejsce, o 6 wiorst oddalone od tego, które obecnie ono zajmuje, tam, gdzie rzeka Wanda gwałtownie wlewa swoje wody, do głęboko wciśniętej w ląd zatoki, i gdzie dziś jeszcze znajduje się osada Gammelstaden.

Ale założone tam nowe miasto nie miało szczęścia; nie żyło, lecz wegetowało, co widząc rząd królowej Krystyny przeniósł je nieco na południe, na niewielki półwysep, otoczony dookoła większemi i mniejszemi skalistemi wyspami.

I tu jednak Helsingfors za rządów szwedzkich nie zażywał do zbytku pomyślności, palił się niejednokrotnie, nawiedzany był klęskami głodu, a że stolicą kraju było Abo, przeto włókł dość marnie swój żywot, zdala od wielkiego i ruchliwego świata, jego bogactw, wspaniałości i potęgi. Jeszcze w połowie zeszłego wieku, liczył wszystkiego 2000 mieszkańców, a gdy na jego wodach rozgrywały się niejednokrotnie krwawe zapasy, pomiędzy dwiema potęgami północy, bywały przeto chwile, kiedy liczba ta schodziła do setek.

Wzrost Helsingforsu datuje od odłączenia Finlandyi od Szwecyi, a choć w tym właśnie dziejowym momencie straszny pożar ponownie go niszczy, jak feniks z popiołów ukazuje się on wkrótce światu, w nieznanym przedtem blasku, który podnosi nadany mu przez cesarza Aleksandra I. charakter stolicy całego kraju, siedziby władz autonomicznych, administracyjnych, zakładów naukowych i uczonych instytucyi.

Wspaniałość Helsingforsu ukazuje ci się wy-

rażnie, kiedy na statku parowym wpływasz do jego portu.

Jest godzina przedpołudniowa zwykle, „Von Döbbeln“ na pokładzie którego się znajdujesz, wyminąwszy szczęśliwie skalisty archipelag, tamujący mu na wybrzeżu fińskim na każdym kroku drogę, całą siłą pary podpływa już ku miastu, trzymasz więc w ręku swój kuferek, gotując się do wyjścia na ląd po całonocnej morskiej podróży, — i patrzysz.

Widzisz przed sobą obraz, jakiego nie spodziewałeś się tu znaleźć.

Przedewszystkiem, uderza cię wprost olbrzymia świątynia o wieżach kopulistych i wysokich, rozmiarami dorównywająca największym świątyniom północy Europy: Stoi jak gdyby na wysokiej górze, wystrzela po nad wszystkie wieże i gmachy, i jak gdyby przytłumiając tu wszystko, a zarazem wszystko uświęcając, pierwsza rzuca ci się w oczy.

To „Nikolai kyrkan“ — katedra Ś-go Mikołaja, dzieło nie tyle piękne, ile monumentalne, Engela. Mistrz budownictwa, o którym nieraz jeszcze, bawiąc tu, mówić będziemy, gdyż geniusz jego przyozdobił to miasto wspaniale, znalazłszy w środku Helsingforsu olbrzymią skałę, na tej skale dźwignął Dom Panu, jak gdyby przez to chciał dać do zrozumienia, że Dom taki i nad wszystko unosić się ku niebu powinien i uno-

sząc się, wszystkich, miłość, wiarę i nadzieję, bezustannie zwracać ku niebu.

Na placu, który „Nikolai kyrkan“ zajmuje, przygłusza ona rozmiarami swojemi wszystkie okoliczne gmachy, z oddalenia, od strony morza widziana, przedstawia się patrzącemu tak, jak gdyby wszystkie do progów jej nie sięgały. I gdy, jak wtedy, gdym tą drogą po raz pierwszy do Helsingforsu wstępował, gęsta mgła przysłoni nieco miasto, zdrobni domy jego wybrzeża, a zdrobniwszy je, zleje w jedną szarawą masę, na wyniesieniu swoim skalistem przedstawia się tak imponująco, jak w tych wioszczynach naszych na Powiślu, dokoła chat spaloną słomą pokrytych, wielka kamienna dzwonnica, nawołująca wiernych do skruchy i modlitwy o miłosierdzie.

W miarę jak statek przybliża się ku miastu, katedra niknie, wysuwając na plan pierwszy gmachy wybrzeża.

Ukazuje ci się wtedy ożywiony port, o granitowych ścianach, i wszystkich właściwościach wielkich i porządných portów świata. Więc dziesiątki statków, kołyszących się na wodzie masz przed oczyma, więc tłumy pracowników morza poruszają ci się na lądzie, więc skrzypią ci nad uszami żelazne i lniane sznury, stopy towarów to niktą w otchłaniach okrętów, to znowu wysuwają się na brzeg. Ale to wszystko interesuje

cię nie wiele, spoglądasz dalej, i po za rynkiem przytykającym do portu, przyglądasz się uważnie budynkom. Widzisz przedewszystkiem pałac wielko-książęcy, na prawo cerkiew z oryginalnym dachem, jak gdyby przyprószonym śniegiem, na lewo wielki hotel: „Societetshus“, a w środku rynku obelisk, z dominującym na nim brązowym orłem. To pierwsze rzuca ci się, po za ożywionym tym portem w oczy, rekomendując stolicę Finlandyi odrazu z jak najlepszej strony. A gdy wysiądziesz już na ląd i postąpisz naprzód kroków kilka, gdy na tym rynku „Salutorget“, który te domy ozdabiają, dostrzeżesz uderzającą czystość i porządek, z jakimi tylko spotykałeś się w Holandyi, tuż nad morzem ładny budynek, przeznaczony na sprzedaż owoców i mięsa, (kiedyż Warszawa podobnego się doczeka?) a gdzie się zwrócisz, kamienice okazałe, to przyznasz, że Helsingfors jest dla przyjezdnego prawdziwą niespodzianką, pięknością swoją go bowiem olśniewa, a olśniewając, i pod niejakim względem ludzi. Kto bo pomyśli, widząc ten port, to ożywienie lądu i wody i te budynki imponujące swojemi kształtami, że ma przed oczyma miasto zaledwie sześćdziesiąt tysięcy?

Jeśli port i ten „Salutorget“ zalecają ci miasto pod każdym względem jak najlepiej, ledwo się znajdziesz na wspanialej „Esplanadgatan“,

przyznać musisz, choćbyś nie wiedzieć jak był wybrednym, że jesteś wśród arteryi miejskiego ruchu, jak gdyby wyjętej i przeniesionej pod to niebo z najpierwszych stolic Europy.

„Esplanadgatan“ rozpoczyna się u „Salutorget“, i długą linią ciągnie się aż do gmachu Nowego Teatru, pięknego granitowego budynku, po spaleniu odrestaurowanego przez Benoita.

Ulica jest szeroka i prosta, jak wogóle ulice we wszystkich miastach w całej Finlandyi, po obu stronach zabudowana wielkimi kamienicami, jak wszystkie inne w całym Helsingforsie, ale co ją wyróżnia od innych i w Helsingforsie i w Finlandyi, to prawdziwie wspaniałe zadrzewienie, które ją przez całą jej długość zamienia w wielki i rozkoszny skwer.

Tu nie wązkimi liniami ciągną się przy chodnikach małe suchotnicze drzewa zaledwie zdolne oddychać jak gdzieindziej, ale niby w pełnym naturalnej wilgoci lesie, szerokie miejsca zagarniają pod siebie, i grubemi pniami rozpościerając się na ziemi, zielonemi koronami łączą z sobą w górze. I w środku tej szerokiej ulicy, tuż przy tych kamiennych kilkopiętrowych olbrzymach, pod tą siecią drutów telegrafów i telefonów, przy tym ruchu tramwajów i doróżek, tworzą ogród gęsty i cienisty, ukazując, zanim się jeszcze przyjezdny w prawdziwym ogrodzie Helsin forsu znajdzie, bajeczne bo-

gactwo flory północnej, uderzającej zielonością, soczystością liści i konarów, i życiem.

To też dzięki właściwościom tej flory, „Esplanadgatan“ wspaniale wygląda, a gdy i pod Lipami w Berlinie i na Ringach wiedeńskich i Bulwarach paryskich, drzewa latem, pokryte grubą skorupą kurzu, smutnie tylko urozmaicają ich jednostajność, tu podnoszą one potężnie wygodę i krasę ulicy, dając piersiom chłodzących się pod ich cieniem, wypoczynek, a oczom ich obraz pełen jasno szmaragdowych barw i blasków.

Dobrze zrobili Finlandczycy, że w samym środku tej pięknej „Esplanadgatan“, a nie na jakim oddalonym placu, wzniesli pomnik swemu narodowemu poecie Runebergowi, tu bowiem koncentruje się przez dzień cały przemysłowo-handlowy ruch miasta, a wieczorem i późno w noc, tu nie gdzieindziej zbiera się świat mody i nauki całego Helsingforsu. A gdy i wszyscy przyjezdni z Europy, na tej ożywionej ulicy z konieczności najdłużej się zatrzymują, w pogodne przeto oblicze wieszczą swoi i obcy wpatrywać się mogą do woli, a wpatrując się w nie, rozpamiętywać jego stanowisko w literaturze tego kraju.

Kto był Runeberg, i czem zapisał swoje imię w księdze nieśmiertelności — powiemy o tem, gdy się znajdziemy w Borgo pod Helsingforsem.

Tam, gdzie on mieszkał, gdzie pracował, kochał i cierpiał, i gdzie wreszcie martwe jego zwłoki przygarneła matka-ziemia, tam miejsce odpowiedniejsze po temu, gdyż tam duch jego unosił się ku górze, a resztki jego przypominają go ciągle światu. Tu więc ograniczamy się tylko na zaznaczeniu, że pomnik, jaki ma on na tej „Esplanadgatan“, jest niemalą ulicy tej ozdobą.

Jak wszystkich wielkich ludzi Finlandyi pomniki, jak Snellmana w Kuopio, Per Brahe i Portana w Abo, i ten pomnik jest niewielki i skromny.

Na granitowym bloku, w opiętym tużurku, stoi poeta, a niżej Finlandya w postaci zasmuczonej kobiety, podtrzymuje tablicę zapełnioną wierszami z dzieł jego. Poeta ma na twarzy myśl i powagę, a kobieta wyraz boleści i żałoby po niepowetowanej stracie, wszystko zaś nacechowane jest dziwną prostotą, ujmującą tem właśnie, że z efektownością, jaką odznaczają się pomniki wielkich i niewielkich ludzi gdzieindziej, rozbrat wzięła.

Na rozległym placu, z wielką przestrzenią przed sobą i poza sobą, ten pomnik nie robiłby wrażenia, byłby za drobny, rozpływałby się w otoczeniu, tu wśród tych drzew, jest pod każdym względem na swoim miejscu, zlewa się z niemi, jedną z niemi sympatyczną całość stanowi.

Pomnik jest dziełem syna poety. Mistrz słowa, dał życie mistrzowi dłuta, i syn ojcu pracą rąk własnych wywdzieczył się tu jak umiał, stworzył bowiem rzecz poprawną i piękną. A jeśli „Per Brahe“ przewyższa ją o wiele, jeśli postać wieszca nie dorównywa alegorycznym postaciom, jakie ten sam rzeźbiarz stworzył nieco później, to wina tego leży nie w nim, ale po za nim, nagość bowiem ciała i bujność dawnego kostyumu, więcej odpowiadały jego i nie jego tylko talentowi, niż kuse i nieestetyczne ubranie dzisiejsze. Ale w warunkach w jakich pracował, zrobił tyle ile mógł.

„Esplanadgatan“ zabudowana jest dużemi domami. Są to wszystko gmachy trzy i czteropiętrowe, jakie gdzieindziej zrzadka tylko spotykają się w tej, co Helsingfors wielkości miastach. Architekturą swoją domy te wprawdzie nie wyróżniają się od siebie, wyglądają jak wszystkie wielkemiejskie prywatne rezydencye, ale że datują od niedawna, przeto uderzają pewną nie spotykaną gdzieindziej świeżością. Z pomiędzy wszystkich, wspaniałością zewnętrzną wyróżnia się tu hotel „Kamp“, a wewnętrzne jego urządzenie, ze światłem elektrycznem, korespondencyą telefonową i czystością holenderską, mogłoby dać wiele do myślenia właścicielom pierwszorzędných hoteli Warszawy, miasta

dziesięćkroć przecież od Helsingforsu ludniejszego.

Już to wogóle w żadnym kraju nie spotkałiśmy tak szeroko rozpowszechnionych jak w Finlandyi telefonów. Ten hotel „Kamp“ nasuwa nam tę uwagę, ale zrobiliśmy ją już sobie, zanim zapisaliśmy nasze nazwisko na liście jego lokatorów.

Podczas gdy u nas, a nawet i za granicą, telefony są stosunkowo niewiele rozpowszechnione, jako drogie, podczas gdy dostęp prywatnym do nich z tej przyczyny jest wogóle dość utrudniony, w całej Finlandyi nie ma miasta i osady, gdzieby nie znajdowała się ich wielka ilość. O Helsingforsie niema co mówić, masz je we wszystkich hotelach i gmachach rządowych, w bardzo wielu prywatnych mieszkaniach, ale widziałem je i posługiwałem się niemi w Wyborgu, Willmanstrandzie i Kuopio, miastach prowincjonalnych w całym znaczeniu tego słowa, i od niedawna dopiero połączonych szynami z Europą.

Nigdy nie zapomnę niespodzianki, jakiej pod tym względem doznałem w Tamerforsie.

Pragnąc przyjrzeć się temu miastu z góry, udałem się na szczyt Pyynikkä, zadrzewionego wzgórza, zajmującego część przesmyka ziemnego wciśniętego między dwa jeziora, wodom którego Tamerfors zawdzięcza swój wzrost.

Dzień był gorący, na przebycie drogi na górę z mego hotelu „Societetshus“ (niema miasta w całej Finlandyi, któreby pod tą nazwą hotelu nie posiadało) zużyłem stosunkowo dość dużo czasu, dla pośpiechu więc pragnąłem powrócić dorożką, ile że zapewniano mnie, że na Pyynikkä dorożek nigdy nie brakuje.

Tymczasem stało się inaczej, i kiedym na punkt ich zborny przed miejscowym zajazdem się udał, zobaczyłem, że niema na nim ani jednej. Już zabierałem się, chcąc nie chcąc do powrotnej do miasta, pieszo, podróży, gdy właściciel zajazdu wywiedziawszy się, o co mi chodzi, oświadczył, że dorożkę wkrótce mieć będę. Jakoż postąpił ku telefonicznemu aparatowi, ukrytemu pod zasłoną w kącie pokoju, dał sygnał dzwonkiem do któregoś hotelu w Tamerforsie, i nie upłynęła godzina, powracałem do miasta furmanką po drucie zamówioną.

Ażeby się ta osobliwość nie wydawała rzeczą zwyczajną, zaznaczę, że Tamerfors jest miastem liczącem zaledwie 18 tysięcy mieszkańców, a zajazd na Pyynikkä na nadmiar gości użalać się nie może.

Jeżeli „Esplanadgatan“ odznacza się wielkomięską elegancją i zalicza do jednej z piękniejszych ulic w Europie, to stylowo najwspanialsze budowle, nie na niej przecież się znajdują. Wejdźmy na długą ulicę „Unionsgatan,”

pod kątem prostym przecinającą ją w dwóch kierunkach, a znajdziemy się w części miasta, wypełnionej gmachami publicznymi, z którymi naturalnie prywatne mieszkania równać się w żaden sposób nie są w stanie.

Gmachy te są: Uniwersytet, pałac Senatu, Biblioteka, Bank Finlandyi, Archiwum Państwa, wreszcie pałace narad przedstawicieli trzech stanów: duchownego, szlacheckiego i włościańskiego.

Wymówiliśmy nazwisko Engla, gdy podpływając ku Helsingforsowi, uderzyła nasz wzrok majestatyczna „Nikolai Kyrkan“, dominująca nad całym miastem i pierwsza rzucająca się każdemu w oczy, kto wstępuje w jej progi od strony morza. Nazwisko to nie zanika w naszej myśli, kiedy z dzielnicy prywatnych domów mieszkalnych przedostajemy się w dzielnicę pałaców publicznych.

Jak wiadomo, do roku 1819, głównem miastem Finlandyi było Abo. Było to właściwem wtenczas, gdy kraj ten należał do Szwecyi, z Abo bowiem do Sztokholmu jest tylko kilkanaście godzin drogi morskiej. Ale z chwilą gdy w losach Finlandyi zaszła zmiana, gdy w początkach bieżącego wieku połączoną została z Rosyą, należało punkt jej ciężenia przenieść ku nowej jej metropolii, z zachodu nieco dalej posunąć go na wschód. Mając to właśnie na

względnie, zwrócono uwagę na Helsingfors, położony nad głęboką zatoką, broniony ze wszystkich stron naturalnemi szanćami ze skał, i postanowiono zrobić z niego nowy centralizacyjny punkt kraju.

Ale łatwiej postanowić, niż wykonać.

Kiedy myśl taka powstała w głowach mężów stanu kierujących losami Finlandyi, Helsingfors był małą mięścina; gdzie dziś w nim stoją olbrzymie kamienice, wznosiły się skromne drewniane dworki, gdzie teraz ciągną się zabrukowane place, rozpościerały się szmaragdowe trawniki i rosły niebotyczne drzewa.

Byłóż w mięscinie takiej miejsce na pomieszczenie władz centralnych, najwyższych zakładów naukowych, wreszcie instytucyi konstytucyjnych, przyznanych Finlandyi przez Cesarza Aleksandra I, mogłaż być ona centralizacyjnym punktem dla rozległej północy, a jednocześnie dostojnie reprezentować kraj, powołany do nowego autonomicznego życia?

To też przyjąwszy z wdzięcznością tę łaskę, Helsingfors postanowił stać się jej godnym. Nie było w nim wtedy kamiennych gmachów, wzięto się z zatem z gorączkowym pośpiechem do ich wznoszenia, nie było miejsca na ulokowanie stołecznych władz, stworzono je, jak gdyby za dotknięciem różeczki czarnoksiężkiej. Wykarczowano zagajniki i lasy, wyciągnięto prostemi

liniami piękne ulice, powznoszono kościoły, biblioteki i hotele, i w krótkim stosunkowo czasie, tam, gdzie według wyrażenia pewnego Francuza, w początkach jeszcze tego wieku krok tylko jeden przedzielał cywilizację od barbarzyństwa, zbudowano miniaturowy Paryż lub Wiedeń, pełen piękna i uroku, jaki w Paryżu lub Wiedniu napotykamy. Coś podobnego, nie stało się do prawdy nigdzie, chyba w rzeczywistym Paryżu, gdy go Napoleon umyślił przeinaczyć do niepoznania. Ale jeśli się porówna z sobą materialne zasoby Francyi i Finlandyi, przyznać się musi, że stworzenie monumentalnego Helsingforsu, niema zaiste przykładu w dziejach.

Kto swój talent i swoją pracę oddał w tym celu na usługi miastu, komu zawdzięcza przeważnie ono dzisiejszą swoją wspaniałość? Właśnie Englowi, twórcy tego „Nikolai Kyrkan“, ojcu duchowemu całego szeregu tych pałaców, jakie niby dzieci do macierzy, przytuliły się pod jej, szeroko, miłośnie rozpostarte skrzydła.

Ten Karol Ludwik Engel, nie był nawet z krwi i kości Finlandczykiem, urodził się bowiem w Berlinie w roku 1778. Jak wielu Niemców, nie mogących w ojczyźnie własnej zdobyć niezależności i chleba, w młodym wieku przeniósł się do Petersburga, i z tego miasta powołano go do Helsingforsu.

Wielkość Engla, jego pomysłowość, jego ta-

lent architektoniczny, że nie użyjemy tu wyrazu geniusz, dostrzega się oczywiście, kiedy się znajdzie na placu Senatu.

Ma się bowiem wtedy przed sobą trzy pomniki jego pomysłów, i te pomniki mówią nam wyraźnie kim on był, i do osiągnięcia czego w sztuce architektonicznej dążył.

Kim był? Był przede wszystkim człowiekiem wielkiej nauki, i wielkiego poczucia piękna. Daleki od tych dzisiejszych pseudomistrzów kielni i dłuta, tworzących dzieła rażące sprzecznościami, i dla jako tako wykształconego estetycznie widza, będących prawdziwymi znakami zapytania, we wszystkich tworcach swoich dążył on do jednego: harmonii linii, ożenionej z powagą klasyczną. Wykształcony na wzorach greckich, był to Grek XIX wieku, wszystko zatem co do życia powołał, piętno antyczne na sobie nosi. Nie uganiał się on bynajmniej za efektem, nie łamał nigdy chorobliwie linii, widział piękno w prostocie, i prostotą tą zniewalał ku sobie serca wszystkich. Jego pałac Senatu, jego gmach Uniwersytetu, jego Biblioteka wreszcie, to wielkie świątynie nauki i myśli starej Hellady, z których biją harmonia i spokój, przy niezakłóconej najmniejszym dysonansem powadze. A jeżeli „Nicolai Kyrkan“ w wyższych swych częściach zarywa nieco z Bizancyum, jeśli w swym całości kształcie niedostatecznie wymotywowanym jest

jak gdyby odstępstwem od tych zasad, jakie przodowały Englowi na drodze sztuki, to niższa jej część, ta która najbardziej uderza w oczy gdy się stoi na tym placu, zlewa się w całość harmonijną z gmachami Senatu i Uniwersytetu, i całym lasem swoich greckich kolumn, przenosi nas w ten wspaniały świat, w artystycznej spuściźnie którego, Engel czerpał swoje natchnienie.

Mimo jednak, że ta „Nicolai Kyrkan“ jest mieszaniną dwóch stylów, piękną jest przecież i wrażenie potężne sprawia, i kto się znajdzie wieczorem na tym placu, gdy księżyc opromieni go swym smętnym blaskiem, musi przyznać, że ma przed sobą obraz czegoś zaiste niezwykłego. Zasługa tego należy się Englowi, ale i nie Englowi tylko, gdyby bowiem w tem właśnie miejscu nie wznosiła się ku górze wysoka skała, na grzbiecie której architekt wznosił świątynię, efekt tej, jaka tam teraz stoi, nie byłby nigdy tak wstrząsającym i potężnym. Ale Engel z właściwym mu poczuciem piękna, dla efektu zużytkował dar przyrody, nie popsuł, ale owszem podniósł jej urok, martwe jej kształty opromieniając myślą. I ubrał ten rozległy plac Senatu niezwykle i wspaniale, dał mu z dwóch stron ramy rozległe wzorowane na pogańskim świecie, a spotkawszy się w trzeciej z opoką, ożywił ją ciepłem i życiem, jakie religia miłości i prze-

baczenia w serca z lodu i sumienia ze skały wlewa.

Dzielnica pałaców, zapoczątkowana przez Engla, po jego śmierci uzupełniła się rok po roku. Pracując lat długich szereg w Helsingforsie, mistrz niemiecki stworzył szkołę, kiedy więc zasnął, znalazł się cały legion miejscowych architektów, zdolnych już bez pomocy obcej dzieło jego poprowadzić dalej. Jakoż poprowadzili, i te wspaniałe gmachy: „Riddarhuset“, „Banku Finlandyi“, „Archiwów Państwa“, „Pałacu przedstawicieli stanów“, „Instytutu Politechnicznego“, „Szwedzkiej szkoły dziewcząt“, wreszcie „Nya luterska Kyrkan“, — świadczą wymownie o tem, że dzieło, które on posiał, przyjęło się i zeszło bujnym plonem. Wszystkie te gmachy zalecają to, co zaleca dzieła ich duchowego ojca Engla, we wszystkich ich czuć dobrą szkołę, zapatrzenie się w antyczne wzory, a „Nya luterska Kyrkan“ jest gotykiem tak pięknym i czystym, że rzadko tylko na dalekiej północy z podobnym jej spotkać się można.

Zatem Helsingfors jest wspaniałem w całym znaczeniu tego wyrazu miastem. Wspaniałem od strony morza i lądu, na Salutorget, na Esplanadgaten, na placu Uniwersytetu i Senatu i dookoła tego placu. Jego domy prywatne uderzają elegancją i świeżością, a jego publiczne gmachy,

bez wyjątku, są bez zarzutu z architektonicznego punktu widzenia.

Kto oglądał inne miasta na północy, pełne budowli o kolorach jaskrawych i niespokojnych, ten nie uwierzy, że w Helsingforsie, kolorów takich, jakich gdzieindziej niby twardy klimat wymaga, wcale nie ma, a te, co są, niczem nie rażąc, mile wpadają w oko. Tak jest: mile, i dlatego ulice Helsingforsu żywo ulice Europy przypominają — jego gmachy budowle cywilizowanego świata przed oczyma stawiają duszy, a ten porządek, ten komfort i to bezpieczeństwo, jakimi cię to miasto darzy, na każdym kroku przekonywają o tem, że masz do czynienia ze światem wysokiej kultury, pełnym ładu i najlepszego smaku.

I jednego tylko już w tym świecie brak: zepsucia, jakie cię na ulicach innych miast Europy w oczy bije, prostytutcyi rozpościerającej dokoła siebie atmosferę, pełną szkodliwych dla publicznego zdrowia miazmatów, dziewcząt o szklanych oczach, białych policzkach i krzyczących szatach, jak złowróżbne komety snujących się legionem w nocy po bruku...

Ale, jeśli to, jak cień za słońcem za cywilizacją kroczyć musi, bodaj Helsingfors i nie Helsingfors tylko, pod tym względem od cywilizacji jak najdłużej trzymał się zdala...

Nietylko jednak wspaniałemi gmachami, pro-

stemi i szerokimi ulicami, czystością i porządkiem zaleca się każdemu Helsingfors, obfitość znajdujących się w nim ogrodów i parków, czyni z niego jedno z najbardziej zdrowotnych miast.

Pomijam gęsto zadrzewione ulice, masę rozpostartej na nich zieleni, przemieniającej je w zagajniki i skwery, wreszcie obszerne pozadrzewiane trawniki, przytulone do mnóstwa prywatnych domów, — wielkie parki Kaisaniemi, Tölöparken i Brunnsparcken, mogłyby być prawdziwą ozdobą najwspanialszego miasta Europy.

Zwłaszcza też Kajsaniemi i Brunnsparcken, jako położone tuż nad morzem, poprzerzynane alejami wodnemi, ponakrapiane romantycznemi jeziorami. Zajmują one rozległe przestrzenie, większe daleko od Ogrodu Saskiego w Warszawie, ale dzięki obfitości wilgoci w ziemi i powietrzu, i warunkom geograficznym, są przez całe lato oazami, źle mówię, oceanami tak żywej, tak wspaniałej zieloności, jakiej obrazu nasz Ogród Saski prawie nigdy nam nie przedstawia. I jeden i drugi park, wieczorami gromadzi wszystkich, pragnących rozrywek po całodziennym trudzie, jeden i drugi mieści bowiem w sobie estrady koncertowe i ludowe teatry, ale gdy Kajsaniemi jest tylko letnim salonem Helsingforsu, Brunnsparcken jest jednocześnie jak gdyby wielkiem jego letnim mieszkaniem, pod cieniem bowiem rozłożystych drzew swoich,

mieści ville i domy chroniące wszystkich żądnych wypoczynku i świeżego powietrza. To też gwarno tu latem jak w mieście, to też dzień cały roi tu się jak w mrowisku, a gdy wieczór nastąpi, i po cienistych jego alejach rozsypie się wesoła gromada dzieci, to i przed oczami patrzącego robi się jaśniej i pogodniej, i serce żywiej w piersi się kołacze, na widok małego światka od naszego świata tem odmiennego, że dzielając rzadkie jego uśmiechy i radości, nie zaznał jeszcze na szczęście codziennych niemal jego goryczy, łez i rozczarowań.

A okolica? Jeśli nam chodzi o lądową, to po za parkami i ogrodami, niezem szczególnem się ona nie odznacza. Czy koleją, czy dorożką posuniesz się na północ miasta (wschód jego, południe i zachód zamknięte są morzem), znajdziesz się oko w oko z krajobrazem, jaki w Finlandyi spotyka cię na każdym kroku. Woda tu i owdzie, skały bardzo gęsto, a las dokoła. Masz tu co prawda więcej pól nieco zasianych jęczmieniem i żytem, niż w Sawolaksie lub wschodniej Karelii, ale charakter krajobrazu ten sam. I tylko większa obfitość dworków świadczy ci o tem, że więcej tu ludzi żyje i czuje, i tylko tu i owdzie strzelające ku obłokom fabryczne kominy przekonywają, że pracują tu oni na kęs czarnego chleba nieco odmiennie, niż w głębi kraju.

Ale okolica morska? O ta jest i rozmaitsza i więcej niż lądowa malownicza.

Już podpływając ku Helsingforsowi, widzi to się wyraźnie, widzi się lepiej, gdy się wsiądzie na mały statek na Salutorget i puści na otwarte morze. Jest się wtedy w labiryncie wysp, skalistych w części i bezludnych; leżą one płasko na wodzie, niby cielska fok olbrzymich lub rozdzierając spienione fale, sterczą wysoko ponad niemi. Pojedynczo, dają obraz niezwykle groźny, razem wzięte, są jak gdyby naturalną baryerą, tamującą dostęp do Helsingforsu wrogim statkom, ale i oddzielnie i w połączeniu, urozmaicają morski krajobraz, upodabniając morze do wielkiego ożywionego jeziora.

Ta mnogość skał, wystających z pod wody dokoła stolicy Finlandyi, uczyniła z niej jedną z najsilniejszych twierdz w Europie. Natura podszepnęła tu ludziom myśl, i myśl ta przyoblekła się w ciało. Grupę wysp, ogólnem mianem Sveaborga ochrzczoneą, w celach obronnych, jeszcze za czasów szwedzkich połączono sztucznie z sobą, i ustawwszy na nich paszcze dział, stworzono tu drugi Gibraltar. Dziś sześciotysięczny garnizon wojska strzeże tych skał, a 900 armat stanowią niby puklerz żelazny dla tego garnizonu. Kiedy się więc płynie temi wodami i patrzy na te działa, ze spokojem myśli się o przyszłości Helsingforsu, ale gdy się wspomni, że to miasto

istniejąc już od lat 350, dopiero od półtora wieku ze swoim pięknem i bogatym wybrzeżem zabezpieczone jest od najazdu, a co za tem idzie i zniszczenia, to się musi przyznać słuszność temu podróżnikowi, że tu w tem miejscu *geografia była zepsuta przez historycę*, ludzie bowiem długie bardzo lata nie korzystali z tego, co im darmo natura udzieliła.

Czy w tem jednym tylko miejscu na świecie?

Podróżny, który przybywszy do Helsingforsu, po dokładnem jego obejrzeniu chce się zapoznać z podmiejską okolicą, nie może, nie powinien ograniczyć się na zobaczeniu grupy wysp skalistych, otaczających niewielki półwysep, na którym się on rozsiadł. Winien jechać statkiem do Borgo, starej historycznej osady, odległej od tego miasta o kilka godzin drogi morskiej. Tym sposobem osiągnie on dwie korzyści: przyjrzy się bliżej granitowemu archipelagowi, rozpostartemu wzdłuż północnych wybrzeży zatoki fińskiej, a zarazem pamiątkowemu, o całe dwa stulecia od Helsingforsu starszemu grodowi, kołobce konstytucyi Finlandyi, nadanej jej przez Cesarza Aleksandra I, i mogile największego poety, jakiego kraj ten wydał. Nikt nie zaprzeczy, że magnes to zbyt silny, dla każdego, kto raz tu się znalazł, i że żadnemu podróżnikowi z powołania przez głowę nawet nie przejdzie opierać się przyciągającej jego sile. I słusznie,

być w Helsingforsie bowiem, a nie być w Borgo, to mniej więcej to samo, co znalazłszy się w Finlandyi nie zobaczyć jego głównego miasta.

Zazwyczaj statek odbywający drogę do Borgo, wypływa z Salutorget przed południem. Pozostawiwszy Sveaborg na stronie, nie puszcza się na otwarte morze, ale wjeżdża w labirynt wąskich wodnych ulic między wyspami tamującemi mu na każdym kroku drogę, a rozrzuconemi nieopodal brzegów potarganych, i raz wrzynających się głęboko w wodę, to znowu usuwających się przed nią, by niby chłodnym jej falom dozwolić ugasić żar wulkanicznego swojego łona. Wysp tych jest tu niezliczona ilość, brzegi Finlandyi bowiem na całej swojej przestrzeni nigdzie oku obrazu prostej długiej linii nie dają, pojąć więc łatwo, mając na uwadze, że i te brzegi i te na morzu wyspy są skalistej formacyi, jaką tu estetyczną ucztę ma każdy, komu doszukiwanie się piękna w naturze osładza troski, jakiemi przeznaczenie ciernistą drogę życia mu usłało. To też nic dziwnego, że pełną krasytą drogą wodną, latem snuje się tylu przybyszów z daleka i bliska, ilu szczęśliwe okoliczności pozwalają, obrazami wspaniałości i spokoju przyrody, łagodzić wstrząśnienia i burze targanej zmartwieniami lub namiętnością duszy...

Borgo nie leży nad brzegiem morza. W miejscu, gdzie je osadnicy szwedzcy 500 lat temu

założyli, malownicza rzeczka tego samego, co i to miasto nazwiska, nie zbyt szerokiem korytem wpływa do zatoki, i na jej właśnie wybrzeżu rozsiadło się ono półkolem. Niewielkie, zabudowane przeważnie drewnianemi domami, gdyby nie dwa szczęśliwe wypadki, mimo swoją staroświecką katedrę, drzemałoby w zapomnieniu. Ale los zdarzył, że po zawojowaniu Finlandyi, Cesarz Aleksander I do Borgo zwołał przedstawicieli kraju, że tu, przeniósł się na mieszkanie z Helsingforsu w kilkadziesiąt lat po tem, Runeberg, tu pracował i tu życie zakończył. Otóż te dwa zdarzenia upamiętniły to miasto w historyi, a upamiętniwszy je, uczyniły eżemś w rodzaju Mekki dla każdego Finlandczyka. Jak w życiu pojedynczych jednostek, tak grup ludzkich i całych nawet narodów, wypadki najzupełniej losowe, przesądzają nieraz o ich przyszłości.

Opowiadać kolei upartej walki o Finlandyę tu nie będziemy. Niechaj o krwi mówi każdy, kogo krew gdziekolwiek i o cokolwiek przelana do żywego nie wstrząsa. Powiedzmy raczej, kiedy już jesteśmy w tem Borgo, słów kilka o błogosławionym przez ten kraj epilogu ciężkich zapasów, który opromieniając je aureolą ciepła i światła, nie klęsk, ale spokoju i szczęścia, źródło każdemu Finlandczykowi widzieć w nich każe.

W dniu 1 lutego 1809 roku, Cesarz Aleksander I, zajmwszy już całą Finlandyę, wydał Manifest, zwołujący na dzień 22 marca ogólny sejm całego kraju do Borgo. Jakoż w oznaczonym czasie sejm się zebrał, został zagajony przez Monarchę, i w pamiętnym dniu 27 marca 1809 roku, podanym został do wiadomości publicznej Akt, który po dziś jest źródłem prawnopolitycznego stanowiska Einlandyi w Cesarstwie.

Akt ten cytujemy w dosłownym przekładzie:

„My, Aleksander I, Cesarz i Samowładca Wszech Rosyi i t. d.

Za wolą Bożą objąwszy w posiadanie nasze Wielkie Księstwo Finlandzkie, uznaliśmy ponownie za pożyteczne zagwarantować wolność religii, prawa i przywileje, z jakich zarówno każdy Stan tego Księstwa, jak i wszyscy jego mieszkańcy od najmniejszego do największego na zasadzie konstytucyi dotąd korzystali, obiecując strzedz takowych w nienaruszonej sile, na dowód czego Akt ten własnoręcznym podpisem opatrujemy“.

W dniu 28 marca otwartym został pierwszy sejm Finlandzki.

Ceremoniał zapożyczono ze Szwecyi.

Zasiadłszy na tronie ozdobionym herbem Finlandyi, Cesarz Aleksander I przemówił po francusku do przedstawicieli Stanów, poczem

zabrali głos Landmarszałkowie i Talmanowie, wreszcie kanclerz sprawiedliwości odczytał projekty nowych praw.

Wszystko odbyło się z uroczystością wielką. Nazajutrz stary Borgoski sobór był świadkiem odbierania przysięgi.

Każdy Stan przysięgał oddzielnie, poczem Cesarz przemówił do narodu temi słowy:

„Z żywym uczuciem przyjmuję przysięgę na wierność, jaką mi złożył każdy Stan Finlandyi w osobach swoich przedstawicieli. Węzły, jakie mnie z niemi łączą, wzmocnione dobrowolnem wyrażeniem ich przywiązania i uświęcone tym aktem uroczystym, są tem droższymi dla mojego serca, im bardziej odpowiadają moim pragnieniom.

Przyobiecując im szanować ich wiarę i organiczne prawa, tem samem już chciałem dać poznać, jaką przywiązuję wagę do ich uczuć miłości i zaufania. Proszę Wszechmocnego Boga, aby mi dał siłę i mądrość do rządzenia tym godnym poważania narodem, według jego praw i sprawiedliwości“.

Następnie przed tron podszedł Herold, i ogłosił Cesarza Aleksandra, Wielkim Księciem Finlandyi.

Nazajutrz Cesarz wyjechał z Borgo, ale przybył znów do tego miasta w dniu 18 lipca i osobiście zamknął sejm powołany przez niego do życia.

Otóż ten pierwszorzędnej wagi wypadek sprawia, że Borgo po dziś w rządzie miast całej Finlandyi, zajmuje wybitne miejsce, że gdy o wielu większych od niego grodach świat nie wie, albo też bardzo niewiele, jemu w dziejach ludzkości poświęca kartę i to niepoślednią od kart innych. Wielkie nazwisko Runeberga jest przyczyną, że i w księdze historii literatury, zapisanem jest to miasto niestartemimi głoskami.

Jan Ludwik Runeberg, najznakomitszy wieszcz finlandzki, urodził się w Jacobstadt 5 lutego 1804 roku.

Pochodził on z ubogiej szwedzkiej rodziny.

Jego ojciec Lorenc Ulryk, był kapitanem statku handlowego, że jednak miał sześcioro dzieci, przeto najstarszy, którym był właśnie Jan Ludwik, wczesnie iść musiał w szeroki świat.

Szkoły przeszedł, dając lekcyje zamożniejszym kolegom, ale uczyć się musiał dobrze, gdyż już w ośmnastym roku życia spotykamy go w Uniwersytecie w Abo, który po pięciu latach kończy ze stopniem kandydata filozofii.

Wkrótce po tem, przenosi się za chlebem w głąb kraju, na wybrzeża jeziora Päijene i tu obcując na łonie natury, mając przed oczami wspaniałość i majestat dzikiej przyrody, dojrzewa i urabia się duchowo.

W roku 1830 przybywa do Helsingforsu, obejmuje docenturę literatury rzymskiej, żeni się z Fryderyką Tengström, kobietą wielkiego umysłu i serca, i zakłada dziennik polityczny pod tytułem: „Helsingfors Morgenblad“. W Helsingforsie mieszka lat 7, i w roku 1837 przenosi się na posadę profesora liceum do Borgo, gdzie po 40 letnim pobycie, w roku 1877 życie kończy.

Trzy więc epoki zaznaczyć trzeba w życiu Runeberga: epokę pobytu w głębi kraju, gdzie talent jego zakiełkował, w Helsingforsie, gdzie się rozwijał, i wreszcie epokę zamieszkiwania w Borgo, gdzie dojrzał i do najwyższej doszedł potęgę. W pierwszej, powstały „Pieśni liryczne“, „Idylle“, „Epigramy“, wreszcie przekłady z serbskiego, w drugiej „Myśliwi na łosie“, część 2-a „Pieśni lirycznych“ i „Hanna“, w trzeciej zaś „Nadzieźda“, „Król-Fialar“, „Opowiadania Stala“, „Królowie Salaminy“ i „Księga hymnów“. — Te ostatnie dzieła, stworzone zdala od wielkomiejskiego ruchu, w ustronnem mieście, pełnem historycznych wspomnień, otworzyły przed Runebergiem wrota świątyni nieśmiertelności.

A teraz w ślad za datami i tytułami stworzonych przez niego dzieł, słów kilka o stanowisku jego w literaturze Finlandyi.

Jak to już zaznaczyliśmy wyżej, Runeberg urodzony po prawej stronie zatoki Botnickiej,

wywodził się z rodziny szwedzkiej. Niedosć, że rodzina ta pochodziła ze Szwecyi, jak wiele innych nad brzegami morskimi osiadłych, uważała język ten za domowy, za język swoich myśli i uczuć, swoich wieczornych rozmów ze Stwórcą. Szwedzka z mowy, tłumaczyła się ona po szwedzku, i młody zatem Runeberg uważał tę mowę za swoją ojczystą.

Ale urodzony w Finlandyi, czuł się on nie Szwedem, lecz Finlandczykiem: jak Portan, jak Snellman, miłością swoją ogarniał wschodnie wybrzeża zatoki Botnickiej, i bez względu na to, że znakomita większość jego współziomków języka jego nie uważała za swój własny, odczuwał prądy, przebiegające ich wszystkich, i dał im wyraz w tem, co wysnuł z płomiennego wnętrza swego.

Już w zaraniu jego twórczości, w pierwszej młodocianej epoce jego życia, w gąszczach leśnych, nad brzegami jezior niezliczonych spędzonej, to, co stworzył, nosi znamię nie szwedzkie, ale fińskie nawskroś. Charakter Finna jest dziwną mieszaniną melancholii i humoru, ironii i tkliwości, otóż to wszystko, co już wtedy z pod pióra Runeberga wyszło, jest jak gdyby odbiciem tego charakteru.

Nie znając języka szwedzkiego, korzystamy z tego, że płody młodzieńczej muzy Runeberga przełożone zostały na język angielski (*Runeberg's*

Lyrical Songs, Idylls and Epigrams. Londyn 1878) i słowa nasze zamierzamy poprzeć dowodami. Czytelnik polski, któremu ten poeta jest niemal zupełnie obcym, gniewać się za to na nas nie powinien.

Jak wszystkich niemal poetów na całym świecie, i Runeberga także miłość do kobiety budzi do życia i na drogi poezji wprowadza. Widać to w pierwszym tym zbiorze jego wierszy. Po skończeniu Uniwersytetu w Abo, spędził on rok czasu w domu biskupa Tengstrema i tu nawiązał się miłosny stosunek do jego siostrzenicy, który później zakończył się małżeństwem. Otóż stosunek ten przesądził o przyszłości Runeberga. Kochając i wzajemnie kochany, pierwsze swe rymy składał pod wpływem tkliwego uczucia do uroczonego dziewczęcia, które jak w jednym z pierwszych swoich wierszy się wyraża, było dla niego stokrotnie droższem, nad wszystkie skarby na świecie.

„Nie skuszają mnie, Afryko, wszystkie bogactwa twoje
„Ani perły na dnie oceanu
„Pożadam bowiem jeno serca mej Frygii,
„Odbitego w zroszonym łzą jej oku.

Ale miłość nie pochłania go w zupełności, nawet w tym życia jego peryodzie, w którym miłość w mężczyzny życiu odgrywa przeważną rolę, zajmują go świat i ludzie, wielkość Boga

i piękno natury. Z wezbranem uczuciem sercem, zrazu objawia skłonność do melancholii, pisze o śmierci, o sercowych ranach, zdradzonych przez kochanków dziewcząt, o beznadziejnej pracy niepewnego jutra wieśniaka. Jak miłość jednak, tak i melancholia ustępują z pod jego pióra prędko, a miejsce ich zastępują: szczery humor i łagodna ironia.

Oto dowody:

Wiersz nosi tytuł: „*Udawanie*“, a w dosłownym przekładzie z angielskiego tłumaczenia brzmi tak:

„Każdy zna i przyjemność i smutek,
„Choć nie każdy rad drugim mówi o tem,
„Każde dziewczę tkliwe serce posiada,
„Chociaż każde udaje, że go nie ma.
„Rozkosze przez bogów ludziom dane,
„Niespodzianki im nieraz sprawiają.
„Pocałunki lubi każda dziewczyna,
„Choć udaje, że ma do nich odrazę“.

A teraz inny:

Tytuł: „*Śmiech*“.

„Śmiech nie miał gdzie schronić głowy,
„Więc błąkał się po świecie,
„Zapukał raz do ust bogatego,
„Pytając, czy w nich zamieszkać może?
„Duma tu mieszka: brzmiała odpowiedź.

„Śmiech nie miał gdzie schronić głowy,
„Więc błakał się po świecie,
„Zapukał raz do ust uczonego,
„Pytając, czy w nich zamieszkać może?
„Powaga jest tu: brzmiała odpowiedź.

„Śmiech nie miał gdzie schronić głowy
„Więc błakał się po świecie,
„Zapukał raz do ust dziewczyny,
„Pytając, czy w nich zamieszkać może?
„Miłość tu mieszka brzmiała odpowiedź
„Przed chwilą nadszedł tu pocałunek.
„Tylko śmiechu mi dotąd brakowało“.

Lekkie takie wiersze, Runeberg przeplata
i głębszemi.

Naprzykład:

„Nad potokiem siedziała dziewczyna
„I w chwili, gdy zanurzyła w wodzie nogi,
„Usłyszała śpiew ptaszka nad sobą,
„Nie mać dziewczę mi potoku jasnego,
„Niebo bowiem przejrzeć się w nim nie może.
„Dziewczę oczy uniosło do góry
„I ze łzami w głosie powiedziało:
„Nie lękaj się o ten potok ptaszyno,
„Wkrótce bowiem będzie on czystym znowu.
„Ale czemuż kiedyś schadzki był świadkiem,
„Z chłopcem, mojej, nie powiedział do niego,
„Nie mać duszy o chłopcze dziewczynie,
„Gdyż już nigdy nie zobaczysz jej czystą.
„Bowiem niebo nie przejrzy się w niej nigdy“.

Ale zaraz darzy nas takim figlem:

„Gdy spoglądam na legion dziewczęcy
„I wzrok cieszę obrazem piękności,
„Najładniejszą chciałbym wybrać dla siebie,
„Lecz w wyborze mam nielada trudności.
„Ta ma oczy, co świecą jak gwiazdy,
„Ta policzki świeżością nęcące,
„A ta trzecia usteczka z karminu,
„Czwarta serce, jak płomień gorące.
„I nie widzę ni jednej z brakami.
„Coby źle przedstawiały niebogę.
„Ani jednej nie sposób wypuścić,
„Czemuż wszystkich całować nie mogę“.

Forma tego wiersza, do którego niedołążne rymy sami dobieramy, i piękna i oryginalna, ale pomysł nie nowy, i kiedy przebiegamy w myśli figlarne wiersze innych poetów, staje nam przed oczyma duszy zmysłowo - uczuciowy Byron, który pod tym względem za wzór Runebergowi mógł służyć, a który podobnie jak i on pragnął również tego (*excusons du peu*): *„by świat kobiet miał jedne tylko różane usta do całowania ich wszystkich odrazu“*.

„That womankind had but one rosy mouth
„To kiss them all at once from North to South“.

Wszystkie wiersze, jakie w tej pierwszej epoce życia Runeberga z pod pióra jego wyszły, mają mniej więcej ten co powyższe charakter,

wszystkie świadczą o sile jego uczucia, a zarazem są obrazem pogodnej jego duszy.

Mając na myśli, bo jeszcze wtedy nie przy boku, ukochaną kobietę, nie tę, co to pozując śmiesznie na mężczyznę, jest nie jego kopią, lecz politowania godną parodią, ale kobietę pełną tkliwości i tych przymiotów, jakie po wsze czasy ideałem wszystkich mężczyzn być nie przestaną, oddany ciężkiej zawodowej pracy, w wiązanej mowie wylewa swe myśli i uczucia na papier, i w odosobnieniu swoim od hałaśliwego świata, na łonie wspaniałej natury, wśród otoczenia sympatyzującego z nim żywo, odczuwającego jego bóle, dzielającego jego rozkosze, czuje się najzupełniej szczęśliwym. To też w tem, co z pod pióra jego wtedy wyszło, dźwięczy wyraźnie nuta zadowolenia z warunków życia, w jakich postawiła go Opatrzność, a wiersz jego: „*Jakże jestem szczęśliwy*“ maluje nam psychiczną stronę tego człowieka lepiej, niż całe tomy współczesnych pamiętników.

Posłuchajmy zakończenia tego wiersza:

„Jakże szczęśliwy jestem! gdy wieczór przyjdzie życia

„Lira ma droga, będzie pociechą moją.

„Jakże szczęśliwy jestem! gdy struny liry się zerwą

„Zdobyta sława osłodą mi pozostanie,

„A kiedy czas, i sławę moją w proch zetrze

„Drogię me dziewczę u boku mego będzie,

„A gdy i dziewczę nakoniec mnie opuści

„Pamięć przeszłości zachowam już do śmierci“.

Przechodzimy do epoki drugiej życia Runeberga, do jego pobytu w Helsingforsie, ale zanim przejdziemy do niej, niech nam wolno będzie przytoczyć tu w przekładzie jeszcze wiersz jeden. Dorzuca on coś niecoś do duchowej charakterystyki tego nieznanego u nas poety północy, ale dorzucając do niej, może służyć zarazem i za naukę dla wszystkich czarnych malkontentów, złorzeczących nie po mężku losowi, na całym świecie.

Głęboką, pogodną myśl, zamyka wieszcz w przemowie do ptaka:

„O mały ptaszku ukryty
„W gałęziach dębu, powiedz mi,
„Jak możesz ciągle pieśń nucić,
„Nie przestając być wesołym?
„Co rano słyszę twe dźwięki,
„Co wieczór słuch niemi pieszczę
„A zawsze równie są słodkie,
„Zawsze rozkoszne jednak!

„Twa gałąź jest tak kolczasta,
„Twój dom tak ciasny i mały,
„Mimo to ty się nie smucisz
„I śpiewasz zawsze wesoło.
„Nie siejesz, ani też orzesz,
„Zbiorów też pewny nie jesteś,
„Nie wiesz, co ci jutro przyniesie,
„Mimo to jesteś szczęśliwy.

„Iluż jest ludzi na świecie.
„Opływających w dostatki,

„Ziemie, królestwa mających
„I złote pałace wspaniałe.
„A mimo to wciąż z westchnieniem
„I okiem łzami zroszonym,
„Witają oni wschód słońca,
„Podczas gdy ty śpiewasz ciągle.

„Czyż losem twoim nie gardzi
„Człowiek wyniosły i dumny,
„A mimo to czyż niewdzięczny
„Zadowolonym się czuje?
„Zdruzgotać pierś twoją tkliwą
„Każdej chwili jest on w stanie
„A dołę twą ty błogosławisz,
„Gdy on wciąż przeklina swoją.

„O śpiewaj ptaszku maleńki
„Dnie całe pieśni miłości
„Słuchać cię będę z rozkoszą,
„Napawając się twoją nutą.
„A gniazdko swoje co lato
„Wij u pułapu mej chatki
„I w dzień i w noc mnie pouczaj
„Jak to szczęśliwym być można“.

W roku 1830 Runeberg przenosi się do Helsingforsu, i tu się żeni z ukochaną swoją Fryggą. Dla poety, który żył wolny, obcując z Bogiem i naturą, rozpoczyna się z chwilą tą sfera ciężkich obowiązków, przychodzą dzieci, w ślad za dziećmi kłopoty i zmartwienia, szare, prozaiczne życie wyciska na nim piętno. W miłości rodzinnej czerpie on siły do pracy, w pracy znajduje ukojenie i osłodę. A pracuje ciężko i krwawo.

Niezależnie od swoich zajęć w uniwersytecie, pisze ciągle, gorączkowo, i puszcza w świat oprócz drobniejszych wierszy i mniejszych poematów, z tytułów już wyżej przytoczonych, arcydzieło literatury fińskiej: „Myśliwi na łosie“.

Oto co pisze o nich Estlander.

— „W dziele tem, Runeberg w poetycznej formie spowiada się z wrażeń, jakie wyniósł z zetknięcia się z życiem narodu fińskiego. Z godną uznania krytyczną analizą i smakiem artystycznym, stworzył on swój poemat, i w główny motyw polowania na łosie, wplótł romantyczny pierwiastek: miłość myśliwego Macieja do uroczej Geddy. Nie dość na tem, wprowadził do dzieła swego mnóstwo epizodów i typów, i po mistrzowsku przedstawił życie fińskiego chłopca, porzuconego daleko w okolicy Archangielska. Takim sposobem powstał pełny obraz narodowego bytu, tak dokładny i artystyczny, że zdaje się on być wierną kopią rzeczywistości“.

Dotąd Estlander.

Sława imienia Runeberga, dzięki poematowi temu i „Hannie“, w tej samej epoce stworzonej, w krótkim czasie przekroczyła granice jego ojczyzny. W roku 1839 Akademia Sztokholmska nagradza go medalem złotym, a wkrótce potem, Ksawery Marmier pisząc o nim w języku do-

stępnym całemu światu, nazwał go jednym z trzech największych poetów północy i postawił na równie z Oelenschlagerem i Tegnerem. Takim więc sposobem, zanim Runeberg przeniósł się do Borgo, miał już imię cieszące się uznaniem powszechnem. To, co napisał w ciągu 40-letniego pobytu w Borgo, uznania tego rozszerzyło tylko granice.

A napisał on tu niemało dzieł, i wcale niepoślednich.

Zapoznajmy się z niemi choć pobieżnie.

Naprzód „Nadieżda“.

Jest to poemat o 9 dużych pieśniach, zaczerpnięty z życia rosyjskiego.

Rzecz dzieje się za panowania Cesarzowej Katarzyny II, a świat około którego główny interes dzieła się obraca, jest światem włościańskim. Co uderza, gdy się to dzieło czyta, oto, że Runeberg świata tego nie znając, nie będąc nigdy w etnograficznej Rosyi, nie otarłszy się ani o zgrzebne siermiegi chłopów, ani o złote kołnierze dworaków, mimo to i jednych i drugich odmalował wiernie, jak gdyby wśród nich sporą dozę życia swego spędził. I nie ich tylko. Natura kraju, obcego mu, a tak odmienna od natury Finlandyi, w poemacie jego wychodzi wprawdzie nie tak plastycznie jak finlandzka w „Myśliwych na łosie“, bo jej atmosfery poeta nigdy w piersi nie wciągał, ale przecież z pra-

wdą uderzającą każdego, na kim odbiła ona odrębne swoje ślady.

W tym świecie obcym, wśród tego otoczenia mu nieznanego, siłą intuicyi zcryentował się on wybornie, odnalazł w nim strunę ogólnoludzką, i szarpnąwszy nią ręką mistrza, wywołał tony, które każde serce odczuwa. Struną tą, miłość. Ta młoda włościanka „Nadieżda“, kochająca a kryjąca swoje uczucie, ci dwaj synowie książęcy, pożądający jej każdy na swój sposób, wreszcie ci możnowładcy, interwencyi błogosławionej których zawdzięcza się i sens moralny sztuki i szczęśliwe dla prawdziwych kochanków i dla czułych czytelniczek jej rozwiązanie, to wszystko typy ogólnoludzkie, i mimo odrębną swoją charakterystykę, ogólnie zrozumiałe. To też obudziły one żywe bardzo w Finlandyi zajęcie, a wziął w niem udział i dalszy cywilizowany świat, gdy poemat ten doczekał się w Nowym Yorku przekładu na język angielski. (*Nadeschda, a Poem from the Swedish by J. Shipley*). Zarówno wtedy swoi, jak i obcy, ujrzeli talent poety w pełni męskiego rozwoju, zarówno jedni jak drudzy mieli sposobność podziwiać mnogość strun dźwięcznych, w potężnej jego, ale dotąd nieco jednotonnej lutni.

Zaprawiwszy się na temacie obcym codziennemu bytowi Finlandczyka, zachęcony powo-

dzeniem „Nadzieży“, Runeberg puszcza w świat „Króla Fialara“.

Tłem poematu, jest świat skandynawskich Wikingów.

Surowy ojciec, zgodnie z barbarzyńskim obyczajem swojego kraju, piękną swą córkę, księżniczkę Gerdę poświęca na ofiarę bogom. Dzięki podejściu, nie doprowadza przecież do skutku swojego krwawego zamiaru, uwożą ją bowiem na dwór obcego księcia, gdzie ją chronią w bezpiecznym ukryciu. Tu rośnie jak kwiat w cieplarni, i jak kwiat zachwyca wszystkich oczy. Kochają się w niej wszyscy na zabój, ona jednak nie odwzajemnia się z najbliższego swojego otoczenia nikomu, nie dlatego jednak, by miała serce z kamienia, ale ponieważ w tem sercu wszechwładnie już panuje mężczyzna inny. Młody Jalmar, bohater mórz, owdładnął całą jej istotą, on jest jedynym na świecie jej kochankiem, ku niemu ulatują wszystkie jej myśli. Ale połączyć się, z nim jej niełatwo. I dopiero gdy Jalmar przewyciężywszy wszelkie przeszkody, zdobywa ją zbrojną ręką, realizują się jej marzenia dziewczęce. I w tej właśnie chwili wychodzi na jaw tragizm całej sytuacji, Jalmar bowiem okazuje się bratem dziewczyny. Poemat, wysoce interesujący, pełen wstrząsającej duszą grozy, kończy się śmiercią Fialara.

„Opowiadania Stola“ — są trzeciem większem

dziełem, wyszłem z pod pióra Runeberga w Borgo. Temat w tem dziele zapożyczony jest z dziejów finlandzkich. Stol, z którym poeta jakoby zaznajomił się na prowincyi, opowiada epizody z ostatniej wojny, urozmaicając je dosadną charakterystyką wszystkich osób przyjmujących w niej udział. Ukazują się więc tu typy najrozmaitsze, wojskowe i cywilne, świeckie i duchowne, a celem dzieła, odmalowanie dokładne duchowego nastroju narodu, na zalanych tysiącznemi jeziorami którego niwach, rozgrywała się walka o Finlandyę. W poemacie uderza bezstronność, z jaką poeta traktuje wszystkich, a spokój olimpijski, z jakim toczy się całe opowiadanie, do żywego przejmuje każdego.

Te trzy dzieła, to najwspanialsze płody muzy Runeberga, z czasów pobytu jego w Borgo. Pochodzi jeszcze z tych czasów księga hymnów i psalmów, za ułożenie której przyznana mu została wielka narodowa nagroda, w ilości 74,000 marek, ale księga ta do sławy jego nie dorzuca. I gdy w roku 1863 atak apoplektyczny położył kres nie jego życiu, tylko literackiej karyerze, nie ona i nie w ślad za nią wypuszczona sztuka: „Królowie Salaminy“ kazały żałować, że wola wyższa przecięła nitkę duchowego życia wielkiego człowieka. „Nadieżda“, „Fialar“ i „Opowiadania Stola“, blaskiem bo swoim olśniły już to wszystko, co po nich z pod

płodnego jego pióra wyszło. One to kirem pokryte, stoją nad twórczości jego mogiłą.

* * *

Skromnym jak całe życie, bezpretensyjnym jak całe postępowanie poety, jest i jego dom w Borgo.

Oddalony od głównych arteryi ruchu w mieście, stoi on przy rogu dwóch wązkich odludnych ulic, otoczony drzewami, nieopodal od wybrzeża rzeki.

Drewniany, parterowy, patrzy raczej na mieszkanie spokojnego rolnika, niż uczonego i poety, i nie zwracałby na siebie niczyjej uwagi, gdyby nie pietyzm mieszkańców, z jakim chronią go od zniszczenia.

Dzięki pietyzmowi temu jednak, jest on magnesem przyciągającym każdego, kto w obrębie Borgo się znajdzie, i dzięki pietyzmowi też temu, odszukać mi go bynajmniej nie było trudno, gdym po opuszczeniu Katedry skierował ku niemu moje kroki.

Dom ten, po śmierci poety niezamieszkalny, jest dziś własnością państwa, a wewnętrzne jego urządzenie, żywo przypomina te chwile, kiedy po jego pokojach schorowany Runeberg się przechadzał.

Jak zewnątrz, tak i wewnątrz, nie wyróżnia

się on niczem zresztą od innych domów w Borgo i nad zatoką fińską.

Runeberg był namiętym myśliwym, w jednym więc pokoju nad kanapą widzę porozwieszane strzelby i pistolety, lubił książki, w drugim znajduję wielkie ich mnóstwo w kilku szafach przytulonych do ścian. W innym znowu mam pamiątkowe wieńce, jakimi obdarowywano go, gdy odbywał tryumfalny pochód po Szwecyi.

Zresztą, tak jak gdzieindziej. Salon o wypłowiałych meblach, gabinet pracy ze staroświeckiej konstrukcyi biurkiem, wreszcie sypialnia, w której życie zakończył, z prostym drewnianym krzyżem na ścianie i biblią u wezglowia łóżka.

Wszystko cechuje skromność, wszystko ci mówi o tem, że tu mieszkał człowiek cichej pracy, w samotności, tej „mędrców“, jak powiedział Mickiewicz „mistrzyni“, szukający osłody po troskach życia.

Jakże niepodobnym do tego ubożego nieledwie mieszkanka, jest pałac innego poety północy: Waltera Scotta.

Właśnie kiedy przechadzam się po komnatach dworku Runeberga, przypominam go sobie dokładnie w oddalonem ztąd o mil setki Abotsforcie pod Edynburgiem, i pytam sam siebie, który większe wrażenie robi?

Który?

Tam przepych, bogactwo i komfort, tu prymitywność i ciasnota, tam wspaniały park, rozpościerający się szeroko po za kolorowemi oknami rezydencji magnackiej, tu kilka drzew chorych, nieśmiało osłaniających ściany biednej chatki.

Wybierajcie.

Jak domy, tak i groby dwóch poetów północy, najzupełniej niepodobne są do siebie.

Szkocki wieszcz ruin spoczywa tuż przy swej żonie w ruinach starego zamczyska, co rozpostarł się po nad jego trumną w Dryburgu, służąc jej za wspaniałą dekorację, finlandzki piewca rozkoszy i miłości, wytrwałych walk o byt z przyrodą i cichego domowego życia przy ciepłym rodzinnym ogniu, śpi cicho w ziemi będącej jego kolebką na ustronnym cmentarzu w Borgo, w pośrodku prostaczków, w gronie których żywot swój spędził.

A nad kamieniem jego grobowym, ciężki głaz finlandzkiego granitu, leży porzucony dłońmi wdzięcznych jego rodaków...

A nad tym głazem, krzyż, godło zbawienia, miłośnie wyciąga ku wszystkim czującym i cierpiącym ramiona...

.
.

Nad mogiłą finlandzkiego poety, las świerków rozpościera swoje korony.

Finlandya jest jednym olbrzymim borem, żywi w tym kraju dokoła drzewami są otoczeni, i ci więc, którzy swe głowy poukładali do snu nieprzespanego, pod ich cieniem spokojnie spoczywają.

I cmentarz w Borgo niczem zatem od innych cmentarzy w tym kraju się nie wyróżnia, ale podobny do innych ze względu gęstego zarzewienia, więcej od innych nadaje się na miejsce ostatniego spoczynku poety.

Runeberg opiewał krasę Finlandyi, sławił wszędzie jej zielone gaje, głębokie niezliczone jeziora, dziko-romantyczne skały. Ma więc tu morze zieleni dokoła, zwierciadła wodne u stóp mogiły swojej, dekoracyę kamienną w dali.

Nad jego grobem ptaków roje zawodzą trele tęsknoty i żałoby, wiatry północne świszczą złowróźnie przeciskając się przez las gałęzi, a przy jego piersi spoczywają nie wielcy tego świata, których on nie znał, i z którymi żyć nie potrafił, ale legion maluczkich owych, w skromnem gronie których rad za życia dnie całe przepędzał.

Ma więc to, co było esencją jego bytu, co go popychało do pracy, co mu słodziło troski codzienne, ma to, z czem się zżył, niby z swą bratnią duszą, co wchłonał w siebie i w czem się właściwie odtworzył.

I gdy Walter Scott w tym tam odległym Dryburgu szkockim, w kamiennej trumnie jest

najzupełniej na swoim miejscu w ruinach zamku, ściany którego oplata bluszcz, gdy Thorwaldsenowi w Kopenhadze, musi być i dobrze i przyjemnie na podwórzu jego Muzeum wśród nagich bóstw, w które niby Grek nowoczesny tchnął życie, wlewając w kamienne ich piersi krew, on tu na tym sielskim cmentarzu w Borgo, wśród tych drzew, na tem wyniesieniu, przy tej wodzie, obok tych kamiennych piramid, jest jak w gronie najserdeczniejszych swoich, duchowego powinowactwa nicią powiązanych z nim nierozplątanemi węzłami.

I odpoczywa tu już po ciężkim znoju syt lat i chwały, w ciepłym łonie wspólnej naszej matki-ziemi...

I słyszy — jeśli mu Bóg słyszeć dozwala, — hymny uwielbienia i wdzięczności tych, których niby ojciec tkliwie miłował, i którym niby czuły kochanek pieśni osłody nucił.

ROZDZIAŁ VII.

Z Helsingforsu do Abo. — Wybrzeża skaliste. — Wschód słońca wśród wysp archipelagu. — W Abo.

Była godzina popołudniowa, kiedy parowiec, jeden z tych, jakie odbywają służbę pocztową wzdłuż brzegów zatoki fińskiej, dobijał do przystani w Abo.

Rano opuściliśmy skaliste Hangö, najbardziej na południe Finlandyi wysunięty skrawek ziemi, jedyne port, jaki w najsroźsze mrozy nie zamarza w tym kraju.

Z Hangö do Abo droga jest niedaleka i na otwartem morzu przestrzeń podobną przebyłby statek co najwięcej w 3 godziny, ale wybrzeża Finlandyi na południowo zachodnim jej skraju zasiane są taką niezliczoną mnogością wysp, tyle tam na każdym kroku spotyka się naturalnych baryer w postaci wyskakujących z wody spiczastych granitowych skał, że najdoświadczeńszy żeglarz hamować musi rwącą siłę swej pary, w obawie, by krucha łupina, na której

płynie, nie roztrzaskała się o sterczące ostro na prawo i na lewo ich zęby.

Postanawiam nie kłaść się tej nocy na spoczynek, by przyjrzeć się zblizka temu dziwacz-nemu archipelagowi, jakim natura usiała w tem miejscu finlandzkie wybrzeże, by co więcej, przyjrzeć się mu jak wyglądać będzie, skoro promienie wschodzącego z wody słońca zaleją go potokami złotego światła.

Jest noc lipcowa, ale kto powie, że to jest noc?

Słońce zgasło, a jednak ziemi nie spowły w powijaki ponure mroki nocy, księżyc krąży po widnokregu, a jednak nie jego to mdłe światło dozwala rozróżniać pływające gęsto po wodzie jak stada dzikich cyranek wyspy i skały.

Jest to, jak już powiedzieliśmy, płynąc Sajmą, światło, do żadnego ze znanych nam światel nie podobne, coś pośredniego między wspa-niałym dziennej naszej gwiazdy blaskiem a niepewnym połyskiem miesiąca, coś przejściowego już nie od nocy do dnia, ale od skromnego świta-nia do majestatycznego wschodu słońca.

Podczas jednej z takich właśnie nocy, statek parowy, na którym o północy opuściłem Hel-singfors, przesuwał się pomiędzy wyspami i skałami zachodniego wybrzeża Finlandyi. Przesu-wał się, i co chwila miarkował zapędy pary, by ta nie uniosła go na rozdroża. Jechaliśmy zdala

od brzegów, środkiem skalistego archipelagu, i korzystając z zalewającego nas światła, przyglądaliśmy się uważnie naszej drodze.

Cóż to za droga, co za obrazy przemykały się nam przed oczyma!

Z przodu i z tyłu, na prawo i na lewo wychylały się z morza większe i mniejsze grupy. Ale jakie fantazyjne, jakie dziwaczne!

Tu porosłe gęsto drzewami rozkładały się owalnie i niby rozlane duże plamy odskakiwały od ciemno zielonej barwy morza, tam znowu do żadnej niepodobne, majaczyły, niby jakichś lądów cienie, w tę i ową stronę rozwlekając słamazarnie wąskie pasy spalonej, brudnej, błotnistej ziemi. Na jednych z nich dostrzegałeś ciemno-brunatne chaty, ślad pobytu człowieka w tych stronach, inne przedstawiały ci smutny obraz zapuszczenia i spokoju, dowód wyraźny, że są podotąd otwartą kartą, na której jeszcze nikt litery nie nakreślił, inne wreszcie ukazując ponad wodą grzbiet skalisty, zdały się mówić, że nikt na niej nakreślić nigdy nie będzie w stanie.

W tym chaosie ziemi i granitu, dębów i świerków, trawy i mchu, napotykałeś zdumiony i inne jeszcze.

Były to projekta lądów stałych, ruchome błota, Laguny Weneckie przypominające. Na tych oczywiście nie było, ani skał, ani traw,

ani mchu, unosił się tylko nad niemi w powietrzu, jak gdyby olbrzymi znak zapytania i różne myśli do głowy naprowadzał.

Co to jest, co z tego będzie, w co się to z czasem przeinaczy, wyłoni-li się z tego kiedy twardy grunt, który da życie żelaznemu czynowi i owocnej w błogosławione następstwa myśli, rozplynie się-li to w mętnej wodzie, niosąc śmierć nieopatrznyim żeglarzom urojonemi swemi mieliznami?

I przypominałeś sobie, myśląc tak, że Finlandya przedstawia tę geologiczną osobliwość, iż brzegi jej odpychając od siebie morze, powoli ale stale unoszą się w powietrze, iż przy zatoce botnickiej przyrost jej co sto lat wynosi 3 stopy i 1 cal, a przy fińskiej stopę i 11 cali, i otucha, gdyś patrzył na te ruchome błota, wstępowała w twoje serce, boś czuł, że i tu kiedyś zakiełkuje silnie życie, a w ślad za niem cywilizacyjna praca, jedynie dająca rację bytu na ziemi, życiu.

Taki wieniec wysp i skał otacza wybrzeża Finlandyi nietylko środkiem tej morskiej drogi z Hangö do Abo. Cała głęboka zatoka fińska, usiana jest niemi obficie. Już w Wyborgu, gdy pragnąc zażyć wieczornego wczasu, w wątlej barce puściliśmy się środkiem cieśniny, co pod tem miastem, najbardziej kosmopolitycznem i handlowem w Finlandyi, głęboko wrzyna się

w ląd, spotykaliśmy podobne wyspy i skały na każdym niemal kroku, już tam, w gęstszych i rzadszych grupach to tula się one do lądu, tworząc z nim niemal jedną całość, to odskakują niby precz odepchnięte, by okrętom, które w te lądy dobrobyt wnoszą, nie tamowały swobodnej żeglugi.

Kiedy wypłynie się z tej Wyborskiej cieśniny, wyspy znikają z powierzchni wody, czas jakiś statek mknie lustrzaną powierzchnią szybko, i zdaje się, że nic już nie wstrzyma jego biegu. Złudzenie, o dwie do trzech godzin drogi od Wyborga, na małej wyspie wznosi się ufortyfikowane miasto Kotka, a dalej za niem już aż do samego Helsingforsu, morze przedstawia tafłę gęsto nakropioną plamami.

I tak dalej, z Helsingforsu do Hangö, z Hangö do Abo, z Abo do Nystad, i dopiero za tem miastem brzegi dają oku bardziej rozległe i bardziej jednostajne obrazy.

Geografowie zadawali sobie trud obliczenia, ile tych wysp znajduje się na wybrzeżach Finlandyi.

Trud daremny.

Nigdzie na świecie nie znajduje się wysp i wysepek tyle, na tak małej stosunkowo przestrzeni.

W prowincyi Nyland, w archipelagu Barösund, na powierzchni 10 wiorst kwadratowych

masz ich z górą trzysta, w grupie Alandzkiej w jednej parafii Brändö coś około siedmiuset. A Barösund i wyspy Alandzkie to tylko dwa archipelagi, a cały południowy pas Finlandyi okolony jest archipelagów gęstych szeregiem.

Więc trud geografów jest daremny, więc żaden z nich po dziś dzień nie wie i wiedzieć nigdy nie będzie, ile jest liści w tym wieńcu zielonym i skamieniałym, jaki okala od południo-zachodu ten kraj, tak jak wiedzieć żaden botanik nigdy nie zdoła, ile gałązek znajduje się na bujnym dębie. Gałązka bo jedna się rodzi, druga strącona podmuchem wiatru spada na ziemię, a wyspy fińskich archipelagów, dzięki podnoszeniu się dna morza, osuszają powoli swoje brzegi, i oswobodzonemi od wody skalistemi językami łączą z sąsiednimi wyspami.

Pokazywano mi w zatoce fińskiej takie wysępki, na których kilka dziesiątków lat temu jeszcze, rybacy zapuszczali w morze sieci, a na mapie tej zatoki z początków bieżącego wieku, w wielu miejscach widzi się wodę tam, gdzie dziś stada bydła szczypią bujną trawę.

Tak jest na wyspach fińskiego archipelagu, tak i nad zatoką botnicką, i stare, spalone miasto Waza, dziś o 6 wiorst oddalone od morza, w zeszłym jeszcze stuleciu znajdowało się nad jego brzegami.

Siła bo tu jakaś nieznana, raz po raz unosi

do góry od wieków pozatapiane lądy, i urąga ludzkim usiłowaniom, zmierzającym do dokładnego zliczenia tych, jakie dziś tam są.

Podróżujący po Finlandyi, zatokę fińską uważają za prawdziwą perłę tego kraju. Uważają słusznie. Ta mnogość wysp, co się na jej wodach rozsiadły, tworząc na nich figury, jakich nie byłby w stanie nakreślić żaden malarz, ta różnaitość ich zaludnienia, zabarwienia i geologicznej formacyi, jakim podobnych rzadko byś szukał pomiędzy wyspami zatok innych, wszystko to sprawia, że kiedy się wodami temi płynie, doznaje się uczuć dziwnie błogich i przyjemnych.

I niech nikt przypadkiem nie myśli, że uczucia te są w jakimkolwiek pokrewieństwie z temi, jakich doświadcza się na jeziorach Lombardyi i Szwajcaryi, lub na fiordach norweskich; bynajmniej, gdy tam bowiem przemawia do ciebie groza, tu cicha poezyi słodycz, nieznacznie wsiąka w duszę twoją. Pod urokiem też tej dziwnej poezyi, wrażenia twoje o ileż różnią się od tych, jakich w krajach wysokich gór doznajesz, nie czujesz tu przedewszystkiem żadnej trwogi, nie doświadczasz najmniejszego niepokoju, nie cię nie drażni, nie impertynencko nie wyzywa, wszystko natomiast głaszcze mile, słodyczą poi wszystko.

I tu masz poszarpane skał cielska, i tu wy-

szczerzają się do ciebie kamiennymi zębami wybrzeża, ale czynią to raz z rzadka, jakby ukradkiem, a powtóre, nie dla nastraszenia cię bynajmniej, jeno dla napojenia różnaitością pewną atmosfery, jaką wdychasz w swoją duszę.

To też pierś twoja podnosi się tu wolniej, to też myśl twoja pracuje tu prawidłowiej, to też jednostajniej bije tu twój puls.

A za piersią, a za myślą, a za twym pulsem, i twe westchnienia, w których sceptyk tylko nie dostrzeże śladów podzięki i wdzięczności, spokojniej już idą do Boga.

Ale oto w stronie wschodniej od pokładu statku parowego, na którym płyniemy do Hangö i Abo, uderza coś około godziny 3 z rana oczy nasze jakaś gra światła. Gra ta dziwna, nie spotykana w krajach innych.

Tam, gdzie nie zakłócona niczem prawidłowość jest ogólnem prawem, któremu ulega przyroda, gdzie dzień jest dniem, a noc nocą, gdzie zmrok silnie odcina się od światła, jak gdyby świadczył wyraźnie o tem, że z niem wspólnego nie niema, tam wschód słońca daje obraz pełen majestatu i namaszczenia.

Kiedy się znajdzie na otwartem morzu i wzrok zwróci w stronę wschodu, kiedy na szczycie wysokiej góry oczekuje się narodzin dnia, widzi się, że się coś niezwykłego w przyrodzie dzieje, że żywioły powietrzne staczają

z sobą dziwną jakąś walkę, że zmrok ponury panujący dotąd wszechwładnie na horyzoncie nieba, pozbywa się swego czarnego zabarwienia, że coraz częściej na jego powierzchni występują to szkarłatne, to pomarańczowe plamy.

I rozumie się już, co te plamy znaczą, czuje się, że są one drogami, jakimi światło przedostaje się na kulę ziemską, że niby gołębica pokój, zwiastują światu koniec nocy. Wpatruje się więc długo i miłośnie w te tam plamy, doznaje się niekłamanego zadowolenia, gdy się dostrzega, jak powiększają się one coraz bardziej, aż na koniec nie czuje się już nic, gdyż ogniste gęste promienie światła zalewają doszczętnie nasze oczy, gdyż słońce już weszło.

Tak jest w krajach nie tak daleko jak Finlandya na północ wysuniętych, na szczycie góry, mniej więcej jest tak na morzu.

Ale tu? W stronie przeciwległej wyspom Alandzkim, największym na tych tu wodach, z po za grupy archipelagu skalistego daje się widzieć pomarańczowe światło. Nie odcina się ono od tła ciemnego, bo jasnym jest tu dokoła wszystko, nie znaczy wyraźnie na wodzie, bo wody mroki nocne nie spowijają, ukazuje się nieśmiało, niewyraźnie, jakby się wstydziło własnej niemocy, i prędzej jeszcze niż się ukazało, znika.

I nie widzi się już w miejscu, gdzie oczy

udarzyło, blasku najmniejszego, i czuje się, że nic nie zmieniło się dokoła, że widno jest, bo widno zawsze było, że ten dostrzegalny przed chwilą świt nie był zgoła zapowiedzią niczego. Aż dopiero gdy tak sobie powiedziawszy, odwróci się od tego, co zapowiadało tak wiele, tak mało dało, gdy pogodziwszy się z tą niezamąconą jednostajnością światła, dojdzie się do tego przeświadczenia, że nie jej zakłócić nie może, i spojrzy się od niechcienia w stronę zjawiska, które zdawało się być przecież posłem czegoś niezwyčajnego, ujrzy się nagle wtedy na horyzoncie nieba ognistą wielką tarczę. To słońce.

Postępuje wolno, leniwie, ospale, skrada się nieznacznie, nie zmieniając w niczem położenia rzeczy dokoła, i jak to Mickiewiczowski:

„Nim wstąpi na ziemię

„Idzie coś niewesoło i po drodze drzemie“.

A idąc tak zaspane niewesoło, skradając się tak nieznacznie, zdaje się wszechświatu i wszechstworzeniu mówić: jestem tu i obejmuję władzę nad światem, ale na świecie tym zmieniam niewiele. Nie przynoszę jak gdzieindziej światła bo światło tu bezemnie było, nie depczę hydry ciemności, bo ciemność jest zjawiskiem tu o tej porze nieznanem, przyprowadzam tylko z sobą

jedno ciepło, i ciepłem tylko zaznaczam obecność moją.

I nie światło już słońca, — tylko ciepło, świadczy ci tu o tem, że chory dzień się skończył, nie światło, — tylko ciepło jego, wszechstworzenie do życia ze snu budzi, nie światło jak gdzieindziej, tylko ciepło, wprzega w jarzmo ciężkiej obowiązkowej pracy wszystkich, którzy tu jak wszędzie wogóle, na co oko Boga spogląda, w pocie czoła na kęs czarnego chleba pracują.

A światło?

Nie gra w tem wszystkim najmniejszej roli.

Świeciło w nocy, świeci w dzień, i tylko żywej nieco uderza nasz zmysł wzroku, gdy po niedługim wypoczynku zabieramy się do pchania naprzód, sami nie wiedząc doprawdy dokąd, naszej taczki życiowej.

Abo nie leży nad samym brzegiem morza, piękna i szeroka rzeka Aura opłukuje progi kamiennych jego domostw.

Kiedy, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, w początkach XII. wieku Szwedzi zwrócili na Finlandyę swój wzrok, z geniuszem cechującym Skandynawskich zdobywców, spostrzegli, że aby osiąść dziki i zapuszczony ten kraj, w dwóch miejscach tylko należy postawić zbrojną nogę. Miejscami temi, było ujście do morza Aury i dzisiejsza wyborska zatoka wciskająca się głęboko w ląd.

Jakoż równocześnie niemal w obu tych miejscach dźwignęli obronne zameczyska, w ślad za zamkami otoczone murem miasta, i stworzywszy sobie pod nogami silne podstawy operacyjne, prawdom Chrystyanizmu torowali mieczami krwawe drogi.

Leżąc tuż niemal nad morskimi brzegami, jedno na szlaku prowadzącym na północ, drugi na drodze na wschód, Abo i Wyborg przeznaczone przez nich zostały do odegrania roli, że się tak wyrażę, dwóch kolosalnych, ufortyfikowanych obozów, mających na celu wzięcie we dwa ognie i zgniecenie rozpościerających się pomiędzy nimi nieprzyjacielskich sił.

I rolę tę w rzeczywistości spełniły, i w dziejach podboju kraju tego przez Szwedów zajęły poważną kartę. Tylko, że gdy oddalony od Szwecyi Wyborg, z natury rzeczy musiał mieć mniej czucia ze swoją zamorską metropolią, blizkie Abo stanowiło jak gdyby integralną jej część. Abo więc, do portu którego po kilkunastogodzinnej podróży przybił nasz parowiec, jest tem miastem, jakie ściśle biorąc uważać należy już nie za furtkę, ale za rozwarte nawcięż wrota, przez które wpływ szwedzki i cywilizacya szwedzka przeniknęły do serca Finlandyi.

Więc przypomnijmy, że założycielem staro tego, najstarszego w Finlandyi grodu był król Eryk IX., a pierwszym jego i całego tego

kraju apostołem biskupem Ś-ty Henryk. Obu tych ludzi ożywiała jedna wiara, obu łączyła chęć jedna zdeptania hydry pogaństwa Finnów. Tylko, że gdy biskup pragnął położyć głowę swoją i położył dla celów wyłącznie kościelnych, systemat polityczny Szwecyi, którego Eryk IX. był pierwszym wcieleniem, dążył do wciągnięcia Finlandyi w koło politycznych interesów tego kraju. A że na drodze do niego wiodącej zbrojne hufce szwedzkie spotkały się z Alandzkimi wyspami, przeto one pierwsze uległy ich sile. I dopiero w lat niespełna 30, śmiałe ich łodzie przybiły do brzegów Aury, i dopiero rok 1157 jest rokiem zwrotnym w dziejach kraju, zaludnionego plemieniem, z zachodnimi najezdcami nie mającem nic zgoła wspólnego.

Rokiem zwrotnym, ale nie rokiem ostatecznego pokonania Finlandyi przez szwedzkich najezdców.

Wyspy Alandzkie, drobne i odepchnięte na otwarte morze, bliższe Szwecyi, niż Finlandyi, w ściślejszych z pierwszą, niż z drugą pozostające stosunkach, raz pokonane, uległy bez długiego oporu, ale Finlandya, rozległa i oddalona, nie tak prędko wzięła rozbrat z niezależnością. Pobita na otwartem polu, chroniła wojenne swe zastępy w gąszczu lasów i niedostępnych puszczy, widząc w jednym miejscu zdruzgotane swoje ołtarze, dźwigała większe i daleko wspanialsze

w innem. I tak ciągle, i tak przez długie blisko dwa stulecia, i trzeba było tak nierównej walki i takiego wyężenia naporu, jakich dzieje niewiele przykładów przedstawiają, aby religia chrześcijańska zapanowała ostatecznie w tym kraju, a za religią wpływ Szwedów i Szwedów władza.

I tu więc siła zrobiła swoje, ale zrobiła z tak wielkim znojem, przy tak olbrzymim nakładzie ofiar ze złota i krwi, że w rycerskim poszanowaniu męstwa, dała poklask słabości. Kto się wczytywał w szwedzkie opisy podboju Finlandyi przez Szwedów, ten nierzadko spotyka się z wyrazami hołdu dla zwyciężonych.

Abo leży po obu brzegach Aury, i na przyjeźdźnym sprawia nader miłe wrażenie. Przedewszystkiem rzeka, nad którą się rozsiadło, u ujścia swego przerzyna kraj malowniczy i romantyczny, a zadrzewione wyspy jej koryta i pagórki jej doliny, dużo uroku dodają okolicy, na zielonej i ukwieconej powierzchni, której jasne jej wody zmierzają szybko do morza, ale też samo miasto od pierwszego wejrzenia podobać się każdemu musi. Nie posiada ono, prawda, wspaniałych gmachów, jakie są ozdobą Helsingforsu, a jakich temu grodowi pozazdrościć mogłaby niejedna wielka stolica Europy, ale ma to, czego Helsingforsowi tu i owdzie nie

dostaje, niezakłóconą nieprawidłowością najmniejszą, regularność wszystkich placów i ulic.

Nie takim było ono za czasów szwedzkich, kupy starych domostw zawały, jak to na jednym sztychu z zeszłego wieku widzieliśmy, brudne, ciasne i krzywe jego dzielnice, ale przyszedł wielki pożar w końcu trzeciego dziesiątka lat tego wieku, i z odwiecznego miasta Eryków i Karolów, prócz katedry nie pozostało nic.

Jak czasami na świecie bywa, wielkie nieszczęście stało się szczęściem dla Abo.

Postanowiono je podnieść z popiołów, w chwili jednak zabierania się do roboty, na dawne plany nie zwrócono uwagi żadnej. Miano przed sobą puste niemal, zgliszczami tylko zasiane pole. Wymieciono zgliszczami precz, wymierzono rozmiary pola i wyciągnięto na niem sznur równych, pod kątem prostym krzyżujących się ulic.

I powstało tym sposobem po obu brzegach wspaniałej szerokiej rzeki, prawidłowe i czyste miasto, i najwięcej ze wszystkich w Finlandyi zbliża się ono do typu miast nowoczesnych.

Gdzieindziej, w innem otoczeniu, być bardzo może, że nie robiłoby ono tego co tu wrażenia, ale nad brzegami tej Aury, w pośród tego fałistego gruntu, w tem morzu zieloności, jest ono tak ponętne i ładne, że choć ustąpiło berło

pierwszeństwa w kraju Helsingforsowi, berłem piękna nie podzieliło się z żadnem miastem. Kto oprócz stolicy Finlandyi, widział Wyborg, Wazę i Uleaborg; kto wybrzeżami zatok Fińskiej i Botnickiej dotarł aż do dalekiej północy, ten przyzna, że na tej długiej linii spotkał wiele miejsc pełnych uroku i krasy, nie spotkał przecieź żadnego, któreby mierzyć się mogło z tem, jakie zajmuje Abo nad malowniczymi Aury brzegami. Pod historycznym zatem i pod estetycznym względem, miasto to godnem jest widzenia, i źle ten robi, kto odstraszaný odległością, bawiąc w tym kraju, pozostawia je na stronie.

Pożar zatem zniszczył stare, szwedzkie miasto. Nie zniszczył przecieź wspomnień.

Stoimy właśnie na zadrzewionym placu, tuż u stóp wspaniałego pomnika. Za nami wznosi się olbrzymia wieża Katedry, pięknej romańskiej budowli z początków XIV wieku, obok domy niewykwintne, ale poważne, dające dach zabiegliwemu i oszczędnemu mieszczanństwu, a przed nami na niewysokiem podniesieniu, figura pełna ruchu i życia.

Per Brahe. Nie jedno Abo ze czcią wspomina jego nazwisko.

Kiedy król Gustaw Adolf, w morderczej bitwie pod Lützen, w obronie swoich współwyznawców życie złożył w ofierze, na tron Szwecyi wstąpiła jego córka Krystyna. Pełna światła

i troski o podległe berłu jej kraje, wielkorządztwo Finlandyi oddała w ręce hrabiego Per Brahe i nie mogła go oddać w lepsze, był to bowiem administrator, jakiemu równych mało Szwecya wydała, a przytem mąż wielkiej prawości i nauki. Nie poprzestając więc na protegowaniu handlu, ukrócania nadużyć podwładnych, i prowadzeniu wygodnych, serce kraju z wybrzeżem morskiem łączących dróg, zwrócił on uwagę na stan oświaty publicznej i tym sposobem oddał Finlandyi niespożyte zasługi. Jego staraniom zawdzięcza ten kraj, że liceum założone za Gustawa Adolfa w Abo, w roku 1640 przemienione zostało na Uniwersytet, on z metropolii pościągał do niego profesorów, on dał początek zbiorom naukowym, tak nieodzownym przy wykładach nauk przyrodniczych.

To też pamięć jego pozostała w Finlandyi drogą, to też Abo szczyci się nim jak własnym synem, i choć od kilku dziesiątków już lat w murach swoich Uniwersytetu nie posiada, ten bowiem przeniesiony został do Helsingforsu, dało niedawno piękny dowód wdzięczności swojej dla niego, wznosząc mu wspaniały pomnik jako jednemu z największych swoich zaszczytów.

Pomnik jest ani słowa wspaniały, i jak jest pięknym dowodem z jednej strony wdzięczności miasta i kraju dla wielkiego cudzoziemca, tak z drugiej znowu jest prawdziwą ozdobą

placu Mikołaja, na którym się od roku 1868 wznosi.

Ale niechaj nikt nie myśli, że piękno pomnika tego spoczywa w jego ogromie, że przemawia on do widza mnóstwem figur alegorycznych, tłómaczących myśl swego twórcy. Bynajmniej.

Na estetycznej podstawie z krajowego marmuru, którego kopalnie uderzały nasze oczy, gdyśmy wybrzeżem zatoki Fińskiej lawirowali między archipelagiem wysp i skał, stoi w charakterystycznym stroju szwedzkim, mąż lat dojrzałych. Lewą rękę opuścił z tyłu na szablę, jakby chciał mówić, że nie w pobrzękiwaniu nią bezustannem widział szczęście powierzonego mu kraju, a w prawej opartej na sercu trzyma pergaminowy zwitek, ze zwieszającą się na sznurze pieczęcią. To wyjednany staraniem jego w Sztokholmie dyplom na Uniwersytet w Abo, rozsadnika światła na dalekiej północy, cywilizacyjny most, łączący z sobą dwa, szerokim morskim rękawem rozdzielone kraje. Głowa uniesiona nieco do góry, noga prawa wysunięta naprzód, i więcej nic, ale to wszystko tak harmonijne i kształtne, tak imponujące swoją skromnością i prostotą, że choćbyś nie wiedział co mówią te dwa wyrazy „Per Brahe“ wryte pod figurą na granicie, dałbyś głowę, że mówią bardzo wiele. I tak rzeczywiście jest, i Per Brahe

jest też dobrym geniuszem Finlandyi, i jego to a nie czyja inna zasługa, że kultura zachodnia przedostała się do odległych jej zakątków, niby prąd elektryczny przebiegła cały kraj, i sokołowała go cywilizacyi.

Nie to więc stare po drugiej stronie Aury zamczysko szwedzkie, co do dziś niby kościotrup stoi, zmieniwszy przeznaczenie swoje, w wielkiem dziele ucywilizowania Finlandyi odegrało główną rolę, nie jego hufce od stóp do głów uzbrojone, kulturę europejską, niby błogosławione ziarna rozrzuciły po całym kraju, ale ten tu na tym finlandzkim granicie światły człowiek, długich lat pokojową pracą dokonał tego wielkiego dzieła, on jest wszystkiego tego najdostojniejszym rodzicem.

Więc za wciągnięcie dzikiego kraju w sfery kultury europejskiej, za rozżarzenie na najwyższym krańcu Europy jasnego światła, które już odtąd nie zgasło ani na chwilę, za wielką, najbardziej godną człowieka zdobycz na ziemi, ktokolwiek jesteś, który staniesz przed tym w Abo jego pomnikiem, winienesz pochylić głowę z uszanowaniem.

Jak dalece wpływ szwedzki, którego Per Brahe był największem i najszlachetniejszym uosobieniem, rozpostarł się po Finlandyi, najlepiej o tem przekonać się można, odbywając podróż wzdłuż zatok Fińskiej i Botnickiej. Całe

długie to wybrzeże jest dziś jeszcze w przeważnej części szwedzkim. Wedle obliczeń statystycznych, na stu mieszkańców Finlandyi, 14 używa jako domowego języka szwedzkiego, a wszyscy oni rozsiedli się na całym tem pomorzu i na wyspach fińskiego archipelagu. Kiedy się jest w Wybörgu, nie czuje się jeszcze tego, miasto to bowiem do najbardziej kosmopolitycznych zalicza się w tym kraju, ale już gdy się je pozostawi za sobą, doświadcza się takiego uczucia, jakby się jechało wybrzeżem Skandynawskiem. O 91 kilometrów od Wybörga, oczy twoje uderza wyspa skalista. Wsiadasz na niej, by zwiedzić słynne łomy różowego granitu, które między innymi dały materiał na sarkofag Napoleona I w Paryżu, dowiadujesz się, że łomy są w szwedzkich rękach, płyniesz dalej, spotykasz się z miasteczkiem Fredrikshamn, które z szwedzka nawet przezwano, dla uczczenia księcia Fryderyka, męża królowej szwedzkiej Ulryki Eleonory. I tak dalej i tak aż do najwyższej północy; szwedzką jest malownicza Lovisa z charakterystycznymi nad morzem domkami z drzewa malowanego na żółto i różowo, szwedzkim Borgo, w którym zatrzymaliśmy się dłużej nad mogiłą Runeberga, a Helsingfors, to miniaturowy Sztokholm, z mową szwedzką, typem domów szwedzkim, szwedzkimi porządkami. O Abo zbyt rzeczą nawet mówić,

zbyt dawno wciągnęła je bowiem w kulturalną sferę swojego wpływu Szwecya, ale Biörneborg, Kristinestad, Waza, żywo przypominają skandy-nawskie małe miesciny rozpolozone nad jezio-rami Wener i Wetter i nad kanałem Gotajskim. I dopiero na krańcach zatoki Botnickiej typ wybrzeża morskiego się zmienia, i dopiero pod-ptywając pod Uleaborg czujesz, że wkraczasz w świat inny, dzikszys od tego, w jakim przed chwilą gościles, o wiele się różniący od Europy. Nic dziwnego, to kres już życia na dalekiej północy, to dziedzina nietajacych nieledwie ni-gdy lodów, próg głuchej, pustej, smutnej jak grób, Laponii. Cywilizacya zachodu posunęła się dzięki Szwedom i do tych tu oddalonych stron, nie zdołała przecież zrobić postępow. Srogość przyrody, postawiła człowiekowi złowrózbnę tu veto, i uniemożliwiła mu cywilizacyjny pochód naprzód.

Ale aby zdołała to osiągnąć, musiała mu naprzód zmrozić w żyłach krew.

Kulturalny zatem wpływ szwedzki w Fin-landyi sięgnął daleko wzduż, od Wyborga do Uleaborga, fińskiego Oulu, ostatniej osady ludz-kiej z charakterem prawidłowego miasta na da-lekiej północy, (bo Torneo ma charakter raczej wielkiej wsi), — pytanie, jak dalece rozpostarł się on wszertz?

Jeżeli na to pytanie zechcemy dać materyalnę

odpowiedź, to powiemy, że nie daleko. Te 14 na sto procentów ludzi używających jako domowego szwedzkiego języka, te trzykroć ich z górą na 2,300.000 mieszkańców, kiedy się zważy długość wybrzeża morskiego, na którem się rozsiadły, nie mogły w żaden sposób głęboko w kraj zapuścić swoich korzeni. To też ludzie, posługujący się tą mową, zbitą masą żyją tylko nad morzem. Wyspy Alandzkie, najdalej na zachód wysunięte, cały archipeląg fińskiej zatoki, miasta i wioski przybrzeżne, — oto ich świat, oto tron, na którym królują, dalej stanowią nieznaczne kolonie, toną w oceanie fińszczyzny.

Kiedy jednak nie o język nam pójdzie, kiedy pozostawiając go na stronie, sięgniemy w głąb rzeczy, i okiem duszy zajrzemy do duszy tego kraju, to się przekonamy, że wpływ ten przeniknął w Finlandyi wszystko, że na podobieństwo ożywczego powietrza, przez szpary w atomach przedostającego się do najbardziej niedostępnych miejsc, wprowadził się spokojnie tam nawet, gdzie się nikt nie spodziewał go znaleźć. Na sześć wieków, w ciągu których Finlandya była, jeśli nie pod władzą, to pod wyłącznym wpływem Szwedów, te 14 procentów wydawać się mogą i rzeczywiście są drobnostką, świadczą o sile odpornej fińszczyzny, a może i o tem, że oświeceni zaborcy zachodni, w czem innem widzieli tryumf swojej idei, ale jeśli się

zważy, co one tu w postępie czasu działy, jak przerodziły wszystko i wszystkich, jakie osiągnęły rezultaty, to się bez uczucia szacunku myśleć o nich nie ośmieli.

Jeśli uderzeni tym dziwnym i jedynym w swoim rodzaju faktem, zechcemy doszukiwać się przyczyny onego; jeśli dla rozwiązania tej zagadki zaapelujemy do dziejów, jedyne Trybunału rozstrzygającego zagadkę wieków, to się przekonamy, że stało to się bynajmniej nie dzięki ostrości szwedzkiego oręża, ślepej sile brutalnej druzgocącej wszystko na swojej drodze, ale błogosławionemu oddziaływaniu kultury wyższej na niższą, posiewowi ziarn cywilizacyjnych w całym znaczeniu tego słowa.

Tak jest. Zaledwie ustała krwawa walka dwóch wielkich północnych światów, germańskiego i fińskiego, zaledwie oschła krew na ostrzach wrogich mieczów i uprzątnięto z grubego ruiny, jakimi srogi Bóg wojny znaczył swój pochód w kraju tysiąca jezior, aliści zaczęła się mrówcza, powolna praca, mająca na celu podniesienie materyalne i moralne kraju.

W tej mrówczej pracy, Abo od chwili niemal założenia swego, stało zawsze na czele. Najbliżej kultury zachodniej położone, najsilniej odczuwało jej sąsiedztwo, niby gąbka wodę, wchłaniało w siebie promienie jasnego światła,

co gorzało nad chrześcijańską Europą, a wchłonawszy je, rozpryskiwało po całym kraju.

Z chwilą wprowadzenia wiary Chrystusa w Finlandyi, ustanowiono biskupstwo w tem mieście, poczynając od końca XIV wieku, na jego tronie sadzano wyłącznie krajowców, a że na tę wysoką godność powoływano osobistości wybitne, przeto błogosławioną ich działalność odczuwał cały kraj. Pod ich wpływem powstawały klasztory, zakładały się szkoły ludowe, oni pierwsi za pośrednictwem niższego kleru, rozpowszechniali w masach naukę racjonalnego gospodarstwa.

Król Gustaw I, dał, jak wiadomo, początek nowej erze dla Szwecyi i Finlandyi. Objąwszy tron, wziął on sobie za zadanie utwierdzenie protestantyzmu w dwóch podległych jego berłu krajach. Kiedy więc zgromadzenie w Westeräs w 1527 roku, wyznanie Lutra uznało za wyznanie narodowe, w tem samym Abo występuje na widownię znany nam już Michał Agricola, początkując ruch religijny, który wkrótce obejmuje całą Finlandyę. Wiedząc o tem jednak, że chcąc nową wiarę narzucić krajowi, trzeba się wcisnąć do najniższych jego warstw, i w ich codziennym języku przemówić do ich umysłów i serc, Szwed z ducha i profesor liceum szwedzkiego, nie waha się mimo to zniżyć do nich, i tym sposobem bezwiednie, co innego mając na celu, daje początek literaturze fińskiej.

Z Abo zatem wychodzi, dzięki jego pracom, nieznany, niespodziewany bynajmniej ruch, w stronę miasta tego spoglądać każdy musi, kto się doszukuje źródeł literatury, rozwijającej się dziś tak wspaniale.

Ale nie na tem kończy się jeszcze znaczenie tego miasta dla Finlandyi.

Kiedy przyjrząwszy się uważnie pomnikowi słynnego Per Brahe, przejdziemy na drugi koniec placu Ś-go Mikołaja, którego jest on prawdziwą ozdobą, oko nasze uderzy inny pomnik, o wiele od tamtego skromniejszy, jako dzieło sztuki rzeźbiarskiej nie wytrzymujący z nim porównania, niemniej przecież, jeżeli nie więcej, każdemu Finlandczykowi od niego drogi. Jest to pomnik Porthana „Mężowi, który jest zaszczytem Finlandyi“, — oto słowa, jakie widnieją na podstawie pomnika tego, i zdaje się, że wyjaśnienia nie potrzebują, jeśli bo Finlandya wydała wielkich ludzi, którzy jej imię rozślawili szeroko, większego, zasłużeńszego z pewnością kolebką nie była. I Porthan jak Agricola był dzieckiem cywilizacyi szwedzkiej, i on jak tamten myśli swoje w formę szwedzką ubierał, nie dość na tem, jak to wyżej zaznaczyliśmy, nieśmiertelne swe dzieła nie po fińsku lecz po łacinie i szwedzku pisał, nie mniej przecież w dziele odrodzenia literatury fińskiej odegrał olbrzymią rolę, zbudził z duchowego uśpienia cały naród,

pehnał go naprzód na drodze do rozkwitu i postępu. Historia, archeologia, geografia, filologia, dziennikarstwo, wszystkie te dziedziny myśli ludzkiej miały w nim gorliwego protektora, a zarazem niestrudzonego pracownika. Nie było literackiego przedsięwzięcia, w któremby nie przyjął czynnego udziału, nie było dzieła, do któregooby nie przyłożył ręki. Wiedząc o tem, że duch narodowy błogie owoce wtedy tylko wydaje, gdy się go wszczepia w młode serca, gromadzi on około siebie falangę energicznej fińskiej młodzieży, i z nią na czele, zdobywa opierające się wpływowi jego pozycye. On jest wszędzie i on jest wszystkim, a on, ten najzasłużeńszy z zasłużonych, ten najwpływowwszy z wpływowych, wyszedł z Abo, działał w Abo i głowę do snu nieprzespanego złożył w Abo.

Czyż trzeba więcej? Czy po tem, co się powiedziało, znaczenie dla Finlandyi tego miasta nie zarysowyya się jasno jak na dłoni? Kiedy w tych podbiegunowych strefach wszystko drzemało w martwym letargu, kiedy po puszczech leśnych i trzęsawiskach snuły się bogom palące ofiary dzikie gromady, z Abo rozlega się po raz pierwszy głos nawołujący je do stóp krzyża, kiedy pomroki wiecznej nocy rozpościerały się nad całym krajem, wszyscy i wszystko tonęli w ciemnościach, w Abo cywilizacya zachodnia po raz pierwszy robi wyłom ku odległej pół-

nocy. Abo daje krajowi temu pierwsze biskupstwo, ogniskujące dokoła siebie intelektualne życie, Abo przyjmuje najwybitniejszy udział w narodzinach literatury fińskiej. Kto się zadziwi, że zamierzywszy ukazać Finlandyę, znaleźliśmy i my także Abo na końcu naszego pióra.

Jak to już zaznaczyliśmy wyżej, w roku 1827, w 23 lat po śmierci Porthana, straszny pożar nawiedził to miasto. Z niewyjaśnionej powstawszy przyczyny, w krótkim przeciągu czasu rozprzestrzenił się po wszystkich dzielnicach, zamieniając wszystko w popiół i gruzy. Strach padł na cały kraj, przerażenie ogarnęło wszystkie serca.

Postanowiono je dźwignąć z upadku, przywrócić do dawnej chwały, i z gorliwością, źle mówię, z pietyzmem, dokonano tego dzieła. Więc dźwignięto po obu brzegach Aury szereg domów pięknych, czy jednak stare Abo wskrzeszono z grobu, czy przywrócono je do dawnego znaczenia i świetności? Nie, polityczne wypadki zaszły w Finlandyi w początkach tego wieku, punkt ciężkości kraju przeniosły już bowiem gdzieindziej. W miejsce 600 letniego Abo, powstał trzy wieki bytowania na tej ziemi liczący zaledwie Helsingfors, i odebrał mu wszystko. Uniwersytet, sejm, centralne autonomiczne władze, banki, kasy, — wszystko to przeniosło się z po nad tej rozkosznej Aury, nad skaliste wy-

brzeże zatoki Fińskiej, okolone wiankiem naturalnych twierdz z granitu.

I dziś już Abo z Helsingforsem porównania nie wytrzymuje, oddało mu całą swoją dawną świetność, cały majestat, jakim błyszczało przez tyle wieków, i dziś już tylko, podczas gdy w Helsingforsie wre życie, jest niczem więcej jak cmentarzem narodowych pamiątek.

Kto więc kołując wzdłuż wybrzeża zatoki Fińskiej chce zakosztować upajających rozkoszy, jakie wielkie centralne miasta Europy dają, niech zatrzymuje się w Helsingforsie lub ostatecznie w Wyborgu. Znajdzie tam w miniaturowych naturalnie rozmiarach, cechy stolic lub ognisk handlowych, a więc efektowne budowle, zbiory naukowe, galerye obrazów, świątynie, teatry, magazyny towarów, wreszcie turkot, hałas, zgiełk.

Ale komu spokój jest miły, kto rad nieraz ucieka od gwarnych ognisk handlowego a nawet i umysłowego ruchu, by na łonie romantycznej natury zażyć chwil wypoczynku, kto do syta mając już żywych, w przeszłości świecie, w gronie wielkich umarłych chętnie przestawać zapragnie, ten niech płynie dalej na zachód, nad brzegi Aury, szybko toczącej ku morzu swoje fale.

A gdy wdarłszy się na szczyt góry, dominującej nad całym miastem, spojrzy na Abo wdzięcznie rozpościerające się po obu stronach

rzeki, w pośród pagórków szmaragdową zielenią i różnobarwnem kwieciem pokrytych, lub stanie u świętego źródła, gdzie wedle prastarej legendy krzyż chrześcijaństwa święcił tryumfy nad bogami pogańskich Finnów, nie pożałuje i mozólów drogi i czasu straconego, w tem bowiem, co ujrzy i co wtedy uczuje, znajdzie i usprawiedliwienie i nagrodę.

ROZDZIAŁ VIII.

Kraj Tawastów. — Nad jeziorem Vanajavesi — Tamerfors. — Łódź finlandzka. — „Niech fale wodne służą człowiekowi“. — Wycieczka do Birkkala. — Nokienkoski.
Zakończenie.

Na drodze pomiędzy właściwą Finlandyą, gdzie wśród pagórków malowniczo wije się rzeka Aura, a Karelią, po gęstych borach i niezliczonych jeziorach której oprowadziłem czytelnika, zanim spuściliśmy się z nim na bogate i ludne wybrzeże zatoki fińskiej, leży prowincya Tawastlandzka.

Prowincya ta niezmiernie jest ciekawą.

Kto jak my z Helsingforsu dostaje się morzem do Abo, ten pozostawia ją na stronie, ale kto jak my znowu zwiedziwszy najstarszy ten gród finlandzki, drogą lądową powracać zamierza do domu, musi przelotną chociaż zabrać z nią znajomość, tędy bowiem ciągnie się długi gościniec szynowy, po którym pociągi z naj-

dalszych zachodnich krańców tego kraju przedostają się na wschód.

Prowincję tę zamieszkiwało niegdyś dzielne plemię Tawastów, o którym kroniki średnio-wieczne szwedzkie bohaterskie legendy opowiadają, żadne bowiem z plemion dzisiejszej Finlandyi w pochodzie Szwedów w głąb tego kraju nie postawiło im tyle co ono przeszkód, żadne broniąc swoich pogańskich domowych ognisk, nie dało się im tyle, co ono, we znaki.

I była chwila, że maluczko, maluczko, a o dzielnego plemienia tego opór, skruszyć się miała potęga zamorskich apostołów prawd nowej wiary, była chwila, że ustraszeni niespodziewaną w tem miejscu zaciekłością, myśleli oni na seryo o tem, aby powrócić tam, skąd wyszli, pozostawiając wschodnie wybrzeże zatoki Botnickiej jej własnemu losowi.

Ale chwila ta trwała niedługo.

Na scenę dziejów wystąpił Birger Jarl, ten sam, który zamknął jezioro Mälär, ten sam, który założył Wenecję północy: Sztokholm, i nie dopuścił do tej dla Szwecyi hańby. Zgrupowawszy dokoła siebie wszystkie siły zbrojne swojego kraju, wtargnął ponownie do kraju Tawastów, i postawiwszy wszystko na kartę, ostatecznie wielką wygranę zdobył. Tawastowie legli upokorzeni pod gruzami świątyń swoich bogów, a tam gdzie ofiary im składali, stanął

chrześcijański ołtarz, symbol przebaczenia, miłości i pokoju. Dziś jest tam więc już cicho i głucho, krew oschła, namiętności się uspokoiły, i tylko w typie mieszkańców tej prowincyi, pozostał ślad uporu i zaciętości, i tylko w pieśni gminnej, z piersi dziewczęcia wrywającej się tu lękliwie, słyszy się echo bohaterskich bojów, jakie staczano tu z sobą przed wiekami. Ale pod wpływem małżeństw mieszanych, typ ten coraz bardziej się zaciera, ale pod wrażeniem innych potrzeb i czasów innych, echo starej pieśni milknie, i niezadługo już Tawastlandya, niegdyś kraj w kraju i naród w narodzie, upodobni się doszczętnie do dzikiej Karelii na wschodzie, bogatego Nylandu na południu i mroźnej Ostrobotnii na północy.

Będąc interesującą ze względu swojej bohaterskiej przeszłości, Tawastlandya i pod innymi także względami zasługuje na uwagę.

Naprzód jest ona wielkim traktem, przez który idzie kolej żelazna do najbardziej na północ wysuniętego miasta w Finlandyi, Uleaborga, a powtóre, zalewa ją system wielkich jezior, odrębny od systemu jeziora Sajma, posuniętego dalej na wschód.

Te dwie okoliczności sprawiają, że dziś Tawastlandya pod względem strategicznym i handlowym odgrywa niepoślednią rolę, i że mniej bogata w płodne ziemie od całego wybrzeża

morskiego, przewyższa je pod względem malowniczości swoich krajobrazów, dzikości puszczy leśnych i poezyi wielkich zwierciadeł wodnych, wychylających się kokieteryjnie z dziewiczych gęstw.

To też dzięki kolejom przerywnym tę prowincję wszerz i wzdłuż, nierzadki już dziś podróżny może wchłaniać w swą duszę piękno jej przyrody, mimo, że jeziora jej dotąd pod względem komunikacyi przedstawiają obraz pewnego zaniedbania. Kto w Sawolaksie pruć przestrzenie na wybornych statkach parowych po Sajmie, ten na jeziorach Vanajavesi i Nä-sijervi uezuje nieco umęczenia. Ale za to kolei jest tu więcej, wyżej na północ można się tu przy ich pomocy dostać, więc jeśli Tawastlandya nawiedzana jest przez cudzoziemców rzadziej od Sawolaksu, przypisać to należy nie czemu innemu, jak większemu od ognisk europejskiego ruchu oddaleniu.

Stolicą Tawastlandyi jest Tavastehus. Gród stary, choć z powodu pożaru w trzydziestych latach tego wieku cechy starości bynajmniej nie ma. Przeciwnie, wygląda bardzo świeżo, — a jego małe piętrowe domki, przytulone do pięknej świątyni z zeszłego wieku, nadają mu charakter malowniczości. Malowniczość tę podnosi jeszcze woda, która z trzech stron oblewa jego progi, a która pod nazwą jeziora Vanaja-

vesi, niby szeroka rzeka ciągnie się z północy na południe. Jest też tu olbrzymi, jak na takie niewielkie miasto, park, jest w pobliżu stary zamek Kronoborg, dziś celkowe więzienie dla kobiet, jest w odległości 1 wiorsty pańska rezydencya Karlberg, i mniej więcej w takim samym oddaleniu we wsi Vanaja stary kościół, prototyp wszystkich kościołów w Finlandyi. Słowem dla oka jest tu dość, i gdyby tylko wodna komunikacya nie pozostawiała tyle co dziś do życzenia, możnaby tu przepędzać tak przyjemne chwile, jak nad brzegami jeziora Sajmy w Willmanstrandzie lub Kuopio.

Jeśli Tavastehus jako stolica dawnej ziemi Tawastów, ze wszystkich miejsc w całej Tawastlandyi pod względem historycznym przedstawia największy interes, to Tamerfors, odległy od niego o 2 godziny koleją żelazną, nietylko w tej prowincyi, ale wogóle w całej Finlandyi jako punkt przemysłowy wielko-europejskiego znaczenia, zajmuje pierwszorzędne miejsce.

Jest to nie mniej nie więcej, tylko Łódź Finlandzka, naturalnie „toute proportion gardée“, nasza Łódź bowiem jest już dziś wielkiem miastem, a Tamerfors 20 tysięcy mieszkańców jeszcze nie dorasta. Ale mnogość fabryk, jakie tu się znajdują, upodobniają go do Łodzi.

W tym wieku jeszcze Tamerfors, położony między dwoma jeziorami, na wązkim pasie ziem-

nym, przerzniętym w poprzek naturalnym kanałem, liczył wszystkiego niecałe 500 mieszkańców, ale w roku 1819 przybył do tego miasta Cesarz Aleksander I. i zwróciwszy uwagę na siłę wody, z jaką przelewa tu się ona z jednego jeziora do drugiego, umyślił zużytkować ją w celach przemysłu.

„Niech fale wodne służą człowiekowi“ — miał się on wtedy do swego otoczenia odezwać, i nadawszy przywileje miastu, położył fundament jego przyszłego w przemyśle kraju znaczenia.

W parku miejskim Nottbeck, tuż przy olbrzymiej przędzalni o 1,200 parą poruszanych warsztatów, w malowniczym położeniu znajduje się wyspa, z której wybornie daje się obserwować pęd wody, któremu Tamerfors zawdzięcza swój wzrost. W tem właśnie miejscu widzę wmurowaną w skałę tablicę spiżową, na której złotemi głoskami czytamy napis łaciński, nakazujący falom iść człowiekowi w posługę. I poszły też, i dziś mu służą z uległością niewolnika, będąc motorem do poruszania mnóstwa warsztatów, jakie wzdłuż kanału rozsiadły się, zużytkowując jego wód siłę.

Tamerfors, jako miasto, niezem od innych miast Finlandyi, z wyjątkiem naturalnie wspianego Helsingforsu, się nie wyróżnia. Takie same małe piętrowe domki na prostych i sze-

rokiem ulicach, taka sama holenderska nieledwie czystość w ich wnętrzu, i charakter świeżości na wszystkim. Ale położony między dwoma płaszczyznami wodnemi, ze szczytu Pyy-nikkä, lesistego wzgórza, przedstawia się nader malowniczo, zdaje się bowiem być maleńką wysepką rzuconą na niezmierzone przestrzenie jezior, zlewających się w jedną olbrzymią ruchomą masę. Godzinami stać można na tym szczycie i godzinami całemi rozkoszować się widokiem wspaniałym, mając dokoła siebie niemy, a przecież tyle mówiący majestat odwiecznego boru, rozpościerającego się gęsto na podstawie z granitu.

Obfitość wód otaczających Tamerfors ze wszech stron o spadku nierównym i wązkich połączeniach sprawia, że nietylko w tem mieście, ale i dokoła niego powstawały fabryki, posiłkujące się motorami wodnemi. O dwie godziny od niego leży pięknie położona Birkkala, a tuż przy niej wodospad Nokia, z Imatrą nie wytrzymający porównania, ale ujarzmiony przez człowieka, pożyteczniejszy zatem dla ludzi niż Imatra. Wszędzie tu więc, gdy się po tych stronach podróżuje, widzi się ruch i pracę; wszędzie warsztatowe koła skrzypią, popychane naturalnemi siłami; wszędzie zabiegliwy człowiek świadczy ci czynami swemi, że nie zmarnował darów przyrody, jakie pod stopy rzuciła

mu Opatrzność, ale w miarę zdolności swoich zużytkował je dla ogólnego dobra.

I te wyraźne na każdym kroku ślady pracy człowieczej, wyróżniają dodatnio Tawastlandyę od Karelii i Sawolaksu, czynią ją sympatyczniejszą o wiele. Gdy bowiem tam masz jeszcze przed sobą przy całej ich malowniczości, jak gdyby dopiero „zgotowaną do pisania kartę“, tu już na tej, z jaką spotykają się twoje oczy, czytasz wyrazy przesądzające o przyszłości całej tej krainy.

Przyszłość ta streszcza się w jednym: w ujarzmieniu potężnych sił przyrody. Tawastlandya tem, co się tam dziś widzi, mówi oczywiście, że przyszłość ta nie jest mrzonką.

* * *

Na Tamerforsie urywam moje wspomnienia.

Wprawdzie bawiąc dwukrotnie w Finlandyi, widziałem w niej więcej, niż tu w tym nikłym obrazie przedstawiłem, ale właśnie dlatego, że obraz ten za nikły uważam, nie kuszę się na rozszerzenie jego rozmiarów.

I jedno już tylko pragnienie niech mi wolno będzie w końcu dorzucić.

Oto, by część chociaż tych naszych podróżników, którzy utartymi szlakami podążają rokrocznie na zachód, skierowała się na tę odległą

północ, po naukę, jak w warunkach od przyrody ciężkich i trudnych można żyć i pracować, szczepiąc z powodzeniem ziarna dobrobytu i oświaty na niewdzięcznej skalistej glebie, zmrożonej podmuchem podbiegunowych wiatrów i ściętej przez większą część roku lodem.

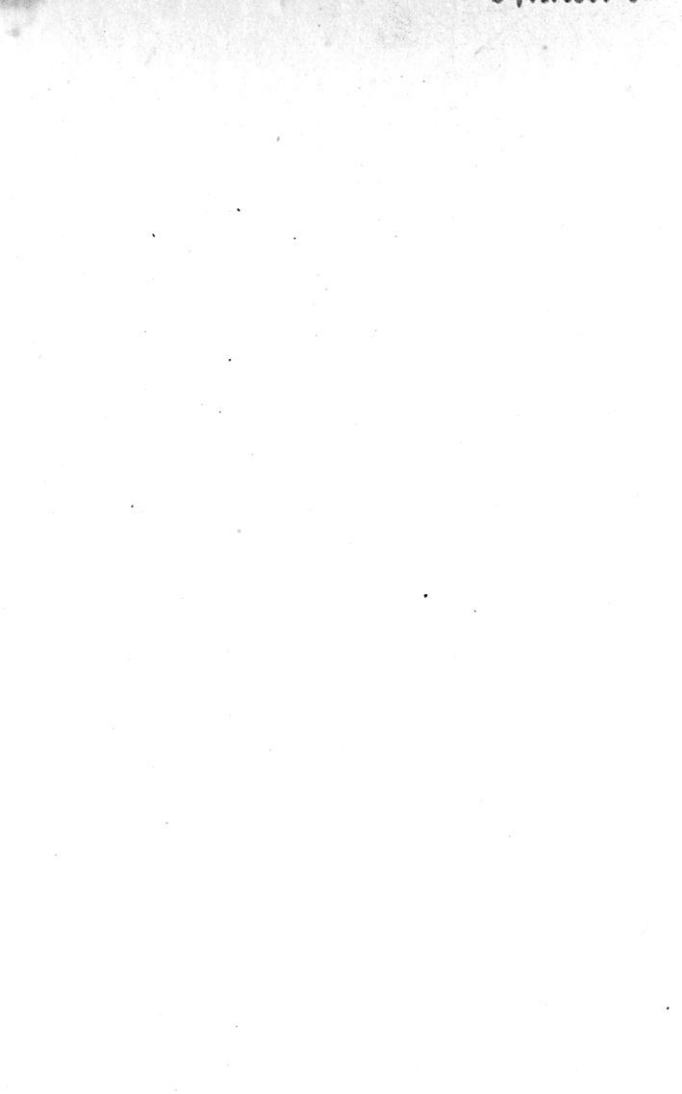
K O N I E C.

SPIS RZECZY.

	Str.
ROZDZIAŁ I. Na dworcu kolei Finlandzkiej. — Po Po drodze do Wyborga. — W Wyborgu. — Przed posągiem Wajnamojnena	1
ROZDZIAŁ II. Ze świata legend. — Nieco cyfr i uwag nad cyframi. — Ekwiwalent warun- ków geograficznych. — Kanał sajmański . .	28
ROZDZIAŁ III. Góry i rzeki. — Naturalne połą- czenie Sajmy z morzem. — Rzeka Wuoksa. Wodospady: Imatra i Walinkoski	45
ROZDZIAŁ IV. Jezioro Sajma. — Z Willmanstran- du do Nisslotu. — Punka Harju. — Kuopio, serce Finlandyi. — Na szczycie Puijo. — Przed pomnikiem Snellmana	68
ROZDZIAŁ V. Palmen o literaturze fińskiej. — Agricola. — Jego następcy. — Henryk Ga- bryel Porthan. — Lönnrot, Runeberg i Snell- man	101
ROZDZIAŁ VI. Helsingfors. — Przed Ateneum i w Ateneum. — Z pobytu w mieście i pod miastem. — Morzem do Borgo. — Archipelag. Czego Borgo było świadkiem? — Dom wiel- kiego poety. — Z księgi pieśni Runeberga. — Nad jego mogiłą	121

	Str.
ROZDZIAŁ VII. Z Helsingforsu do Abo. — Wybrzeża skaliste. — Wschód słońca wśród wysp archipelagu. — W Abo	190
ROZDZIAŁ VIII. Kraj Tawastów. — Nad jeziorem Vanajavesi. — Tamerfors. — Łódź fińska. — „Niech fale wodne służą człowiekowi“. — Wycieczka do Birkkala. — Nokienkoski. — Zakończenie	219





KSIĘGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA w WARSZAWIE

poleca następujące dzieła podróżopisarskie

Stanisława Bełzy.

1. **Obrazy Korsyki.** Wydanie ozdobne, ilustrowane.
Cena rs. 1 k. 50.
2. **Na Lagunach.** Wydanie ozdobne ilustrowane. Cena
rs. 2.
3. **Holandya.** Wydanie drugie z ryciną kolorowaną.
Cena rs. 1 k. 80.
4. **Za Apeninami.** Wydanie trzecie ozdobne. Cena rs. 1.
5. **W Górach Olbrzymich.** Cena rs. 1.
6. **Odgłosy Szkocyi.** Z 9 drzeworytami. Cena rs. 1
k. 50.

Pod prasą:

W stolicy Padyszacha. Wydanie ozdobne ilustr.
